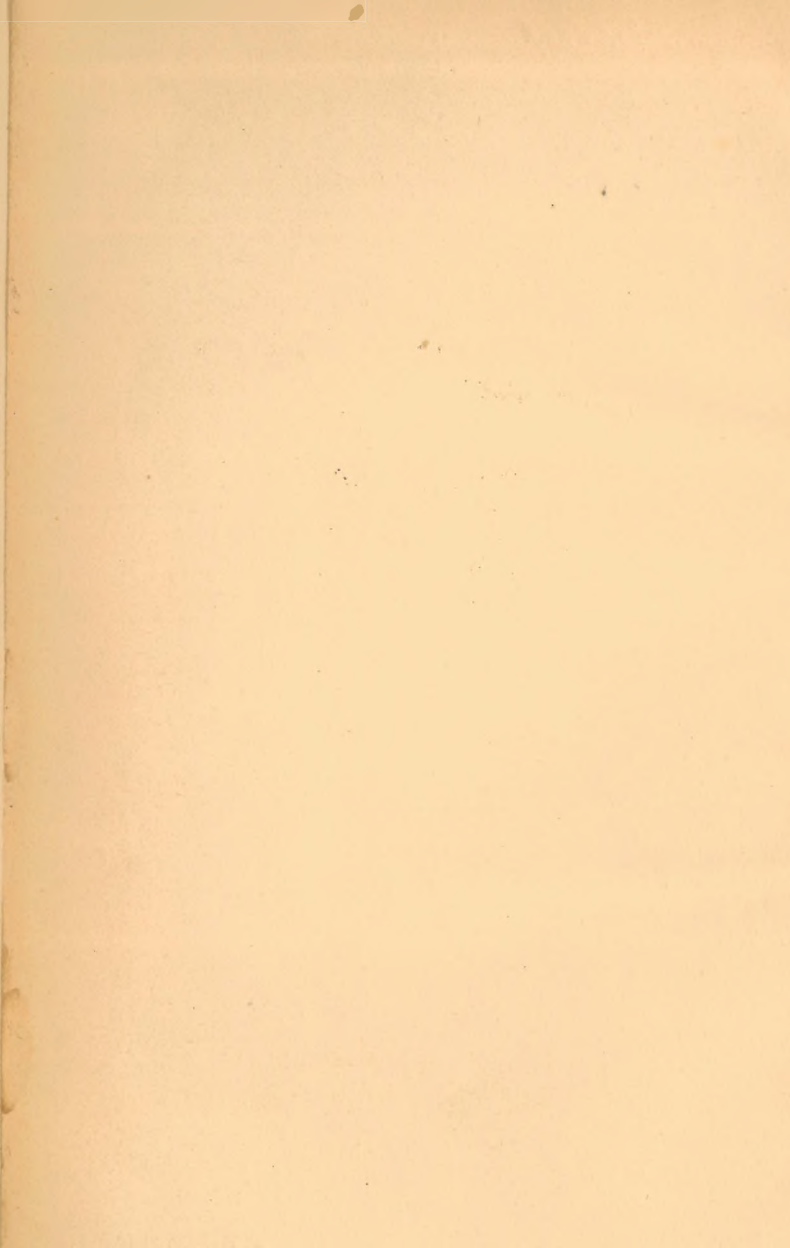








BIBLIOTECZKA
J. K. Mendelowskich




BIBLIOTECZKA
J. K. Mendelowskich

LIST 1983

PRZYGODY KSIĘCIA OTTONA

WARSZAWA. DRUKIEM EMILA SKIWSKIEGO.

B. L. Stevenson



PRZYGODY KSIĘCIA OTTONA

przekład z angielskiego

C. N.



WARSZAWA

Nakład „Tygodnika Ilustrowanego”

1897



189552

Дозволено Цензурою.
Варшава, 30 Сентября 1897 года.

KSIEGA PIERWSZA.

BŁĘDNY RYCERZ.

ROZDZIAŁ I,

w którym książę Otton poszukuje przygód.

Daremnie szukalibyśmy księstwa Grunewald na mapie Europy. Państwo to niezależne, jako drobny atom cesarstwa Niemieckiego, odegrało niegdyś swoją rolę wśród zatargów europejskich i upadło nakoniec pod ciężarem wieku i fałszywym kierunkiem magicznej pałeczki niedołącznych dyplomatów, jak rozplywa się cień w blasku jutrzenki. Mniej szczęśliwe od Polski, zniknęło aż do śladu granic, nie zostawiwszy po sobie żalu w pamięci ludzi.

Był to szmat ziemi górzysty, pokryty starymi lasami; bystre potoki zraszały jego zielone doliny i obracały liczne koła młyńskie. Stolica Mittwalden stanowiła jedyne większe miasto w tem księstwie, lecz wśród zielonych lasów, na łagodnych pochyłościach, piętrzyły się liczne chaty, osady i wioski, rozrzucone nad strumieniami i rzeczkami, połączone mostami, siecią dróg i ścieżek i urozmaicające krajobraz mozaiką ciemnych i czerwonych dachów. Turkot młynów, szmer wody bieżącej, zdrowy zapach smolnych trocin, szum wiatru, wstrząsającego poważne głowy górskich sosen, ich woń żywiczna, strzały oddalone samotnego myśliwca, głuche echo dalekich uderzeń topora, niemożliwe drogi, pstrągi świeże, podane w ustronnej i czystej oberży o nagich ścia-

nach, śpiew ptaków, dzwony miejskiego kościółka—oto wrażenia, jakie odbierał podróżny w granicach miniaturowego ksiąstewka.

Na północy i wschodzie profil górskiego łańcucha obniżał się stopniowo w fantastycznych i urozmaiconych konturach, zwolna przechodząc w rozległą równinę. Z tej strony do Grunewaldu przylegały granice kilku państw drobnych, wśród których znajdowało się wielkie księstwo Gerolstein, także od dawna znikłe bez śladu. Lecz na południu graniczyły z księstwem stosunkowo potężne Czechy Nadmorskie, słynne z kwiatów, łagodności, oraz prostoty mieszkańców i groźnych niedźwiedzi. W ciągu wieków liczne małżeństwa połączyły i spokrewniły dynastye Czech i Grunewaldu, a panujący tutaj w danej chwili książę Otton, był synem księżniczki Perdity, jedynej córki króla czeskiego, Florizela I-go. Powszechnie utrzymywano nawet w Grunewaldzie, iż męska krew dawnych władców tego państwa wiele straciła ze swej pierwotnej dzielności skutkiem tych właśnie związków, a ludność leśna i górską, węglarze, tracze, drwale, dumni ze swej siły fizycznej, przesądów, przebiegłości i ciemnoty, nie kryli swej pogardy dla zniewieściałych panów.

Ścisła data wypadków, które opowiedzieć zamierzamy, może być pozostawioną domyślności czytelnika, co się dotyczy jednak pory roku, gra ona rolę ważniejszą w powieści naszej, tak, iż zaznaczyć musimy, że był to koniec kwietnia, albo początek maja, a górale, słysząc w stronie północno-zachodniej głos myśliwskiego rogu, powtarzali sobie, iż książę Otton na czele swojego myśliwskiego orszaku po raz ostatni przed jesienią przebiegał ich cieniste puszcze.

W rogu północno-wschodnim pasmo Grunewaldu obniżało się stromo i gwałtownie, otwierając przejście, najeżone dziko skałami i urwiskami; ale widok bogatej, uprawnej równiny po drugiej stronie lesistego łańcucha stanowił uderzający i malowniczy kontrast z dziewiczemi puszciami Grunewaldu.

Dwie tylko drogi przecinały granicę z tej strony: szosa królewska do Braudenau, stolicy Gerolsteinu, spływająca wstęgą szeroką po najłagodniejszych stokach i pochyłościach, i bita droga, zuchwale pnąca się po stromych szczytach i spadająca w zielone przepaście. Ta ostatnia zatrzymywała się wreszcie na niedostępnem prawie, skalistem urwisku, u stóp tak zwanej „wieży,” a właściwie obronnego zamczku, zbudowanego nad znaczną przepaścią. Stąd około łatwo objąć mogło z jednej strony urodzajną i ludną płaszczynę Gerolsteinu, z drugiej górzysty Grunewald. Wieża Felsenburg różne miała przeznaczenia: służyła czasem za więzienie stanu, innym razem za schronienie dla myśliwych. Mieszkańcy Braudenau przy pomocy lunet z łatwością liczyć mogli okna tej górskiej warowni.

Na lesistej przestrzeni, zamkniętej pomiędzy wspomnianymi drogami, dzień cały trwała wrzawa polowania; lecz oto słońce złoto purpurowe zniżyło się nad horyzontem, i odezwał się sygnał myśliwskiego rogu, zwołujący rozproszone psy i ludzi.

Dwóch dojeżdźczaków ukazało się na pochyłości, z góry obejmując okiem garby pagórków i szeroką równinę. Przysłonili oczy rękoma od słońca, które dość blado zachodziło dzisiaj, i wpatrywali się w przestrzeń z uwagą. W dali, z po za szeregów wysmukłych topoli, unosiły się zwolna ku niebu powiewne, lekkie obłoki dymu; mgły wieczorne snuły się ponad łąkami, na niewielkim pagórku z niezwykłą jasnością zarysowały się skrzydła wiatraka, podobne do uszu osła—i niby wielka i szeroka blizna, jasna szosa królewska przecinała ten żywy krajobraz, biegnąc prosto w stronę gasnącego słońca.

Jest w naturze głos pewien, nie przelany dotąd w żadne słowa ani muzykę, który możnaby nazwać „Pieśnią drogi.” Ta melodia nieokreślona, która brzmi bezustannie w uszach podróżnego, która była natchnieniem naszych koczujących przodków i wiodła ich życie całe wśród bezdroży,

istnieje zawsze. Pora dnia i roku, obraz okolicy zlewają się harmonijnie w tej subtelnej pieśni, która przemawia tyśiącami tonów. W tej chwili właśnie gromada przelotnego ptactwa płynęła na północo-zachód, unosząc się wysoko nad lasami, a głos jakiś zdawał się ich wzywać daleko.

Dwaj myśliwi na pagórku nie zdawali się wszakże słyszeć tego wezwania; cichy wieczór nie przemawiał do nich swą pięknnością. Co prawda, byli zajęci czem innym, więc nie zwracali uwagi na mowę natury. Wzrok ich przebiegał bacznie, z natężeniem, każde zagięcie gruntu, każdy załam skały pod stopami, a ruchy ich i słowa zdradzały niecierpliwość i niepokój.

— Nie widzę go nigdzie, Kuno—odezwał się nakoniec pierwszy. — Nic, nigdzie, ani śladu... ani końskiego włosa. Tak, mój zuchu. Poszedł, i ani śladu! Hop! hop! Spuściłbym za nim wszystkie psy ze smyczy.

— Może już wrócił—odparł Kuno po namyśle, bardzo niepewnym głosem.

Pierwszy z myśliwych zaśmiał się szyderczo.

— Wrócił! Głowę dałbym, że nieprędko zobaczymy go znowu w pałacu. Zaczyna się tak samo, jak przed trzema laty, przed małżeństwem. Wstyd i hańba! Książę dziedziczny—waryat! Piękne położenie! Zaręczam ci, że w tej chwili nasza prawowita władza na książęcym białym rumaku przekracza granice państwa. A to co?—Nic.. Nic, nigdzie. Słowo honoru daję, że więcej mię obchodzi dobry koń, czy pies angielski, niż ten twój książę Otton.

— Mój Otton?—powtórzył Kuno.—Dlaczego mój Otton?

— Czyżże więc?

— Sam wiesz dobrze, iż dałbyś sobie jutro uciąć za niego rękę — rzekł Kuno dość szorstko.

Dojeżdżacz się oburzył.

— ... —zawołał z gniewem.—Ja? Zobaczyłbyś! Jestem Grunewaldczyk. Ja, przysięgłym patriotą, czy rozumiesz? Mam

medal. Ja miałbym stać po stronie księcia? Jestem za Gondremarkiem i wolnością.

— Dobrze, dobrze, rozumiem. Gdyby ci kto inny śmiał to wszystko powiedzieć, coś napłócił przed chwilą, załbyłby go na miejscu. Wiesz o tem wybornie.

— A ty myślisz tylko o nim! Czysty obłąd. Patrz, patrz! Tam, tam, nisko. Ot, i twój ksiączę zmyka.

Istotnie, w odległości dobrej wiorsty jeździec na białym koniu przemknął, jak błyskawica, przez polankę, kryjąc się znowu w ciemnym gąszczu leśnym.

— Za dziesięć minut będzie w Gerolsteinie. Pójdźmy,— rzekł Kuno—granica nas dzieli, nie mamy tu co robić.

— Jeżeli on nas zgubi, nigdy mu tego nie przebaczę— mruknął pierwszy, ściągając cugle.

Zwolna zjeżdżali niżej, by połączyć się z resztą orszaku, a tymczasem słońce skryło się pod horyzontem. Poważne cienie nagle zaległy gęstwinę, i las pograżył się w ciemności nocy.

ROZDZIAŁ II,

w którym ksiączę gra rolę Harun-al-Raszyda.

Noc zapadła. Na niebie zajaśniały gwiazdy, pozwalając rozróżniać wysokie i proste szeregi jodeł, słoczonych w gąszcz ciemny, posępnych, niby żałobne cyprysy, lecz blade światło to nie wystarczało, aby odnaleźć ścieżkę w tym chaosie; daremnie też młody ksiączę przedzierał się wśród bujnej roślinności, aż zniechęcony puścił wolno cugle, zdając się na przypadek i instynkt rumaka.

Niepewność ta, powaga surowa natury, niebo otwarte nad nim i przestrzeń bez murów, która go otaczała, przenikały go cichą radością; głuchy szum rzeki, płynącej na lewo, pieścił mu ucho.

Było koło dziewiątej, kiedy ujrzał nagle cel swoich dążeń: szosę, białą, równą, twardą. Szeroką, jasną wstęgą ciągnęła się przed nim daleko ku wschodowi, spływając w doliny, pnąc się na pochyłości, przeświecając słabo przez zarośla i kępy drzew.

Otton zatrzymał konia i patrzył. — Szosa! Wielka, otwarta droga, opasująca ziemię. Pełźnie jak wąż, bez końca, od mili do mili, łącząc się, rozdzielając, sięgając najdalszych krańców Europy; tu biegnie wzdłuż morskiego wybrzeża, tam przerzyna miasta, światłami płonące; a na tej jasnej sieci ze wszystkich stron krąży, płynie nieprzebrana armia wędrowników, posuwających się w różnych kierunkach, a jednak zgodnie, według stałych reguł; oto godzina, w której ten tłum cały chroni się do zajazdów, szuka wypoczynku...

Widział ten obraz żywo, przesuwający się przed nim, jak obłoki po niebie, i ogarnęło go nagle pragnienie, poryw krwi, który wstrząsnął nim gwałtownie, i już był gotów, spiąwszy konia ostrogami, rzucić się w przestrzeń i nazawsze może utonąć w dali i nieskończoności. Lecz minęło to prędko; znużenie, głód, nałóg, zwany zdrowym rozsądkiem, przywróciły mu zmysły, opanowały żądzę niedorzeczną. Pod tem wrażeniem spojrzął innemi oczyma i spostrzegł w dość niewielkiem oddaleniu, między lasem i rzeką, dwa świecące okna.

Odnalazł ścieżkę i w kilka chwil potem zapukał grubszym końcem swej szpicruty do wrót folwarku.

Wściekły chór psów odpowiedział mu na to wezwanie, napelniając powietrze całą gamą gniewnych głosów; wkrótce jednak na progu domu ukazał się starzec ze świecą w ręku, którą osłaniał od wiatru, skutkiem czego blask jasny padał mu na siwą głowę. Zbliżał się do wrót zwolna, krokiem ociężałym, nawołując szczekających stróżów domu. Musiał to być niegdyś człowiek silny i przystojny, ale wiek go po-

chylił i siadł mu na karku; brak zębów sprawiał także, iż mówił dość cicho, głosem słabym i szepleniącym.

— Przebaczcie mi, — rzekł Otton — jestem zbłąkany podróżny i proszę o gościnność.

— Panie, — odparł z godnością, drżącym głosem, starzec — jesteś w folwarku „Nad rzeką,” w domu Kiliana Gottesheima, do usług. Stąd panie, jednakowo daleko do Mittwalden w Grunewaldzie, czy do Braudenau w Gerolsteinie, po sześć mil w każdą stronę, prostą, doskonałą drogą. Ale zajazdu nigdzie ani śladu, nawet najlichszej karczmy. Więc uprzejmie proszę przyjąć na tę noc moją gościnność, na co mię stać, dobry panie: gość w domu, Bóg w domu.

Stał w otwartych już wrotach i kłaniał się nisko. Otton oddał mu ukłon.

— Dziękuję wam z duszy — rzekł grzecznie, zsiadając z konia i prowadząc go za cugle.

— Fritz! — zawołał starzec, zwracając się wewnątrz podwórza — zabierz do stajni konia wielmożnego pana. Niech pan pozwoli za mną, bardzo proszę.

Otton wszedł do dużej izby, zajmującej na dole większą część wiejskiego domu. Niegdyś snadź stanowiła ona dwa oddzielne pokoje, gdyż w połowie podłoga była poźnieszona o jeden stopień, a płonący w głębi kominek, zarówno jak stół, nakryty czysto do wieczery, znajdowały się na podniesieniu, jak na scenie. Dokoła izby stały ciemne kufry, różnych rozmiarów, o wiekach wypukłych, szafy z bronzowymi ozdobami, na ścianach świeciły słabo porozwieszane naczynia polewane i metalowe, broń, rogi jelenie, jakaś stara książka, zawieszona na sznurku, wielki zegar z cyferblatem, zdobnym w malowane róże, a w kącie — cicha, słodka obietnica chwil wesółych: beczulka wina.

Młody i silnie zbudowany chłopiec uprowadził tymczasem białego rumaka do wiejskiej stajni, lecz księżę pośpieszył za nim, złożywszy poprzednio głęboki ukłon pannie

Otylii Gottesheim, córce gospodarza domu, której go ojciec przedstawił formalnie, jako miłego gościa z Bożej łaski.

Skoro Otton z Fritzem wrócili do izby, już stał na stole piękny, dymiący się omlet, obłożony krajankami świeżej szynki i przyjemnie nęcący powonieniem zgłodniałego wędrowca. Chleb, ser i masło dopełniały obfitej zastawy, zachęcając do używania darów Bożych.

Dopiero po zupełnem i swobodnem zaspokojeniu głodu, gdy wesoła gromadka obsiadła kominek, dopijając czarę wina, grzeczny wieśniak ośmielił się pierwsze pytanie zadać swemu gościowi.

— Wielmożny pan zapewne z daleka? — zapytał.

— Tak, z dość daleka, macie słuszność, ojcze, co mi jednak nie przeszkadza wyrazić głębokiego uznania dla talentów gospodarskich naszej uprzejmej gosposi, a waszej córki, ojcze.

— Od strony Braudenau, pewno?

— Tak jest. Spodziewałem się jednakże—dodał książe, mieszając podług zwyczaju swego prawdę do kłamstwa,—spodziewałem się dzisiaj nocować w Mittwalden, gdybym się był nie zabłąkał.

— Zapewne ważne sprawy, interesa, prowadzą pana do Mittwalden? — ciągnął dalej gospodarz swoją indagację.

— Nie, prosta ciekawość. Nie widziałem jeszcze stolicy Grunewaldu.

Starzec potrząsnął głową.

— Piękny kraj — rzekł swym cichym, szepleniącym głosem.—Piękny kraj, piękny naród—i ludzie, i sosny. Myśmy tu wszyscy nawpół Grunwaldczycy, tak na granicy samej. I ta rzeka nasza wszystką wodę ma z Grunewaldu; czysta, dobra woda. Tak, tak, kraj bardzo piękny! Grunwaldczyk, widzicie, panie, jak piórkiem machnie siekierą, którąby wielu ludzi z Gerolsteinu zaledwo podniosło z ziemi. A sosny! Dobry panie, w tym małym kraiku jest ich chyba więcej, niż ludzi na całym świecie. Tak, tak. Stary już jestem,

od dwudziestu lat pewno nie wychodziłem z naszego folwarku, człowiek niedołąźnie na starość, mój panie, — ale pamiętam przecież, o, pamiętam, jakby to wczoraj... Na dół i do góry, a prosto, wiedzie droga do Mittwalden; wzdłuż drogi po obu stronach, jak okiem sięgniesz, sosny i sosny zielone, proste, piękne, duże i małe. A wody, a strumieni, pięknej bieżącej wody — ile dusza zapragnie! Piękny kraj, kraj bogaty! Mieliśmy tu, mój panie, przy samej drodze kawałeczek lasu; sprzedałem go; a teraz, kiedy sobie myślę o tej kupie dukatów złotych, błyszczących, ciężkich, co mi zapłacili za kawałeczek mały, muszę zaraz liczyć i rozważać, co to musi być za wartość tego całego lasu tam, puszczy bez końca!

— A książę? — spytał Otton. — Nie widzieliście go nigdy?

— Nie — odparł Fritz, po raz pierwszy mieszając się do rozmowy, — a co większa, nie mamy najmniejszej do tego ochoty.

— Dlaczego? Czem zasłużył na taką nienawiść?

— Nienawiść? — powtórzył starzec z namysłem: — to nie to; na pogardę tylko zasłużył, mój panie.

— Doprawdy? — wyrzekł książę nieco słabszym głosem.

Kilian nałożył fajkę i potrząsnął głową.

— Pogardę... tak, to właśnie, to jest dobre słowo. I słuszne, sprawiedliwe. A przecież taki człowiek ma piękną sposobność coś zrobić na tym świecie? A on? Tak, mój panie, poluje po lesie, krzyku, hałasu... bez miary... I cóż więcej? Ubiera się pięknie. Czy to nie wstyd dla księcia, dla mężczyzny, mój panie? A potem gra komedye. A jeśli co innego robi, to my o tem dotychczas jeszcze nic nie wiemy.

— To wszystko jednak rzeczy dość niewinne — przemówił Otton: — i cóż chcecie wreszcie? Ma wojować?

— Nie, panie; zaraz wam to powiem, co o tem myślę. Pięćdziesiąt lat gospodaruję na folwarku „Nad rzeką,” pięćdziesiąt lat dzień po dniu pracuję na tej ziemi. Uprawiam ją, sieję, zbieram. Od świtu do nocy na nogach, przy ro-

bocie. I jakież z tego rezultaty? Przez wszystkie te lata żywiła mię ta ziemia z całą rodziną moją; po żonie mojej folwark był przez całe życie najdroższym skarbem mego serca; a teraz kiedy umrę, zostawię go w lepszym stanie, niż sam go odebrałem. I to tak zawsze bywa: kiedy się pracuje uczciwie, jak Bóg przykazał, nie brak człowiekowi chleba, sił mu przybywa i odwagi, wszystko pod jego ręką mnoży się i rośnie. Ja jestem prosty człowiek, ale także mam przekonanie, że gdyby ksiązę chciał szczerze pracować w tem swoim państwie, jak ja pracowałem na folwarku, znalazłby w tem pomyślność i błogosławieństwo.

— Na to się zgadzam, ojczy—rzekł Otton poważnie; — jednakże porównanie nie wydaje mi się dokładnem. Życie i prace wieśniaka są proste i zgodne z prawami natury; życie i obowiązki księcia zarówno skomplikowane, jak sztuczne. Pierwszemu łatwo dobrze postępować, wie, co ma czynić w każdym wypadku i czasie; drugi—strzedz się musi, żeby źle nie zrobił, nie zbłądził mimo chęci. Jeśli was żniwo zawiedzie, schylicie w pokorze głowę i możecie powiedzieć: „Taka wola Boża!”—lecz jeśli księcia zawiodą plany i błędne rachuby, sam siebie zwykle ganić musi, własne widzi omyłki. To też ja myślę, że gdyby wszyscy królowie na świecie bawili się tak niewinnie, może z tem i lepiej byłoby poddanym.

— Dobrze powiedziane! — zawołał nagle młodzieniec. — Ma pan w tem słusność. Każde słowo czysta prawda. Widzę, że i pan jesteś dobrym patriotą, wrogiem tyranów. To mi się podoba.

Ksiązę, trochę zmieszany tem nagłym wyznaniem, pośpieszył zmienić kierunek rozmowy.

— W każdym razie,—zaczął znowu—dziwi mię bardzo to wszystko, co mi opowiadacie o księciu Ottonie. Lepiej słyszałem o nim. Mówiono mi, że w gruncie to bardzo dobry chłopiec, który tylko sobie szkodzi.

— Święta prawda! — zawołała nagle panna Otylia. — Śliczny, miły i dobry ksiązę. Są jeszcze tacy, co za niego daliby się porąbać.

— Ba! Kuno — rzekł Fritz wzgardliwie. — Prostack, głupi człowiek.

Starzec potrząsnął głową i spojrział na gościa.

— Kuno,—powtórzył—tak, Kuno! Ale pan tutaj obcy, a zdaje się dosyć ciekawy tego, co dotyczy księcia, więc trzeba mu to opowiedzieć. Kuno, wielmożny panie, to jeden ze strzelców księcia. Prostý człowiek, bez wykształcenia, trochę pijak i wielki krzykacz: prawdziwy Grunewaldczyk, jak mówimy tu w Gerolsteinie. Znamy go tu dosyć dobrze, bo nieraz aż tu zachodzi za swymi psami, a w moim domu każdy gość jest gościem, bez względu na stanowisko i kraj, z którego pochodzi. Zresztą pokój tak dawno trwa pomiędzy nami, t. j. między Gerolsteinem i Grunewaldem, że mogliśmy prawie zapomnieć o granicy; otwarta ona dla każdego tak gościnnie, jak wrota mego domu, i tyle ludzie o niej pamiętają, co te powietrzne ptaki.

— To prawda — potwierdził Otton; — pokój trwa już całe wieki.

— Całe wieki, mój dobry panie, słusznie powiedziałeś, i tem gorzej byłoby, gdyby nie miał trwać wiecznie! Ha!... Ale wróćmy do naszej historii. Otóż ten strzelec Kuno coś tam niegdyś zbroił księciu, który ma prędką rękę, i nie myśląc wiele, zaczął go okładać szpicrutą. W pierwszej chwili, pamiętając o swej winie, znosił to chłop cierpliwie, ale nie wytrzymał długo, i zwróciwszy się nagle do księcia, zażądał, aby bicz odrzucił, a poszedł z nim na pięście. Siła na siłę. My tu wszyscy w kraju dobrze się bić umiemy i w ten sposób też zwykle rozstrzygamy nasze spory. Więc, mój panie, książę się zgodził, a że to w gruncie rzeczy chuchrak, prędko się zmieniły sprawy, i ten, co był przed chwilą bity jak niewolnik, rzucił o ziemię swego krzywdziela.

— I złamał mu lewe ramię, — zawołał Fritz — a mówią, że i nos podobno! Dobrze zrobił, mojem zdaniem. Mąż na męża — ten wart więcej, kto zwycięży.

— I cóż dalej? — spytał Otton.

— A cóż? Odniósł go Kuno do domu, czy tam do pałacu, i od tej chwili są najlepszymi przyjaciółmi. Ja od siebie nie mówię, mój kochany panie, — ciągnął dalej starszek — żeby w moich oczach ta sprawa przynosiła ujmę księciu, ale niema co mówić: to śmieszna historia. Człowiek powinien mieć zastanowienie, nim uderzy bliźniego, bo widzicie, mój panie: siła na siłę, jak mój bratanek mówi, i tak sądzono niegdyś.

— Jednak... — rzekł Otton — jeśli mam powiedzieć, co o tem myślę, zadziwię was może, jednakże... mnie się zdaje, że księżę wtedy odniósł prawdziwe zwycięstwo.

Kilian spoważniał bardzo.

— To jest prawda — rzekł po namyśle. — Przed Boskim sądem miałby pan zupełną słuszność, ale widzicie, panie, ludzie na to inaczej patrzą... i śmieją się.

— Nawet ułożyli śpiewkę — dodał Fritz. — Poczekajcie, jakże to?.. Tin, tin, tarara...

Lecz Otton nie miał chęci słuchać śpiewki, więc rzucił uwagę:

— Księżę jest jeszcze młody, ma czas się ustatkować.

— Nie tak znów bardzo młody — odparł Fritz: — lat 40, to już człowiek.

— Trzydzieści sześć — poprawił Gottesheim poważnie.

— Taki stary! — zawołała rozczarowana Otylia. — Mówią, że taki piękny? Pewno kiedy był młodym?

— Łysy — dorzucił Fritz.

Otton przesunął ręką po dość bujnych włosach. W tej chwili nudne wieczory w pałacu wydały mu się dziwnie przyjemnymi. Zaprotestował głośno:

— Trzydzieści sześć lat? Cóż znowu! człowiek nie jest starym w tym wieku. I ja mam coś koło tego.

— Dałbym panu więcej — zaszeplecił starzec. — Ale jeżeli tak jest, to jesteś pan właściwie w wieku Ottonka, jak go tu nazywają; a założę się o dukata, żeś lepiej użył swego

czasu. Trzydzieści sześć lat! W porównaniu z moim wiekiem to wydaje się mało, ale prawdę mówiąc, już dobry kawał drogi leży za nami, i w tym wieku niejedyn leniuch i sowizdrzał zaczyna się czuć starym i zmęczonym. Tak, tak, mój dobry panie, człowiek trzydziestosześcioletni — jeśli jest sługą Bożym — powinien mieć już własne ognisko i dobre imię; powinien wybrać sobie towarzyszkę życia i patrzeć na błogosławione owoce tego związku. Czyny jego już powinny go otaczać, jak mówi Ewangelia.

— Ale, ale! Przecież księżę jest żonaty! — zawołał Fritz, wybuchając głośnym i rubasznym śmiechem.

— Czy to zabawne? — spytał Otton żywo.

— Bah, i jak jeszcze! — odparł młody wieśniak. — Nie pan o tem nie słyszałeś? A ja myślałem, że cała Europa o tem mówi! — dokończył z wybuchem śmiechu i gestami, uzupełniającymi jasno niedość wyraźne słowa.

— Widać to zaraz, że pan tutaj obcy — dorzucił Gottesheim. — Boć wszyscy w kraju wiedzą, co warta księcia rodzina i dwór cały: zbiór rozpustników, flutów i oszustów, a jeden wart drugiego. Tak, tak, mój dobry panie. Żyje to wszystko w próżniactwie, lekkomyślnie, i cóż dziwnego, że zepsucie się szerzy? Toć to najprostsza droga. Księżna ma kochankę, jakiegoś barona podobno, Prusaka. A sam księżę im pomaga, zamykając oczy na wszystko. I nie w tem jeszcze złe najgorsze, ale ten przybędą razem z księżną rządzą państwem, robią, co im się podoba, a księżę chowa tylko pieniądź do kieszeni, i reszta go nie obchodzi. Prędzej czy później musi to sprowadzić karę Bożą, i chociaż jestem stary, kto wie, czy nie dożyję tego jeszcze.

— Kochany wuju, — przerwał mu Fritz żywo — mylisz się w tem, co się tycze Gondremarka; a zresztą słowa twoje są słowami dobrego patryoty, święte jak Ewangelia. Co do księcia, to z mojej strony, gdyby udusił dzisiaj swą niewierną żonę, mógłbym mu przebaczyć jeszcze.

— O, nie, Fritz, to byłoby dodawać zbrodnię do grzechu. Wielmożny pan rozumie,—zwrócił się do Ottona—że ksiązę sam wszystkiemu winien? Ma młodą żonę, ma państwo dziedziczne, przysiągł przecież opiekować się jedną i drugim.

— Przysiągł w kościele—powtórzył Fritz z mocą.— Ale tu mamy dowód, co znaczą przysięgi książąt.

— Tak, tak—potwierdził starzec, smutnie potrząsając głową;—żonę i państwo oddał na łaskę awanturника pruskiego, obcego obiężyświata. Młodej kobiecie pozwala brnąć coraz bardziej w grzechu, że kraj cały o tem mówi ze zgorzaniem... a przecież to dziecko prawie, ma lat dwadzieścia parę! A państwo? Sam przygniótł je ciężarem występku, bezbożności, nowych podatków, a zgubi je wojną.

— Wojną?—zapytał Otton.

— Tak, dobry panie, wszyscy to przepowiadają, którzy patrzą na te intrygi. A to wszystko jest bardzo smutne. Straszna rzecz patrzeć, jak ta młoda kobieta idzie drogą, prosto wiodącą do piekła, ścigana przekleństwami ludu. Straszna rzecz i dla kraju tak pięknego, bogatego, lecieć w przepaść dla braku troskliwego rządu. Lecz mojem zdaniem, Otton nie ma prawa na nic narzekać: podług czynów otrzyma i wynagrodzenie, a Pan Bóg niech zmiłuje się nad jego duszą. Wielki to grzesznik i zatwardziały bardzo.

— Nie dotrzymuje słowa, więc jest krzywoprzysięzcą; bierze zapłatę za to, czego nie wypełnia, to znaczy: kradnie. Bogaczem jest i głupcem. Cóż więcej powiedzieć można?

Fritz wzgardliwie klasnął palcami.

— Teraz zrozumieliście pewno, wielmożny panie,—zaczął znów starzec—dlaczego nie mamy dobrej opinii o księciu Ottonie. Można w prywatnem życiu być człowiekiem dobrym i sprawiedliwym, można posiadać także cnoty obywatelskie, lecz jeżeli człowiek ani tak ani inaczej nie zasługuje na szacunek, niechże go Bóg oświeci! Ludzie sądzą podług wartości. Nawet ten Gondremark, którego Fritz tak uwielbia...

— Tak jest — przerwał młody chłopiec. — Gondremark to człowiek. Szkoda, że w Gerolsteinie nie mamy podobnego!

Ale starzec potrząsnął głową.

— Jest to zły człowiek — rzekł poważnie. — Żle jest zaczynać cokolwiek na świecie od przestąpienia Bożych przykazań. Zgadzam się tylko na to, że pracuje przynajmniej i zarabia pieniądze, które mu płacą.

— A ja wam mówię, że w nim cała przyszłość i nadzieja Grunewaldu! — zawołał Fritz z zapalem. — Nie odpowiada on może wszystkim starym ideałom, wszystkim zasadom, które wyszły z mody, ale to umysł wyższy, nowożytny, który dąży za światłem i postępem wieku. Może i błądzi czasem, — któż wad nie ma? Ale dla niego dobro ludu — wszystkim! I zapamiętaj to sobie, mój panie, który jesteś liberałem, a zatem wrogiem tych wszystkich tam rządów, — zapamiętaj to dobrze, jeśli łaska: przyjdzie dzień, w którym wypłoszą z pałacu tego próżniaka księcia z żółtymi włosami i jego bladą Messalinę, i odprowadzą ich pięknie aż do samych granic. A Gondremark będzie wtedy obwołany prezydentem. Słyszałem o tem wszystkim na jednym zebraniu w Braudenau. Przyjaciele ludu przemawiali tam śmiało, a delegaci z Mittwalden poręczyli za 15 tysięcy swoich ludzi. Piętnaście tysięcy patryotów zorganizowanych — każdy z medalem przysięgłych na szyi. Oto jest Gondremark!

— Tak, tak, panie — powtórzył stary. — Widzicie, do czego to wszystko prowadzi: dziś niedorzeczne słowa, a jutro czyny, niedorzeczniejsze może. Jedno tylko jest pewnem, że chytry Gondremark stoi mocno jedną nogą w książęcym pałacu, a drugą w masońskich łóżach. Udaje patryotę, bo to w modzie teraz. Patryota, mój panie, taki Prusak!

— Co to znaczy: udaje? — zawołał Fritz wyzywająco. — Gondremark jest patryotą, prawdziwym patryotą! Niech dziś ogłoszą rzeczpospolitą, a natychmiast odrzuci swój tytuł. Sam słyszałem, kiedy mówił o tem na zebraniu.

— Odrzuci tytuł barona, ażeby zmienić go na prezydenta.—spokojnie zauważył Kilian. — Zrozumiecie to kiedyś; kto dożyje tych czasów, zobaczy owoce.

Nagle panna Otylia pociągnęła starca za połą.

— Patrz-no, ojczy,—szepnęła, pochylając się ku niemu,—patrz tylko... wielmożnemu panu widocznie niedobrze.

— O, wybaczenie, dobry panie! — zawołał przestraszony wieśniak.—Co dla was uczynić mogę? Czemu wam pomódz?

— Dziękuję wam za wszystko. Jestem bardzo zmęczony i przeceniłem swoje siły — odparł księżę słabym głosem. — Wskażcie mi tylko, jeśli łaska, pokój, gdzie będę mógł się przespać, a niczego mi więcej nie potrzeba. Dziękuję wam raz jeszcze za wszystko, dobrzy ludzie.

— Otylio, prędzej, światła! — komenderował wieśniak. — Ale pan mocno pobladł! Kropelkę wina? Nie chcecie? To bardzo proszę za mną, zaprowadzę pana do gościnnego pokoju — mówił, wchodząc pierwszy ze świecą na schody. — Nie pierwszy będziesz pan spał pod moim dachem snem spokojnym i zdrowym. Uczciwa wieczerza, szklaneczka dobrego wina, czyste sumienie i godzinka wesołej gawędy — więcej warta przed nocą od ptasiego mleka i wszystkich pańskich łakoci.

Otworzył małe drzwiczki od stancyjki na strychu i zwrócił się do gościa:

— Oto jesteście u siebie, mój panie. Mały kącik, ale czysty. Pościel i bielizna świeżutka, a pachnie lewandą. Z okna widok na rzekę, a co do mnie, to niema na świecie muzyki nad szmer bieżącej wody. Śpiewka jej monotonna i nie głośna, zawsze to samo, ale słuchać miło i nie zmęczy cię, jak piszczenie skrzypek. To otwiera duszę szeroko na wszystko, co na świecie jest piękne; a chociaż nie pogardzam ciepłą chatą, ale jakież dzieło ludzkie porównać się może z wiejską naturą, dziełem samego Stwórcy? A nadewszystko, panie, to daje sercu taki spokój, jak modlitwa. Więc po-

zostawiam tutaj wielmożnego pana, życzę mu dobrej nocy i snu królewskiego.

Uklonił się po raz dwudziesty i zwolna, ostrożnym krokiem opuścił izdebkę, pozostawiając gościa z jego własnymi myślami.

ROZDZIAŁ III,

w którym ksiązę pociesza piękność i wiek sędziwy i zaleca delikatność w sprawach serca.

Wczesnym rankiem opuścił ksiązę swą sypialnię. Ptactwo rozpoczęło już poranny koncert, powietrze było spokojne i czyste, długie i chłodne cienie leżały na ziemi. Po źle spędzonej nocy świeżość letniego poranku jest ożywczą i pokrzepiającą zarówno siły ciała, jak umysłu. Wyprzedzić bliźnich w powitaniu słońca, być Adamem dnia nowego — przyjemnie wśród pięknej natury i uspokaja to duszę. Ksiązę oddychał głęboko, z rozkoszą, zatrzymując się kiedy niekiedy, rozglądając się wkoło, przebywając w towarzystwie swego cienia pola, rosą okryte, i czerpiąc słodki balsam przyjemnych i łagodnych wrażeń.

Zielona długa ścieżka wiodła przez winnicę ku rzece. Otton skierował tam swoje kroki. Szumiącą rzeką był właściwie potok, z gór spadający, bystry i spieniony. Tuż pod folwarkiem rzucał się wesołą kaskadą, podobną do splątanej białej grzywy konia, w miniaturową przepaść, skąd pryskający, gniewny, zbity w pianę białą, a miejscami błękitny i przejrzysty, staczał się w rodzaj niewielkiej sadzawki, którą sam wyżłobił w skale. Brzeg, stromy z jednej strony, skalistym przyładkiem wydłużał się prawie aż na środek tego jeziorka, i to miejsce wybrał sobie Otton na wypoczynek i spokojne rozmyślanie.

Wkrótce promienie słońca, niby strzały złote, przeniknęły zasłonę zielonych gałązek, tworzących nad wodospadem lekkie i żywe sklepienie; w tej samej chwili złote i tęczowe blaski zaigrały z cieniami na powierzchni wody, tysiąc ogni wlewając w każdą drobną falę. I każda strzała wnikała głęboko w łono wód drżących, i potok dyamentów zdawał się spadać w głębię i tryskać z niej znowu tęczowymi iskrami. Powietrze ogrzewało się z każdą minutą i napełniało coraz nowym aromatem. Wiatr zdawał się kołysać złote promienie słońca, odbijając ich ruchy w czystym zwierciadle wody; ruch wody grą misterną blasków i cieni odbijał się na ciemnej skale; upadająca kaskada wstrząsała z kolei fale powietrza, jak lekką zasłonę. I wszystko drżało i żyło w tym ruchu.

Zmęczony bezsenną nocą, podrażniony okrutnemi widziadłami wzburzonego sumienia i nagłej zazdrości, ksiązę tu znalazł prawdziwe wytchnienie, słodki spokój, i cichy ten kawałek ziemi, pełen blasków, świeżości i głosów natury, stał mu się dziwnie drogim. Oparty plecami o skałę, objął splecionemi rękoma kolana i zatonął w marzeniu; patrzył, podziwiał, zachwycał się i tracił poczucie własnego jestestwa. Nic tak nie przykuwa uwagi człowieka, jak widok upartej i nieskończonej walki wody bieżącej z oporem, który jej stawia zuchwałą przeszkodę. Wierny to obraz wiecznych wysiłków człowieka w walce z niewzruszoną siłą przeznaczenia. Zapatrzony w ten obraz, ksiązę zanurzył się zwolna w otchłań marzeń, odrywających od rzeczywistości, graniczących między snem i jawą. „Książę i fala” — mówił mu w duszy głos jakiś — książę a fala, jednakowo powstrzymani w dążeniach, razem uwięzieni przez niewidzialne fatum w nieznanym zakątku ziemi. Książę i fala — dwa cienie znikome na wagach kosmologii ludzkiej. Książę i fala... Książę i fala...

Zasnął prawdopodobnie, jak zwykły śmiertelnik, który się nie wyspał we właściwym czasie, gdy dźwięk ludzkiego głosu zbudził go z tej drzemki.

— Pani!—powtarzał głos jakiś błagalnie, stłumionem brzmieniem.

Odwrócił się wreszcie i na brzegu strumienia spostrzegł wczorajszą gosposię, córkę wieśniaka, która—zmieszana widocznie własną śmiałością—wzywała go błagalnym gestem. Była to młoda dziewczyna, dobra i uczciwa, kwitnąca zdrowiem, które jej wdzięk stanowiło, pod wpływem pomieszania powabniejsza jeszcze w tej chwili.

Otton wstał z wolna i zbliżył się do niej.

— Dzień dobry — rzekł uprzejmie. — Wstałem dzisiaj wcześniej i—marzyłem w tem miejscu.

— O panie!—zawołała z wybuchem dziewczyna.—Przyszłam cię błagać, abyś zlitował się nad moim ojcem.. Przysięgam Waszej Książęcej Mości, że gdyby był wczoraj wiedział, kogo ma przed sobą, prędzej pozwoliłby uciąć sobie język. I Fritz także.. Boże, Boże, co oni zrobili! Ale ja się zaraz czegoś domyślałam, i dziś z rana prosto do stajni, — a tam... na strzemieniu książęca korona, korona Waszej Książęcej Mości! O miłosierny panie!.. zaraz sobie jednakże pomyślałam, że nie zechcesz nas gubić, gdyż zapewniam cię, że obadwaj niewinni są, jak baranki.

— Moja droga, — rzekł Otton, ubawiony jej trwogą i nieobojętny na pochlebstwo—zupełnie źle tłómaczysz sobie położenie. Ja sam tylko zawiniłem, ukrywając swoje imię i doprowadzając do tego, aby mówili o mnie. I ja teraz proszę cię bardzo, abyś zachowała moją tajemnicę i nie zdradziła brzydkiego postępku. A co do zemsty, wszakże krewni twoi bezpieczni są w Gerolsteinie? Wiesz zresztą sama, że nawet w swoim własnym kraju nie mam już żadnej władzy.

— O, tak wcale nie jest jeszcze, jaśnie panie—z głębokim ukłonem odparła dziewczyna: — strzelcy daliby się porąbać za ciebie.

— Szczęśliwy książę! — zaśmiał się Otton z ironią. — Lecz choć zbyt grzeczną jesteś, aby przyznać to otwarcie,

z pewnością nieraz w życiu mogłaś się przekonać przy dobrej sposobności, że jestem tylko pustym dźwiękiem i tytułem. Nie dawniej niż wczoraj wieczorem dowiedziono mi tego jasno. Widzisz na ciemnej skale ten cień ruchomy i drżący? Mam słuszny powód mniemać, że cieniem jest księżę Otton, a skała niewzruszona—Gondremarkiem. Gdyby twoi krewni napadli na Gondremarka — ale na szczęście, jeden z nich jest przecież gorącym jego wielbicielem. Co zaś do twego ojca, to bardzo rozsądny człowiek, szanowny starzec, który mówi bardzo rozumnie, i pewien jestem jego uczciwości.

— O, co do tego,—zawołała żywo młoda dziewczyna—ojciec jest uczciwym i Wasza Księżęca Mość może być o tem przekonany. I Fritz także. A wszystko, co mówili wczoraj, to głupie żarty i bzdurstwa bez sensu. Wieśniak najczęściej mówi dlatego, żeby się pośmiać, i nie myśli o tem, co mówi... może mi jaśnie pan wierzyć. Na sąsiednim folwarku, gdybyś się pan tam udał, usłyszałbyś może to samo o moim ojcu.

— No, no, no! — przerwał księżę — za daleko idziesz, moje dziecko; wszystko, co powiedziane było przeciw księciu...

— O, to wstyd, hańba!—zawołała panna Otylia.

— Nie—odparł Otton—to jedynie prawda. Niestety! takim jestem, jakim mię odmalowano... eh, gorszym jeszcze.

— Właśnie! — zawołała z wyrzutem dziewczyna.—To tak pan postępuje? Daleko z tem zajedziesz! Dałabym ja, gdyby mi chciał kto co zarzucić! Usłyszałby odpowiedź. Bah, bah, mam ja język nie od parady! I umiem się bronić, oho, zobaczycie! Właśniebym się też przyznała do winy! Nigdy w życiu, mój panie!.. chociażbym ją miała na czole napisaną. Tak się robi, jeśli chcemy, żeby nas ludzie szanowali. A kto ni be, ni me, to na niego i kozy skaczą. Jak żyję, nie słyszałam jeszcze nic podobnego. To może pan się boi? To może pan i łysy?

Otton nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

— Co do tego, protestuję: nie jestem łysy—odparł.

Otylia zawstydzila się i zmieszała znowu.

— Najpokorniej przepraszam Waszą Książęcą Mość,— rzekła — sama rozpuściłam język, ale nie przez brak szacunku. Sam pan widzi, że pan jest dobry, i musi pan to przyznać, Wasza Książęcą Mość... Zresztą, jaśnie pan sam wie najlepiej, jakim jest rzeczywiście.

— Cóż ci na to odpowiem?— rzekł z uśmiechem książę.— Jesteś dobrą kucharką, jak mogłem się wczoraj przekonać, i z pewnością umiesz wybornie przyrządzać niejedną potrawę,— ale zdarzyło ci się może nieraz widzieć najlepsze rzeczy tak cudacznie pomieszane przez nieumiejącą gospodynię, że nikt przelknąć nie może frykasu? Widzisz, to podobne do mnie. Jestem pełen dobrych przymiotów, ale całość na nic się nie zda. Jestem — jakby ci to powiedzieć w jednym słowie? — czekolada z pomarańczą.

— To mi tam wszystko jedno, jesteś pan dobry i koniec — odparła zawstydzona, że nie zrozumiała porównania.

— Jedno tylko jest pewnem, że ty jesteś dobrą— zauważył książę z uśmiechem.

— Ach!—zawołała, rumieniąc się z zadowolenia — bardzo pięknie pochlebiać! Ale wiem dobrze, co mam o tem myśleć. Mężczyźni.

— Moja droga, przecież ja jestem już stary — rzekł filuternie, robiąc znaczącą aluzję do jej wczorajszego okrzyku.

— Stary? Za dziecko wzięłby pana każdy, ktoby cię słyszał, a choć jesteś księciem, gdybyś mi przyszedł do kuchni przeszkadzać, przywiązałabym ci ścierkę do pasa. Boże sprawiedliwy! — zawołała nagle, z przestraczem uderzając w dłonie — całe szczęście, że Wasza Książęcą Mość mi przebaczy. Ciągłe się zapominam.

— I ja także, — odparł książę — i to mi właśnie zarzucają.

Wyglądali w tej chwili na zakochaną parę, a choć szum wodospadu zmuszał ich mimowoli do podnoszenia głosu, ciekawe oko, śledzące ich z góry, mogło dopatrzeć

w ich ruchach, zbliżeniu, śmiechu i wesołości pewien stan podniety.

Jakiś głos szorstki, z po za krzaku ciernia, zawołał na Otylię po imieniu. Dziewczyna zbladła.

— To Fritz,—rzekła cicho—muszę uciekać.

— Biegnijże, moje dziecko, i nie potrzebuję ci mówić: bądź spokojną. Sama przekonałaś się pewnie, że zbliżka nie jestem straszny.

Pożegnał ją skinieniem ręki, dziewczę odpowiedziało mu uśmiechem, pobiegła kilka kroków i zatrzymała się znowu, aby mu złożyć ukłon, przypomniawszy sobie, że tak poufale nie żegna się księcia.

Otton powrócił na swój skalisty przylądek, lecz humor jego zmienił się zupełnie. Zmienił się i krajobraz: słońce, już dość wysoko podniesione, śmielsze rzucało na wodę promienie, a błękit nieba, zieloność wybrzeża i blaski złote mieniły się razem, rzucając na powierzchnię barwne arabski. Wiatr igrał z falą, z której wytryskały co chwila jasne gwiazdy.

W duszy księcia obudził się dziwny niepokój pod wpływem tego piękna, które go oczarowało: z tamtej strony granicy to cudne ustronie choć pośrednio należałoby do niego, tutaj—było krajem obcym. Dotychczas nie znał zupełnie rozkoszy, wynikającej z posiadania; ciekawe i piękne rzeczy, które należały do niego, były mu obojętne, lecz w tej chwili po raz pierwszy w swoim życiu doznał uczucia, które wydawało mu się pragnieniem rzeczy, należącej do innego. Była to poprostu zazdrość, zazdrość niewinna wprawdzie, uśmiechnięta, lecz zazdrość—pożądanie cudzej winnicy przez grzesznego Achaba.

Uśmiechnął się do siebie na to porównanie, rad był jednakże, kiedy nadejście Killiana wyrwało go z tych myśli.

— Spodziewam się, wielmożny panie, że dobrze spałicie dzisiaj pod moim niskim dachem? — zaczął spokojnie wieśniak.

Otton wolał unikać szczerzej odpowiedzi.

— Zachwygam się tutaj — odparł — ślicznym kawałkiem ziemi, na którym macie szczęście mieszkać, mój dobry ojciec.

— Tak, nasze pola, — rzekł z uśmiechem wieśniak, spoglądając dokoła, — tak, to ładny kawałek ziemi. Tam na wschodzie grunt pyszny, ciężki, urodzajny i głęboki. Pokazałbym panu mój zbiór z dziesięciu morgów. Albo i zboże w polu, aż miło popatrzeć! Powiadam panu, że w całym Grunewaldzie, ba! i w Gerolsteinie także, nie znalazłbyś folwarku równie żyznego i pięknego. Miewają ludzie po 60 (o co zawsze, siejąc, proszą pana Boga), miewają po 70 i po 100, — a ja miewam po 120 urodzaju! Ale to naturalnie i od gospodarza zależy.

— A rzeka rybna?

— Jak sadzawka, mój panie. A kto ma czas, to miło i połączyć tutaj, nad tą bębniącą wodą, po zielonym brzegu, między temi skałami, strojnymi w zieloność, jak dziewczęta w niedzielę. A choćby i te Boże kamienie, co błyszczą jak złoto i klejnoty! Napatrzy się człowiek skarbów, nie szukając daleko. Ale, wielmożny panie, ośmielam się zwrócić uwagę, że w waszym wieku należy zacząć się wystrzegać reumatyzmu. Między 30 a 40 laty to czas siejby, że tak powiem, tej uprzykrzonej choroby, i niedobrze z pustym żołądkiem przechadzać się tak rano po chłodzie i wilgoci. Proszę też przyjąć moją dobrą radę, i pójdźmy prędzej, bo śniadanie czeka.

— Jak najchętniej — rzekł Otton poważnie.

Skierowali się w stronę folwarku.

— Więc całe życie spędziliście tutaj? — zapytał ksiązę, idąc.

— Tutaj, mój panie; tu się urodziłem i pragnąłbym powiedzieć: tutaj umrę. Ale fortuna, panie, kołem się toczy, jak mówią. Powiadają, że ona ślepa, ale ja wolę wierzyć, że dalej widzi od nas. Tak, tu się urodziłem, i mój dziad i ojciec, wszyscy trzej uprawiamy te same zagony, jeden

po drugim. Każda bródza w polu, którą mój pług kraje, leży na bródzie, przez nich wyżłobionej. Znajdziesz pan imiona nasze, wyrżnięte na ławce w ogrodzie: Jan i dwóch Kilianów... Tak, mój panie, na starość trzeba być przygotowanym do wielkiej zmiany w życiu. Niekiedy zdaje mi się, że widzę jeszcze mego ojca, zacnego starca w ba wełnianej czapce, po raz ostatni idącego tędy, jak gdyby chciał pożegnać każdy kawałek ziemi. „Kilianie,—mówił— widzisz ten dym z mojej fajki? To życie...” Tak powiedział, i to była jego ostatnia fajka,—a ja myślę, że wiedział o tem. A musi to być jednak bardzo dziwnie zostawiać tak za sobą wszystko: drzewa, które człowiek sadził, syna, którego wychował, nawet i starą fajkę z głową Turka, którą palił jeszcze będąc chłopcem i zalecając się do przyszłej żony. Ale nikt na tej ziemi nie ma stałego domu, a co do wieczności znowu, to miło pomyśleć, że nie na własne tylko zasługi liczyć możemy. To wszystko prawda, a jednak nie umiem wypowiedzieć panu, jak mi przykro, że nie umrę na swoim starem łóżku.

— Dlaczego?—spytał Otton.— Cóż was stąd wygania?

— Los, panie. Sprzedają folwark... trzy tysiące dukatów. Gdyby trzecia część tego, nie potrzebuję się chwalić, ale przy moim kredycie i mając trochę oszczędności, zdobyłbym się na tę sumę. Trzy tysiące jednakże... trzy tysiące bitych dukatów... chybaby coś nadzwyczajnego... A tak, jeśli nowy właściciel nie zechce mię zostawić na folwarku, trzeba się będzie wynieść.

Mówił to z rezygnacją smutną, lecz spokojną, jak człowiek przygotowany na wszystko. W sercu Ottona jednak słowa starca nowe zbudziły uczucia: jego chęć posiadania tego pięknego ustronia nabrała realnej siły, a głos rozsądku dawał jej podkład praktyczny. Bo jeśli to, co słyszał, było istotnie prawdą, Grunewald przestanie wkrótce być dla niego bezpiecznem schronieniem. I czyż przezorność nie nakazuje zawczasu przygotować sobie na taki wypadek spokojnego



kącika? A gdzież na świecie znajdzie piękniejsze ustronie? I Gottesheim był typem bardzo sympatycznym, — uczciwy, sumienny, prawy: skarbem jest podobny dzierżawca. Każdy z nas zresztą lubi grać rolę Opatrzności. Zjawić się w chwili stanowczej i wyświadczyć usługę człowiekowi, który go tak głęboko upokorzył wczoraj surowością słów swoich, wydało się księciu szlachetną i godną go zemstą. Ożywił się tą myślą i we własnych oczach nabrał pewnej wartości.

— Przypuszczam, — rzekł powoli — iż znajdę na ten folwark nabywcę, który w dalszym ciągu chętnie korzystać będzie z waszej pracy i doświadczenia.

— Czy podobna, mój panie? Ach, jakże byłbym wam wdzięczny! Człowiek się całe życie uczy rezygnacyi, a wkońcu widzi, że to jak lekarstwo: zwodzi, a nic nie pomoże.

— Możecie nawet tak ułożyć kontrakt, — ciągnął książę — że użytkowanie folwarku będzie wam zapewnione aż do końca życia.

— A czy wielmożny pan sądzi, — odezwał się wieśniak nieśmiało — że przyjaciel pański nie zgodziłby się na przyznanie mi prawa przekazu? Fritz jest porządnym chłopcem.

— Młody jeszcze — rzekł książę chłodno. — Niech zdołą do własnych siłach stanowisko i nie liczy na dziedzictwo.

Ale Gottesheim zaczął po chwili milczenia:

— Chłopiec dawno już jednak pracuje na tej ziemi, panie, a w moim późnym wieku (skończę 78 podczas żniwa), w moim wieku, proszę pana, niema nic pewnego, i właściciel mógłby prędko być w kłopotcie, kogo znaleźć na moje miejsce. Licząc na Fritza, spałbym już spokojnie. Myślę, że takie względy powinny go skłonić do przyjęcia tego warunku?

— Fritz ma przewrócone w głowie — zauważył książę sucho.

— Jednak nowy właściciel... — zaczął Kilian. Książę zarumienił się z niecierpliwości.

— Nabywca to ja — rzekł krótko.

— Powiniennem to był odgadnąć—szepnął starzec, kłaniając się uniżenie.—Wielmożny pan uszczęśliwia swoją łaską starca, i mogę powiedzieć prawie, że nie wiedząc o tem, ugościłem anioła w swoim domu. O, gdyby wszyscy moi tego świata, to jest ci, co mają władzę, posiadali takie serce, ileż szczęśliwych ognisk zapłonęłoby znowu, ilu biednych przypomnieliby sobie wesołe pieśni!

— Nie należy sądzić nigdy zbyt surowo—wyrzekł poważnie książe;—każdy z nas ma swoje wady i słabości.

— To święta prawda, panie — uroczyście potwierdził wieśniak. — Lecz jakimże imieniem mam nazywać szlachetnego mego dobroczyńcę?

Książe spojrział na starca, lecz w tej samej chwili błysnęło mu szczęśliwie wspomnienie Anglika, którego przed tygodniem przyjmował w pałacu, i drugiego włóczęgi tej samej narodowości, znanego mu przed laty. To też odparł spokojnie.

— Nazywam się Transome i jestem podróżnikiem angielskim. Dziś wtorek... we czwartek przed południem przyjedźcie do Mittwalden, i skończymy interes. Spotkamy się w zajeździe „Pod gwiazdą poranną.”

— Na rozkazy we wszystkim, co słuszne i sprawiedliwe—wyrzekł pokornie wieśniak.—Więc pan jesteś Anglikiem? To ród wielki podróżników. Czy wielmożny pan zna się trochę na rolnictwie?

— Zajmowałem się tem trochę, co prawda, nie w Gerolsteinie! Lecz fortuna kołem się toczy, jak sami powiedzieliście, i chcę być przygotowanym na jej niespodzianki.

— Bardzo słusznie, wielmożny panie, bardzo słusznie—powtarzał Kilian, idąc z głową pochyloną.

Zbliżali się tymczasem do folwarku, i minąwszy winnicę, wyszli właśnie na łąkę. Od pewnego już czasu słyszeli wyraźnie dwa podniesione głosy, które z każdą chwilą zdawały się zbliżać, i wyszedłszy nakoniec na otwarte miejsce,

spozrzedli o kilka kroków Fritza i Otylię. Chłopiec, czerwony z gniewu, mówił głosem ochrypłym, po każdym zdaniu uderzając pięścią w dłoń drugiej ręki; dziewczyna, bokiem trochę zwrócona do niego i wzburzona widocznie, broniła się jednak z energią.

— Ot, masz znowu, mój Boże!..—szepnął starzec, zwracając się na boczną ścieżkę, aby ominąć z dala tę niezgodną parę, ale Otton przeciwnie, skierował się ku nim, jakby przeczuwał, że jest przedmiotem ich kłótni.

Istotnie, na jego widok Fritz stanął w tragicznej pozycji, gotując się do walki.

— A, jesteś pan!—zawołał, skoro tylko spostrzegł, że głos jego mógł być usłyszonym.—Odpowiedz mi natychmiast... jesteś przecie mężczyzną u pioruna... coście tam oboje robili za krzakami? Po coście się ukryli?

— Ha! — zawołał ze wściekłością, zwracając się znów do Otylii—i pomyśleć, że to kobieta, której oddałem serce!

— Przepraszam—przerwał Otton—wszak do mnie przemawiasz, mój zuchu? Jakiemże prawem żądasz, abym ci zdawał sprawę ze słów panny Otylii? Jesteś jej ojcem, bratem, czy też mężem?

— E, mój panie,—rzekł wieśniak—sam wiesz dobrze, że to moja narzeczona; skoro ją kocham, i ona powinna mię kochać. Ale niech to zrozumie, że ja nie pozwolę sypać sobie piasku w oczy. Mam też swoją ambycję i dumę, mój panie!

— Być może, jednak muszę przedewszystkiem wyjaśnić ci, mój przyjacielu, co to znaczy kochać. Miłość prawdziwa mierzy się ufnością i dobrocią serca. Możesz mieć swoją dumę i ambycję, to bardzo pięknie nawet, ale czyż dlatego twoja narzeczona nie ma prawa do zaufania i szacunku? Nie mówię tu o sobie. Zdaje mi się jednak, że gdybyśmy zaczęli skrupulatnie i drobiazgowo roztrząsać twoje postępowanie, może niejednego kroku nie umiałbyś usprawiedliwić.

— To wcale nie odpowiedź — odparł młodzian śmiało. — Mężczyzna jest mężczyzną, a kobieta kobietą, i każdy wie o tem dobrze, czy to na wsi, czy w pałacu. Powtarzam moje pytanie i żądam jasnej odpowiedzi — oto wszystko.

Narysował kresę, niby granicę, na piasku i postawił na niej nogę w pozycji wyzywającej.

Książę odparł spokojnie:

— Sądzę, że skoro lepiej poznasz i zrozumiesz zasady liberalizmu, mój bracie, zmienisz ton swojej mowy. Kto chce równości, ten nie może posługiwać się podwójną miarą, a ty dla każdego masz inną: inną dla kobiety, inną dla mężczyzny, inną chcesz sądzić księcia, a inną wieśniaka. Taki z ciebie liberal? Potępiasz księcia, który zaniedbuje żony, i jesteś bardzo surowym dla niego, a narzeczony może znieważać swą przyszłą? Piękne zasady! Bronisz się miłością, ale ja sądzę, że panna Otylia ma prawo zrzec się takiej miłości. Bo gdybym ja, człowiek obcy, pozwolił sobie względem tej młodej kobiety dziesiątej części grubijaństw, których się dopuściłeś, rozwaliłbyś mi głowę bez najmniejszej kwestyi, i postąpiłbyś słusznie: obowiązkiem kochanka jest zawsze stać w obronie swojej ukochanej. Brońże jej więc przed samym sobą przedewszystkiem!

— Pięknie, dobrze powiedziane — potwierdził Gottesheim, który stał obok ze splecionymi na plecach rękoma. — Jakby z Pisma Świętego!

Fritz był pokonany nie tylko niezaprzeczoną i widoczną wyższością księcia, ale i głosem własnego sumienia, które mu wytykało jego błędy. Przypomnienie także zasad liberalnych zmieszało go niepomału.

— To wszystko dobrze, — mruknął — i jeśli zbłądziłem, gotów jestem to przyznać. Nie miałem złej chęci... zresztą byłem w swoim prawie... choć nie chcę powiedzieć przez to, że się trzymam starych, spróchniałych idei, nie... Jeśli powiedziałem co niedorzecznego, chętnie przeproszę tę, którą obraziłem słowem nierozważnem...

— Nie mówmy o tem więcej—przerwała z pośpiechem Otylia.

— Zapewne... z tem wszystkim jednak, nie dowiedziałem się wcale, o czem rozmawialiście tam za skałą—rzekł Fritz z wyraźnem niezadowoleniem.—Ona mi dowodzi, że przyrzekła tajemnicę, ale ja chcę o tem wiedzieć. Grzeczność grzecznością, ale za nos wodzić się nie dam, ani wmawiać w siebie byle czego. Mam do tego prawo, chociaż jestem dopiero narzeczonym.

— Zwróć się z tem zapytaniem do pana Gottesheima,—odezwał się poważnie książę—a zrozumiesz, że nie traciłem czasu dzisiaj z rana. Od świtu zwiedzam folwark, który zamierzyłem kupić, więc zaspokój swoją ciekawość, którą w każdym razie uważam za niewłaściwą i całkiem zbyteczną.

— O! — zawołał Fritz, nagle zmieniając wyraz twarzy i cofając się ze zdumieniem. — Interesa! To zupełnie co innego. Tylko po co ten sekret? Ale jeśli wielmożny pan kupuje folwark, to niema o czem mówić... naturalnie.

— Naturalnie—powtórzył Kilian z głębokim przekonaniem:

Ale teraz Otylia nabrała odwagi.

— Aha! — krzyknęła.—Czy ci nie mówiłam? Nie powtarzałam ciągle, że tu chodzi o twoje dobro? Widzisz, sam widzisz! Wstydź się teraz swoich podejrzeń i niegrzeczności. Powinieneś za to przeprosić na kolanach i wielmożnego pana — i mnie.

ROZDZIAŁ IV,

w którym książę zbiera opinie w podróży.

Był to prawdziwy szczyt dyplomacyi, że książę zdołał przed południem wymknąć się z gościnnych progów Kiliana Gottesheima. Uwolnił się przecież wreszcie i od uciążliwej

wdzięczności starego wieśniaka, i od poufałości jego córki, ale nie tak łatwo było pozbyć się pana Fritza. Młody polityk oznajmił z bardzo tajemniczym spojrzeniem, iż odprowadzi go do szosy, a Otton, podejrzewając w tem resztki zazdrości, przez wzgląd na pannę Otylię nie śmiał odrzucić propozycji. Skoro jednakże znaleźli się sami na wiejskiej drodze, pragnienie swobody ze zdwojoną siłą obudziło się w sercu księcia, i podejrzliwym okiem śledząc swego towarzysza, czekał niecierpliwie chwili wyzwolenia.

Czas jakiś Fritz w milczeniu postępował obok konia, który szedł stępa, i przebyli tym sposobem więcej niż połowę drogi, nim wieśniak z widocznym pomieszaniem i nieśmiałością odważył się zacząć rozmowę.

— Chciałem was zapytać, panie—rzekł, podnosząc na księcia ciekawe spojrzenie,—czy jesteście socyalistą?

— Ależ—nie...—odparł Otton.—Niezupełnie się zgadzam z tem, co rozumieją zwykle pod tą nazwą. Skądże to pytanie?

— Zaraz to panu powiem. Poznałem odrazu, że jesteś pan gorącym postępowcem i powstrzymujesz się tylko przez wzgląd na starego Kiliana. Co do tego, miałeś pan słusność: starzy są zawsze tchórze. A przytem mamy teraz tyle grup odmiennych ludzi pokrewnych przekonań, że trudno wiedzieć z góry, jak daleko sięga najśmielszy. Nie byłem też zupełnie pewny, czy należysz pan do wolnomyślnych, dopóki nie zacząłeś mówić o kobietach i o wolnej miłości.

— Co? — zawołał zdumiony Otton. — Ani słowa nie pisałem o podobnych rzeczach!

— To się rozumie samo... naturalnie... o, nie kompromitującego! Rzucasz pan tylko myśli, oto wszystko: badanie gruntu, jak powiedziałby nasz prezydent. Ale trzeba być chytrym, żeby mnie wywieść w pole; znam ja dobrze naszych mówców, ich sposoby postępowania i doktryny. A mówiąc między nami,—dodał, głos zniżając—jestem też członkiem,

ja sam... Tak, panie, jestem członkiem tajnego stowarzyszenia i mam medal...

Rozpiął koszulę, zdjął z szyi zieloną plecionkę i podał księciu zawieszony na niej medal z wyobrażeniem odradzającego się Feniksa i napisem: Libertas.

— Teraz sam pan widzisz, że możesz mi ufać—rzekł, chowając swój skarb z powagą.—Nie jestem pierwszym lepszym samochwalcą, lecz rewolucjonistą z przekonania.

I rzucił na księcia wzrokiem tryumfatora i uwodziciela.

— Rozumiem—odparł Otton.—To wystarczające. Jednakże, mojem zdaniem, przyjacielu, ten najlepiej służy swojemu krajowi, kto jest przede wszystkim uczciwym człowiekiem. Co do mnie, chociaż się nie omyliłeś, przypuszczając, że jestem zamieszany w sprawy polityczne, nie mogę cię objaśnić więcej, gdyż ani mój charakter, ani zdolności nie nadają się do roli wodza. Natura przeznaczyła mi widocznie, abym słuchał i wykonywał wolę innych. A jednakże każdy z nas musi panować nad czemś, chociażby tylko nad własnymi namiętnościami, panie Fritz, i człowiek, który myśli o małżeństwie, powinien się nad tem dobrze zastanowić. Stanowisko męża, jak panującego, jest bardzo sztuczne i zawiłe: jednemu i drugiemu trudno dobrze postępować. Czy rozumiesz, co chcę powiedzieć?

— O, tak, naturalnie!.. każdą rzecz zrozumieć mogę—mówił Fritz, zmieszany kierunkiem rozmowy i niezadowolony z rezultatów swoich wyznań.—Ale, — zapytał nagle z ożywieniem — czy nie na arsenał kupiłeś pan folwark?

— Zobaczymy—odparł, śmiejąc się, książę.—Nie okazujmy zbytku gorliwości... tymczasem, gdybym był tobą, wolałbym nie wiedzieć o niczem... co do tej sprawy.

— O, niech pan będzie spokojny! — zawołał Fritz uszczęśliwiony, chowając do kieszeni dukata.—Nie słyszałem od pana ani słowa... ani słowa. Poznałem ja odrazu, co to znaczy, i mogę powiedzieć teraz, że wiem wszystko. Niech pan pamięta tylko, — dodał z miną tajemniczą — gdyby

było potrzeba przewodnika, znam te lasy jak własną kieszeń, każdą zajęczą dróżkę.

Pozostawszy sam wreszcie, Otton przyśpieszył kroku, śmiejąc się w duszy z niezwykłej rozmowy. Ubawił się nią szczerze. Rad był także ze swego zachowania się na folwarku, gdzie—przyznawał—łatwo było popełnić wiele błędów. Na domiar harmonijnych wrażeń, piękność drogi i świeże wiosenne powietrze przyjemnie oddziaływały na niego.

Spływając z gór i znowu wznosząc się łagodnie po garbatych pochyłościach, piękna, szeroka szosa wiodła w kierunku Mittwalden. Po obu stronach stały proste, wyniosłe i równe drzewa iglaste, zanurzając korzenie w ciemnym i wilgotnym gruncie, osłaniając u stóp swoich chłodnym cieniem mszyste kobierce, kryształowe źródła i szemrzące strumienie. I wszystkie drzewa, wysokie i silne, młode, wysmukłe, wątle, stały równo, zwartym szeregiem, w szatach zielonych, podobne do siebie, niby armia milcząca pod bronią. Wioski, miasteczka kryły się w oddali, na prawo i na lewo, jak gdyby nie śmiały przed oczyma przejezdnych odsłaniać swoich tajemnic. Kiedy niekiedy tylko w głębi zielonej doliny spostrzegał książę czerwoną gromadkę dachów skupionych, albo gdzieś na wzgórzu samotną chatę drwała. Szosa była własnością międzynarodową, dla stolic i miast wielkich i odległych, drobne życie Grunewaldu pomijała lekceważąco. Stąd jej samotność cicha i poważna.

Niedaleko od granicy Gerolsteinu spotkał książę niewielki oddział swego wojska, maszerujący pośród gorącego pyłu. Poznano go i powitano okrzykiem, bez wielkiego zapału. Odtąd jechał sam długo pośród drzew milczących. I zwolna rozpraszała się jego wesołość, a swobodę umysłu mącić zaczęły wspomnienia. Wkrótce obsiadły go, jak rój komarów. Słowa nocnej rozmowy na wiejskim folwarku spadały mu na głowę, niby grad pocisków. Przerażony, zgnębiony, obejrzał się wkoło, jakby szukając punktu oparcia

dla myśli, — i rzeczywiście na poprzecznej drodze, przecinającej szosę, spostrzegł jeźdźca.

Głos ludzki i obecność obcego człowieka wydały mu się chłodnym źródłem na pustyni. Zatrzymał konia, czekał.

Nadjeżdżający człowiek był widocznie wieśniakiem: czerwony, opalony, z grubemi wargami i zamglonem, słodkim spojrzeniem. Przez konia przewieszono dwie ciężkie sakwy utrudniały mu jazdę, a u pasa wisiała gliniana butelka.

Na wezwanie księcia odpowiedział wesołym okrzykiem, lecz zarazem całą figurą wykonał tak niezwykły ruch na siodle, iż Otton odgadł natychmiast, że butelka nie była już pełną.

— Czy jedziecie do Mittwalden? — zapytał uprzejmie.

— Aż do drogi na Tannenbrunn—odparł człowiek.— Pojedziemy razem, hm?

— Z przyjemnością; dlatego czekałem tu na was.

Wkrótce postępowali obok siebie. Instykt wieśniaka skierował wzrok jego przedewszystkiem na konia; zamgloną źrenicą badał wierzchowca i praktycznym zmysłem oceniał jego wartość.

— Do dyaska!—mruknął w końcu—pięknego konia macie, przyjacielu!

Zaspokoiwszy swoją ciekawość w tym względzie, podniósł oczy na jeźdźca, jak na szczególnie drugorzędny.

— Książę!—zawołał nagle, kłaniając się z takim impetem, że tym razem o mało nie zleciał na ziemię.—Wasza Książęca Mość niech mi wybaczy, że nie poznałem zaraz, ale...

Gniew nagły pozbawił księcia zimnej krwi i panowania nad sobą.

— Skoro mię znasz,—rzekł cierpko—nie mamy potrzeby jechać obok siebie; wyprzedzę cię zatem, jeśli łaska.

Spiął ostrogami białego rumaka, aby słowo w czyn zmienić, ale chłop pijany wyciągnął się szybko i pochwycił mu cugle.

— A to co znowu, księżę czy nie księżę? — zawołał gburowato. — To tak się z ludźmi postępuje? Pod maską bardzo pięknie, miłe towarzystwo, a kiedy cię poznałem, wyprzedzisz mię, jeśli łaska!.. Szpieg! — ryknął prawie w twarz Ottonowi, purpurowy od trunku i dotkniętej próżności.

Księżę się zmieszał; zrozumiał w tej chwili, że przecenił znaczenie swego stanowiska, a być może, iż doznał też pewnej obawy, zważywszy, iż zuchwalec nie był zupełnie przytomny.

— Puść cugle! — zawołał jednak dość stanowczo.

Ku zdumieniu Ottona chłop puszczał bez wahania.

— Wiedz, mój panie, — rzekł wtedy zimno i wyniosłe — iż jakkolwiek przyjemnie byłoby mi może podróżować z tobą, jako człowiek obcy, rozmawiając spokojnie o różnych przedmiotach, o których życzyłbym sobie poznać twoje zdanie, nie mogę być spragnionym czczych grzeczności, jakie z was każdy uważa za najstosowniejsze dla księcia.

— Myślisz, że ci będę kłamał? — krzyknął pijak, czerwieniąc się znowu gwałtownie.

— Nie wątpię o tem — odpowiedział księżę już zupełnie spokojnie. — Nie pokażesz mi np. medala, który masz na szyi — dodał ze znaczącym spojrzeniem, dostrzegłszy zieloną plecionkę na krótkiej szyi gbur.

Skutek tych wyrazów był piorunujący: czerwona twarz pijaka stała się zielono-żółta, grubą i drżącą ręką sięgnął do koszuli, jak gdyby chciał osłonić zdradziecką plecionkę.

— Jaki medal? — zapytał, całkiem wytrzeźwiony. — Żadnego medala nie mam!

— O, nie zapieraj się! — rzekł księżę chłodno — opowiem ci dokładnie, jak wygląda: jest na nim Feniks w płomieniach i napis: Libertas.

Chłop szeroko otworzył usta i zawzięcie mrugał oczyma, jakby nie mógł powstrzymać spadających powiek.

— A teraz się zastanów, czy ci wypada uskarżać się na niedelikatność człowieka, przeciw któremu spiskujesz, aby go zamordować?

— Zamordować? — wyjąkał wieśniak. — O co do tego, to wcale nie! Nigdy w życiu. Nie mieszam się do spraw kryminalnych, o, nie!

— Z tego widzę jedynie, że cię niedokładnie objaśniono co do tej kwestyi — zauważył Otton. — Każdy spisek sam przez się jest już sprawą kryminalną i pociąga za sobą karę śmierci. Tak, panie, karę śmierci; mogę cię uroczyście zapewnić, że nie przesadzam ani trochę. Niepotrzebnie się jednak tak wzruszasz tą wiadomością — ja nie jestem żandarmem. Tylko widzisz, kto chce mieszać się do polityki, powinien znać dokładnie obie strony medalu.

— Wasza Księżęca Mość... — zaczął niepewnym głosem wieśniak.

— Dajże pokój, mój drogi! Cóż wspólnego republikanin ma z Księżęcą Mością? Lecz jedźmy dalej. Ponieważ tak gorąco pragniesz mojego towarzystwa, nie mam serca pozbawiać cię tej przyjemności. A zresztą pragnę zadać ci jedno pytanie: powiedz mi, czemu — skoro jesteście tak liczni, 15 tysięcy spiskowych, jak mówią, a prawdopodobnie i więcej — wszak prawda?..

Wieśniak otworzył usta, ale wydał tylko dźwięk głuchy, niewyraźny.

— Niechby piętnaście tysięcy... — powtórzył Otton. — Skoro stanowicie partję tak silną, czemuż nie zgłosicie się do mnie otwarcie ze swemi żądaniami?.. z rozkazami, chciałem powiedzieć? Czyż sądzicie, że tak cenię swoją władzę? Nie wierzę temu. Pokażcie mi swoją większość, a abdykuję natychmiast. Natychmiast, słyszysz? Powtórz to swoim przyjacielom. Zapewnij ich z mojej strony o zupełnej wyrozumiałości. Niech wiedzą, że cokolwiek sądzili o mnie i mojej nieudolności, mój własny sąd pod tym względem

jest o wiele surowszy. Jestem najgorszym księciem w całej Europie—cóż więcej powiedzieć mogą?

— Nie myślę tego wcale—zaczął wieśniak.

— Widzisz, że gotów jesteś stanąć w obronie rządu—zaśmiał się Otton.—Doprawdy, na twojem miejscu porzuciłbym spiski. Tak samo nie stworzony jesteś na spiskowca, jak ja na panującego.

— Jedno przecież powiem głośno i otwarcie—zawołał chłop z odzyskaną już śmiałością:—Nie na ciebie się uskarżamy, tylko na twoją panią.

— Ani słowa więcej!—zawołał księżę w uniesieniu.—Raz jeszcze radzę ci—dodał po chwili z gniewem i nieukrywaną pogardą:—wycofaj się z polityki. A jeśli cię kiedy spotkam, bądź trzeźwiejszym. Kto się upija od rana, ten nie ma najmniejszego prawa sądzić chociażby najgorszego z książąt.

— Kropelkę tylko skosztowałem, ale nie piłem wcale—bronił się chłop z przekonaniem o słuszności tego rozróżnienia.—A zresztą—przypuśćmy nawet, że jestem pijany,—dobrze, jestem pijany! I cóż z tego? Nikt ode mnie nie zależy. Moja piła świętuje i oskarżam oto twoją żonę. Czy ja sam tylko? Idź, pytaj wszędzie. Co robią nasze tartaki i piły? Co robi młodzież, która powinna pracować? Co się dzieje z pieniędzmi? Wszystko zatrzymane,—ni tu, ni tam. Nie, panie, to zupełnie co innego: na tem ja cierpię, cierpię za twoje błędy, płacę za nie z mojej kieszeni, z kieszeni biedaka, mój panie! A moje błędy co kogo obchodzą? w czym cię krzywdzę? Pijany, czy nie pijany, widzę jasno, że kraj dyabli biorą i z jakiej przyczyny. A teraz powiedziałem... możesz mię kazać wrzucić do przekłętogo więzienia, to mi jest wszystko jedno. Powiedziałem prawdę. I pozostaję wtyle, ażeby uwolnić Waszą Księżęcą Mość od niegodnego towarzystwa.

Zatrzymał konia i niezgrabnie złożył księciu głęboki ukłon.

— Zwracam twoją uwagę,—rzekł Otton spokojnie—że cię nie zapytałem o nazwisko. Szczęśliwej drogi!

I uderzywszy konia, popędził galopem.

Pomimo jednak tej pozornej pewności siebie i spokoju, rozmowa z traczem stała mu kością w gardle. Od człowieka, którym pogardzał, odebrał na początek przykrą lekcję grzeczności, a wkońcu był pokonany na polu prostej logiki. I znowu wszystkie przykre i drażniące myśli odezwały się z całą goryczą.

Około godziny trzeciej zdecydował się wreszcie zwrócić na boczną drogę, wiodącą do Backsteinu, aby zjeść obiad gdzie w skromnej oberży. Nic już gorszego spotkać go nie mogło nad to, czego doświadczył.

W niewielkiej sali hotelowej w Backsteinie zauważył, wchodząc, siedzącego przy stole młodzieńca o twarzy inteligentnej, z książką w ręku. Otton kazał podać sobie nakrycie tuż obok, i przeprosiwszy grzecznie, zapytał sąsiada, co czyta.

— Przeglądam ostatnią pracę doktora Hohenstockwita, mego krewnego, a bibliotekarza księcia Grunewaldu—odparł swobodnie młodzieniec.— Człowiek to niepospolitej erudycji i nie pozbawiony talentu.

— Znam doktora Hohenstockwita,—odparł Otton—ale nie czytałem jeszcze jego pracy.

— Zazdroszczę panu zarówno pierwszego, jak drugiego; możesz korzystać z miłego stosunku i czeka cię przyjemność, która dla mnie będzie za chwilę przeszłością.

— Sądzę, iż wiedza pańskiego krewnego cieszy się zasłużonem i powszechnem uznaniem?

— W moich oczach stanowi to wymowny przykład potęgi intelektualnej wartości — rzekł młodzieniec. — Któż z inteligencji troszczy się dzisiaj o jego chlebobawcę i wychowawcę, nawet z nim spokrewnionego panującego księcia? A z drugiej strony, któż nie wie choćby ze słyszenia o do-

ktorze Gottholdzie? Tylko wyższość umysłowa, jedyna z pomiędzy wszystkich, opiera się na naturalnych podstawach.

— Widzę, że mam przyjemność mówić z filozofem, może z autorem?—grzecznie spytał ksiązę.

Twarz młodzieńca oblała się żywym rumieńcem.

— Nie mylisz się pan,—odparł—mam prawo do tych obudwu tytułów. Oto mój bilet. Jestem licencyatem... Roe-derer, autor kilku dzieł politycznych.

— Jestem rad podwójnie z trafu szczęśliwego, który pozwolił mi dziś spotkać pana, gdyż w całym Grunewaldzie mówią o blizkiej rewolucyi; a ponieważ pan specjalnie studujesz tę kwestyę, pragnąłbym bardzo usłyszeć, co sądzisz o tym ruchu?

— Z pytania tego wnosić mogę, że prace moje są panu nieznanne—odparł dość sucho uczony polityk.—Jestem niewzruszonym stronnikiem monarchii [i pod żadnym względem i w żadnych warunkach nie podzielam niedorzecznych rojeń i utopii empirystów, którzy bałamucą siebie i olśniewają ciemne masy. Epoka mrzonek takich już minęła, możesz mi pan wierzyć, albo skończy się lada chwila.

— Kiedy jednakże spojrzę dokoła siebie...—zaczął Otton.

— Kiedy spojrzysz pan wkoło siebie, — przerwał stanowczo licencyat — widzisz ciemnotę i głupców. Ale my, pracownicy myśli i twórcy opinii, przy blasku wszechwiedzącej nauki, zaczynamy powoli usuwać te błędy. My pragniemy powrotu do niezachwianych nigdy praw natury, co nazwałbym, używając terapeutycznego wyrażenia: metodą naturalną zastosowaną do nadużyć. Zechciej pan zrozumieć tylko rzeczywiste słów tych znaczenie — ciągnął dalej. — Weźmy przykład: kraj w warunkach Grunewaldu i ksiązę, jak wasz Otton, stanowią położenie, jak się zdaje, bez wyjścia; zbutwiałe formy i przeżyci ludzie, wszystko nieodwołalnie skazane na śmierć lub przerodzenie. Zgadzasz się pan? Jednakże ja wskazuję środek ratunku, nie przez brutalny i gwałtowny przewrót, lecz przez oddanie dobrowolne władzy w ręce zdol-

niejszego monarchy. Może to pana zajmie — mówił polityk z zapalem — i przypuszczam, że pana zainteresuję, przedstawiając mu mój ideał księcia. My, ludzie wiedzy, pracując w zamkniętym i cichym gabinecie, nie dążymy do życia czynu; dwa te rodzaje egzystencji wykluczają się nawzajem, jest to rzecz dowiedziona. Ale filozof na tronie nie byłby też stosownym, ³ chociaż potrzebnym jest gdzieś bardzo blisko, jako doradca w każdej ważnej chwili. Na księcia uważałbym za najodpowiedniejszego człowieka średniej inteligencji, raczej żywego niż głębokiego, o przyjemnem obejściu, umiającego podobać się i rozkazywać, przytem bystrego spostrzegacza, wesołego usposobienia, jednym słowem: sympatycznego. Od chwili, gdy pan wszedłeś, zwracam na ciebie uwagę, i oto mogę powiedzieć, że gdybym był Grunewaldczykiem, prosiłbym Boga o władcę podobnego do pana.

Księżę wybuchnął śmiechem.

— Czyż doprawdy? Istotnie?

Roederer śmiał się także z widocznym zadowoleniem.

— Wiedziałem, że zadziwię pana — rzekł wesoło. — To nie są poglądy tłumu.

— O, nie! Zapewniam pana.

— A właściwie — poprawił się licencyat z powagą — to nie są ideały tłumu w dniu dzisiejszym; lecz wybije godzina, może niedaleka, kiedy zejdą i na ten poziom.

— Wybacz pan, że wątpię — rzekł uprzejmie Otton.

— Skromność była i jest przymiotem godnym uwielbienia, zapewniam pana jednak, że mając do pomocy takiego doktora Gottholda np., byłbyś, podług mego zdania, zasadniczo przynajmniej, ideałem monarchy.

Na podobnej rozmowie czas upływał szybko i przyjemnie dla księcia; na nieszczęście jednakże, uczony licencyat, który był także w drodze do Mittwalden, zbyt niewprawnym był jeźdźcem, aby jej dziś mógł dokończyć, przebywszy już połowę. Pozostał więc na noc w Backsteinie, a Otton, chcąc uwolnić się od własnych myśli, które najuciążliwszem były

towarzystwem, przyłączył się do gromadki kupców, po większej części handlujących drzewem, którzy jechali także do stolicy i już od kilku godzin hałaśliwie pokrzepiali się w hotelowej sali. Byli to ludzie z różnych stron, poddani sąsiednich drobnych krajów, a to właśnie pożądanem było dla księcia: nie znali go osobiście, może i mniej o nim słyszeli.

Noc już zapadła, kiedy wyruszyli w drogę. Kupcy byli podochoceni i bardzo hałaśliwi; śmieli się bezustannie, płatali sobie figle, śpiewali chórem albo pojedynczo, zapominali o swym nowym towarzyszu i wyprzedzali go bez ceremonii, to znowu, przypomniawszy sobie, czekali na niego, żartowali, nawoływali. Lecz książę był zadowolony: mógł korzystać naprzemian z tej niezwykłej rozrywki, lub oddawać się samotności, słuchać ich nedorzecznego gadania, lub poważnej mowy lasów. Gwiazdziste niebo, lekki powiew wiatru, jednostajny tętent kopyt po twardej drodze, wszystko to zlewało się w harmonijną całość z jego usposobieniem. Był więc w dobrym humorze i zupełnie spokojny, kiedy wjechali razem na szczyt wzgórza, panującego nad stolicą.

W głębi leśnej doliny liczne światła miejskie tworzyły jakby błyszczące jeziorko, poprzecinane wyraźnie prostymi liniami ulic. Nieco z boku, na prawo, rezydencya księcia jaśniała, oświetlona jak fabryka.

Jeden z kupców był Grunewaldczykiem, lecz nie znał swego władcy. Ten zatrzymał się, i spojrzawszy na dół, wyciągnął bat swój w kierunku tych światel.

— Oto pałac Jezabel!—zawołał grubym głosem, w którym brzmiało oburzenie i szyderstwo.

— Jakto? Jak ją nazwałeś? — zapytali inni ze śmiechem.

— Tak ją tu nazywamy,—odpowiedział kupiec—podług Pisma Świętego.

Zaśmiał się grubo i zaintonował śpiewkę uliczną, którą towarzysze widocznie znali dobrze, bo natychmiast przyłączyli się do chóru. Jej książęca mość, najjaśniejsza Amelia

Serafina, księżna Grunewaldu, była bohaterką ballady, Gondremark jej bohaterem.

Chór ten policzkiem hańby zabrzmiał w duszy księcia. Zatrzymał nagle konia i jak skamieniały stał na tem samym miejscu. Śpiewający bez niego zwolna zjeżdżali w dolinę.

Nuta śpiewki, wesoła i szydercza razem, niedorzeczna i swobodna, długo i daleko płynęła w wilgotnem powietrzu, słowa oddawna stały się niezrozumiałe, a rytmiczne dźwięki, podnosząc się i opadając, dzwoniły w uszach księcia zniewagą.

Spiął konia ostrogami, aby uciec od nich. Niedaleko na prawo oddzielała się boczna droga, wiodąca wprost do pałacu. Tu się skierował i przebiegał szybko cieniste i starannie utrzymane aleje pięknego parku. Było to główne miejsce spacerowe dla mieszkańców stolicy, i w pogodne dni letnie dwór, arystokracja i wyższa burżuazja Mittwalden tu spotykały się i pozdrowiały. Lecz o tej porze park był pusty i samotny, ptaki tylko na gniazdach zaludniały go milczącą rzeszą; w gąszczu przebiegały trwożliwe zające; tu i owdzie wznosiła się biała statua, nieruchoma, z zastygłym gestem; tu i owdzie altanka lub fantastyczna świątynia odsyłały mu echo kroków jego konia.

Po dziesięciu minutach takiej jazdy znalazł się w górnej części własnego ogrodu, połączonego z parkiem za pomocą mostu. Tu były dworskie stajnie. Na ratuszowej wieży zwolna wybiła dziesiąta, powtórzył ją natychmiast wielki zegar pałacowy, a za nim zegary miejskie w oddaleniu. W stajniach książęcych panowała cisza, przerywana jedynie kiedy niekiedy brzękiem łańcucha, albo niecierpliwem uderzeniem podkowy.

Otton zsiadł z konia i wziął go za uzdę. Nagle przyszło mu na myśl dawno zapomniane opowiadanie o kradzieży owsa i dowcipnym masztalerzu, które przed laty jeszcze powtarzano sobie pośród pałacowych plotek. Nie zastanawiając się nad niem zbyt długo, przeprowadził konia przez

most i zapukał do okna oficyny siedm razy coraz ciszej. Pukając, nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Po chwili otworzyła się furtka przy bramie, i ukazała się w niej głowa ludzka. Przy blasku gwiazd można było poznać twarz stajennego.

— Nic dziś—szepnął głos jakiś.

— Latarni!—rozkazał książę.

— Boże miłosierny!.. — zawołał człowiek. — Kto tam?

— Ja, książę — odparł Otton. — Przynies mi latarnię, zabierz konia i otwórz wejście do ogrodu.

Człowiek pozostał jednak nieruchomy, milczący, z głową zawsze wysuniętą nazewnątrz furtki.

— Jego Książęca Mość!—szepnął nakoniec.—Ale... dlaczego Wasza Książęca Mość w tak dziwny sposób zapukał do mego okna?

— Przesąd — rzekł Otton.—Mówią w Grunewaldzie, że od tego tanieje owies.

Człowiek wydał nagle krzyk podobny do łkania i uciekł.

Kiedy ukazał się znowu, nawet przy blasku latarni wydawał się straszliwie bladym. Ręce mu drżały, gdy brał cugle konia, i długo dzwonił kluczem, nim go wsunął w zamek.

— Wasza Książęca Mość,—przemówił wreszcie—przez miłosierdzie Boskie...

I umilkł przygnieciony ciężarem swej winy.

— Przez miłosierdzie Boskie... i cóż dalej? — spytał Otton wesoło. — Przez miłosierdzie Boskie niechaj owies będzie tańszy? Słusznie mówisz. Dobranoc.

I szybko wszedł do ogrodu, zostawiając stajennego w powtórnem przerażeniu.

Z tej strony ogród stopniami tarasów obniżał się łagodnie do poziomu rzeki, aby po za nią wznosić się na nowo aż do stóp murów, uwieńczonych płaskimi dachami wśród śpiczastych wieżyczek. Nowożytna fasada pałacu z kolumnami, sala balowa, wielka biblioteka, prywatne pokoje książęce, cała część mieszkalna wreszcie obszernych tych

zabudowań zwróconą była ku miastu. Ta jaśniała potokiem światła. Od strony ogrodu, wśród ciemności, rysowała się poważnie druga część gmachu, o wiele starsza, teraz ciemna i milcząca. W kilku oknach zaledwie, tu i owdzie, na różnych piętrach, błyszczały blade, spokojne światelka. W jednym rogu wysoka, kwadratowa wieża strzelała w niebo coraz węższymi piętrami, niby olbrzymi teleskop, a na niej zatknięty sztandar książęcy panował nad wszystkim.

Ogród tchnął wonią fijołków i chłodem, jasne ścieżki wyraźnie odznaczały się wśród trawników przy blasku gwiazd migotliwych, ciemne kontury klombów, drzew i krzewów fantastycznie rysowały się na tle nocy.

Książę zbiegł szybko po szerokich schodach marmurowych, jakby chciał uciec przed własną swą myślą. Przed tym wrogiem jednakże niema na świecie schronienia. Dźwięk muzyki balowej uderzył go nagle: w pałacu tańczono. Były to oderwane, słabe tony w tem oddaleniu, lecz potrafiły drgającą w nim jeszcze strunę pamięci: w niejasnej melodii słyszał piosnkę uliczną, szyderczą, wesołą, która powtarzała imię jego żony...

I czarna noc rozpaczy spadła na książęcą duszę. Oto chwile powrotu: żona tańczy w otoczeniu... dworu... mąż płata figla lokajowi... a tymczasem poddani bawią się ich kosztem, układają o nich anegdoty.

Takim człowiekiem, mężem, księciem panującym jest Otton!..

I zaczął biedz znowu.

O kilka stopni niżej zatrzymany został przez płacówkę,—nieco dalej przez drugą,—na moście koło sadzawki po raz trzeci zaczepił go oficer, prowadzący patrol. Podobna czujność nieznaną była w Grunewaldzie, ale nie obudziła ciekawości księcia. Gniewała go jedynie.

Odźwierny przy drzwiach prywatnych otworzył mu i cofnął się nagle z przestraczem na widok zmienionej

twarży swego pana. Otton wbiegł na schody, szybko minął korytarze i nakoniec szczęśliwie, nie spotkawszy nikogo, wpadł do swojej sypialni. W ciemności zdarł z siebie suknie i rzucił się na łóżko.

Wesołe takty balowej muzyki dochodziły aż tutaj kiedy niekiedy, a skoczne tony w duszy nieszczęsnego księcia łączyły się z szyderczym chórem grubych głosów i melodyą ulicznej śpiewki.

KSIEGA DRUGA.

MIŁOŚĆ I POLITYKA.

ROZDZIAŁ I.

Co zaszło w bibliotece.

Nazajutrz z rana, o trzy kwadransy na szóstą, doktor Gotthold siedział już przy swoim biurku w bibliotece.

Przy nim stała niewielka filiżanka czarnej kawy, a uczony, przeglądając z uwagą wczorajszą swą pracę, kiedy niekiedy podnosił wzrok w górę i błędził nim w zadumie po freskach sufitu, białych posągach, ustawionych wokoło na wielkich szafach, i długich szeregach książek w różnobarwnej oprawie. Był to człowiek, mający lat koło czterdziestu, jasny blondyn, o rysach twarzy delikatnych, trochę zmęczonych i błyszczących oczach, chociaż nieco przygasłych. Na rozbawionym dworze prowadził życie proste i spokojne; kładł się wcześniej, wstawał rano i kochał dwie rzeczy: naukę i reńskie wino.

Pomiędzy nim a księżciem istniała z lat dawnych przyjaźń stara i szczerą, lecz tak mało znana i tak nie zwracająca na siebie uwagi, że nie mówiły o niej nawet plotki dworskie. Przyjaciele widywali się niezmiernie rzadko, ale za każdym razem podejmowali bez trudu wątek przerwanych zwierzeń i wymiany myśli. Gotthold, czysty i wierny

kapłan wiedzy, raz tylko w życiu zazdrościł ksiąźcemu swemu kuzynowi: było to w dniu jego małżeństwa. Tronu i władzy nie zazdrościł mu nigdy.

Czytanie nie należało na grunewaldzkim dworze do wybranych i ulubionych przyjemności, to też piękna, słoneczna sala, pełna książek, cennych rzeźb i dzieł sztuki, była w rzeczywistości prywatnym gabinetem pracy uczonego doktora.

Tej środy jednak zaledwie rozpoczął zwykłe zajęcie, zasiadłszy przy biurku, drzwi otworzyły się niespodziewanie, i ksiąźę Otton wszedł do biblioteki. Gotthold skierował na niego spojrzenie, zdziwione nieco, i śledził uważnie zbliżającą się postać, którą każde okno oblewało kolejno ciepłym potokiem światła. Otton wyglądał dzisiaj tak wesoło, szedł tak swobodnie, strojny, ogolony, ufryzowany, modny, elegancki, że w sercu pracowitego pustelnika odezwał się przeciw niemu głos niechęci.

— Dzień dobry, Gottholdzie — uprzejmie rzekł ksiąźę, siadając na blizkiem krześle.

— Dzień dobry ci, Ottonie. Wcześniej dzisiaj wstałeś. Przypadkiem, czy zamierzasz rozpocząć reformę?

— Czas byłby, zdaje mi się — odpowiedział ksiąźę.

-- Zdaje ci się — powtórzył z ironią uczony. — Mnie nigdy się nie zdaje, nie mam złudzeń; na kaznodzieję jestem za sceptyczny, a w dobre postanowienia wierzyłem, będąc młodszym. Piękne to barwy, które tworzą jasną tęczę nadziei, ale ja nie widziałem ich już dawno.

— W gruncie rzeczy — rzekł Otton — nie mogę się nazwać monarchą popularnym?

Mówił to w zamyśleniu, jak gdyby do siebie, lecz akcent pytający nadawał odmienne znaczenie tym wyrazom.

— Popularnym? Hm, nad tem możnaby pomyśleć, rozgatunkować, że tak powiem, to pojęcie — zaczął uczony, opierając się na swoim krześle i uważnie łącząc z sobą końce palców. — Popularność bywa bardzo rozmaita; jest np.

popularność uczonego... rzecz zupełnie nieosobista, urojona, znikoma, jak samo widziadło. Jest popularność polityczna... bardzo, bardzo różna; wartość — względna. Jest dalej taki gatunek, jak twoja, najbardziej osobowa ze wszystkich: kobiety cię kochają, a służba ubóstwia. Przywiązać się do ciebie jest rzeczą tak naturalną i konieczną, jak pieścić psa. Gdybyś był tylko skromnym traczem leśnym, byłbyś najpopularniejszym mieszkańcem Grunewaldu; jako książe... ba! chybiłeś w wyborze powołania. Lepiej zresztą może, iż sam to uznajesz.

— Może lepiej? — powtórzył Otton.

— Zapewne; nie chcę twierdzić dogmatycznie.

— Zapewne lepiej, rozsądniej, uczciwiej.

— Zamierzasz być rozsądnym? — spytał, śmiejąc się, uczony.

Otton przysunął krzesło, i oparłszy łokcie na biurku, spojrział prosto w oczy swemu kuzynowi.

— Jasno i krótko: czy to nie po męsku? — zapytał.

Gotthold zawahał się na jedną sekundę.

— Nie — odparł; — jeśli mam powiedzieć prawdę, to nie po męsku.

Roześmiał się głośno i dodał, zacierając ręce:

— Nie wyobrażam sobie, żebyś chciał pozować na męskość. Brak pozy to właśnie jeden z tych ryków w tobie, które jestem gotów uwielbiać. Imię cnoty wywiera na każdego z nas pewien urok, i dlatego pragnęlibyśmy przyznać sobie wszystkie, bez względu nawet na to, czy je z sobą pogodzić można. Każdy z nas gotów wierzyć jednocześnie, że jest zuchwały i pelen rozsądku, dumny ze swojej dumy i po chrześcijańsku pokorny, — eh, któżby to wyliczył! Ale z tobą co innego. Ty się nie dostrajasz do niczego, jesteś zawsze poprostu sobą, i to mi rozkosz sprawia. Zawsze mówię: niema na świecie człowieka tak obojętnego na wrażenie, jakie sprawia, jak książe Otton. Nigdy żadnej pozy!

— Ani pozy, ani wysiłku! Pies zdechły, pływający po kanale, więcej ma energii ode mnie. Ale nie o to chodzi. Pytanie, które chcę rozwiązać, jest takie: czy mógłbym przez poświęcenia i pracę, czy mógłbym — uważaj, Gottholdzie—czy mógłbym stać się z czasem—monarchą możliwym?

— Nigdy! — zawołał Gotthold. — Porzuć tę myśl bezpłodną. Zresztą, ty nie będziesz usiłował.

— Gottholdzie! — odparł książę żywo i z urazą — nie powinienś wpływać na mnie w taki sposób, paraliżować moich dobrych chęci. Jeżeli rzeczywiście jestem tak upośledzony, że nie mogę wypełniać obowiązków panującego, to po cóż tutaj jestem? Co znaczy ten pałac, gwardya, pieniądze? Jakiem prawem, sam kradnąc, wymierzać mogę sprawiedliwość i wymagać poszanowania dla prawa?

— Przyznaję, że położenie jest trudne.

— Przyznajesz? Więc rozumiesz, że powinienem usiłować? Że jest to pierwszą moją powinnością?.. Koniecznością... I z pomocą rad i wiedzy takiego człowieka, jak ty, Gottholdzie...

— Ja! — zawołał bibliotekarz, odsuwając się od stolika.—A brońże mię od tego, Boże!

Otton uśmiechnął się mimowoli, choć nie był w usposobieniu do śmiechu.

— A jednak zapewniano mię, nie dawniej, niż wczoraj po południu, iż przy twojej pomocy ja, w mojej własnej osobie, jako reprezentant, mógłbym stanować, a raczej moglibyśmy we dwóch stanować rząd możliwy i wystarczający.

Gotthold potrząsał głową z pobłażliwą ironią.

— Chciałbym też wiedzieć, w jakim chorym mózgu wylęła się podobna potworność?

— Ktoś z twego fachu: autor i uczony, niejaki Roederer—rzekł spokojnie książę.

— Roederer? To gąsiatko?

— Jesteś niewdzięczny, Gottholdzie; to jeden z najgołętszych twoich wielbicieli.

— Czy podobna? — zawołał bibliotekarz zdumiony, ale widocznie pod dobrym wrażeniem. — Nie przypuszczałem tego. Może jednak jest kropla rozsądku w tym chłopcu; trzeba będzie przerzucić uważniej jego gryzmoły. W każdym razie ta okoliczność świadczy o nim dobrze, gdyż jesteśmy przeciwnikami w zasadach. Różnimy się do gruntu: dwa bieguny. Czyżbym go przekonał? Ależ nie, niepodobna, bajka z Tysiąca nocy!

— Jakto? Więc ty nie jesteś zwolennikiem władzy monarchicznej?

— Ja? Broń mi, Boże! Jestem czerwony, mój drogi, krańcowo czerwony.

— Tak? Bardzo dobrze. To mi przypomina drugi punkt wyjścia w danej kwestyi. Przypuśćmy, że tak mało nadaję się do mojej roli, iż to uznają nawet moi przyjaciele; przypuśćmy, iż poddani moi gwałtownie domagają się przewrotu, obalenia dynastyi, że rewolucya jest przygotowaną; czyż w takiej chwili nie byłoby lepiej uprzedzić nieuniknionych wypadków? zapobiedz tym okropnościom? Czyż nie powinienem dobrowolnie położyć kresu tej komedyi? Jednem słowem, poprostu: czy nie lepiej abdykować? O, wierz mi, ja sam czuję całą śmieszność tego wyrazu w podobnem zastosowaniu — dodał z wymownym gestem i grymasem: — ale cóż robić, nawet takie, jak ja, książątko nie może bez ceremonii ustąpić z urzędu; musi wystąpić uroczyście, na koturnach, ukłonić się publiczności i abdykować według etykiety.

— To prawda, — westchnął Gotthold — ale... daj temu pokój. Co za mucha cię dziś ugryzła? Czyż sam nie widzisz, że świętokradzką ręką sięgasz po najtajniejsze głębie filozofii, po tajemnice, w których kryje się szaleństwo? Szaleństwo, drogi chłopcze, obład... W naszych czystych świątyniach wiedzy, w „Świątem Świątych,” które troskliwie zamykamy przed tłumem, kryją się takie złowrogie pułapki, sieci pajęczce. W gruncie rzeczy ludzie wszyscy, bez wy-

jątku, są najzupełniej bezużytecznymi. Natura nas toleruje, ale nie potrzebuje; nie służymy jej do niczego. Nie ludźmy się. Nikt z nas — ani chłop, w pocie czoła grzebiący się w błocie, którego głupcy wiecznie przytaczają jako wyjątek, — i on jest niepotrzebny i bezużyteczny. Wszyscy kręcimy tylko bicze z piasku, albo piszemy na wodzie, jak wolisz. Nie mów mi o tem. Powtarzam ci raz jeszcze: tu granica obłądu.

Doktor Gotthold podniósł się ze swego krzesła i przeszedł parę razy po pokoju, ale uspokoił się prędko, i wróciwszy na swoje miejsce, zaczął się śmiać pobłaźliwie i łagodnie.

Po chwili mówił już spokojnym tonem:

— Tak, moje dziecko, nie na to żyjemy, aby walczyć z wiatrakami; żyjemy na to, aby być szczęśliwi, ot, jak te kwiaty — rzekł, wskazując ręką w stronę okna. — I to właśnie zawsze w tobie podziwiałem. Pozostańże więc takim, skoro posiadasz tę sztukę, i wierz mi: wybrałeś dobrze. Bądź szczęśliwym, lekkomyślnym i unikaj trudu. Niech lichorowice porwie wszystkie kwestye i skrupuły, pozostaw Gondremarkowi sprawy państwa, ponieważ umie sobie z niemi radzić i bawi go to stanowisko.

— Gottholdzie! — zawołał Otton — cóż mię to wszystko obchodzi? Czy mi chodzi o bezwzględna użyteczność? Czegoż mi dowodzi twoja sofistyka? Jestem szkodliwy, albo użyteczny, jedno lub drugie, i w tem stoję na gruncie prawdy. Zgadzam się z tobą, że wszystko to razem, książę, księstwo i całe mrowisko, jest śmiesznością nad śmiesznościami, mydlaną bańką, albo tematem do satyry; że pierwszy lepszy bankier albo oberżysta poważniejsze ma przed sobą zadanie, ale... Trzy lata już upływa, jak umyłem ręce od wszystkiego, zostawiłem im wszystko — pracę i uciechy, odpowiedzialność i honor — złożyłem wszystko w ręce Gondremarka i — Serafiny...

Zawahał się, wymawiając imię żony. Gotthold odwrócił głowę. Książę to spostrzegł i podniósł głos znowu:

— I cóż zrobili? I do czegoż doszło? Podatki, armia, nowe uzbrojenia, kraj wygląda jak pudełko ołowianych żołnierzy. Ludność zrażona do całej tej szopki, oburzona uciskiem, niesprawiedliwością... gorzej nawet, słyszałem, że mówią o wojnie... O wojnie w tej filizance czekolady! Wstyd i błażeństwo! A kto — gdy przyjdzie chwila ostateczna, rewolucya z jej szaleństwami — kto wtedy przyjmie winę, potępienie? kto będzie odpowiadał przed ludźmi i Bogiem? kto? Ja — słomiany książę!

— Sądziłem dotychczas, że gardzisz opinią — zauważył Gotthold spokojnie.

— Gardziłem nią, — posepnie odpowiedział Otton — ale to już minęło. Starzeję się. A zresztą, chodzi tu o Serafinę. Znienawidzono ją w kraju, który pozwoliłem jej zrujnować. Tak jest: dałem jej kosztowną zabawkę, a ona ją — zniszczyła. Oto przykładny książę i wzorowa księżna! A dzisiaj — dziś ja nie wiem, czy jej życiu nie grozi niebezpieczeństwo, ja, który ją tu przywiozłem! Czy możesz odpowiedzieć mi, Gottholdzie?

— Ponieważ zapytujesz mnie poważnie, — odparł bibliotekarz po namyśle — odpowiem krótko i jasno: za dzisiaj rękę, za jutro nie mogę. Pod złym jest wpływem, złego ma doradcę.

— Złego doradcę... kogóż? Gondremarka, któremu mi radziłeś pozostawić sprawy kraju! — zawołał książę. — Piękna twoja rada! Godna mego systemu panowania w przeciągu lat ostatnich. I oto dokądśmy doszli! Złego ma doradcę! O, gdyby to tylko! Po cóż będziemy krążyli koło głównej kwestyi? Wiesz co to potwarz?

Gotthold z zaciśniętymi ustami w milczeniu schylił głowę.

— A zatem?.. Niezbyt pocieszającym był sąd twój o mnie, jako o księciu; teraz pragnąłbym usłyszeć, co sądzisz o mnie, jako o małżonku?

— O, co do tego,—żywo przerwał Gotthold— to zupełnie inna historia. Do tego się nie mieszam. Jestem starym kawalerem, prawie mnichem. W sprawach małżeńskich radzić ci nie umiem.

— Nie żądam od ciebie rady,—rzekł, powstając, książę—tylko trzeba z tem skończyć. Tak dłużej być nie może.

I niespokojnym krokiem zaczął chodzić po pokoju, założywszy ręce na plecy.

— Niech cię Pan Bóg oświeci! — rzekł Gotthold po długim milczeniu.—Ja tutaj nic nie mogę.

— I skąd to poszło? Co to jest?—pytał dalej książę.— Jak to określić? Czy to obawa śmieszności? Brak zaufania w sobie? Czy poprostu próżność?.. Mniejsza zresztą o deficyt, gdy nie można wątpić o rzeczy! Nie znosiłem nigdy w niczem afektacji, wielkiego przejmowania się niczem, pozy. Wstydzilem się od pierwszej chwili tego śmiesznego państewka; nie mogłem znieść tej myśli, iż ktoś mię posądzi, iż biorę na seryo rzecz tak ostentacyjnie niedorzeczną. I nie byłem w stanie wziąć się poważnie do pracy, zająć się czemś na seryo, bez żartu i śmiechu... Do dyabła, przede wszystkim odczuwałem śmieszność! Byłem wrażliwy na to. Czy to moja wina, skoro mię takim stworzono? I to samo powtórzyło się w małżeństwie—dodał ciszej. — Nie umiałem uwierzyć, że ona mię kocha; bałem się być natrętnym; chciałem obojętnością osłonić głupotę swoją, czy zarozumiałość. Oto wierny obraz mego niedołęstwa.

— Jedna w żyłach naszych krew płynie — odparł Gotthold filozoficznie. — W ogólnych rysach malujesz charakter prawdziwego sceptyka.

— Sceptyka?.. Tchórza chyba!—rzucił Otton.—Nędzniego tchórza, bez nerwów, bez serca!

I kiedy wymawiał te słowa ze wzrastającą stopniowo energią, zwolna i cicho otworzyły się drzwi za fotelem Gottholda, i oko w oko z księciem stanął staruszek niski i otyły, który wszedł bez szelestu, drobnym kroczkiem. Była to fizygnomia czysto urzędowa: rodzaj dzioba papugi zamiast nosa, małe, różowe usta w kształcie serca, i bardzo wypukłe, na wierzchu prawie osadzone, małe i bystre oczki. W zwykłych warunkach, kiedy krótki tułów kołysał się spokojnie nad okrągłym brzuszkiem, podpieranym szczęśliwie przez dwie małe nóżki, cała postać miała wyraz spokojnej godności i rozsądku; ale wobec najłżejszego oporu, czy przeciwności, małe rączki drżeć zaczynały, a histeryczne ruchy i gesta świadczyły o zupełnej bezsilności tego zużytego manekinu.

I teraz na widok księcia w tak cichej zazwyczaj i pustej o tej porze bibliotece, rzucił się w tył gwałtownie, z otwartymi ramionami, jak człowiek ugodzony kulą w piersi, i wydał ostry krzyk starej kobiety.

— Jego Książęca Mość! Ach, błagam o przebaczenie! O tej godzinie Wasza Książęca Mość w bibliotece! Okoliczność tak niezwykła, iż Wasza Książęca Mość przyzna, że niepodobna, abym mógł przewidzieć.

— Nic się nie stało złego, panie kanclerzu—spokojnie zauważył Otton.

— Przyszedłem tu na sekundkę; kilka papierów, które zostawiłem wczoraj panu doktorowi.. — mówił słodko kanclerz. — Panie doktorze, oddaj mi je, jeśli łaska, i — nie przeszkadzam.

Gotthold otworzył biurko, wyjął sporą paczkę zapisanych papierów i podał ją staruszkowi, który wśród tysiąca etykietalnych ukłonów zamierzał opuścić salę.

— Panie Greisengesang,—uprzejmie zatrzymał go książę—skorośmy się spotkali, porozmawiajmy, proszę.

— Rozkaz Waszej Książęcej Mości zaszczyt mi przynosi—odparł kanclerz, rozkosznie mrużąc małe oczki.

— Cóż tu słyhać od czasu mego wyjazdu? — pytał, siadając, Otton.

— Zwykły bieg spraw państwowych, znany Waszej Książęcej Mości. Drobiazgi, które w razie zaniedbania, mogłyby przybrać rozmiary poważne, lecz załatwione, usunięte w swoim czasie, pozostają szczegółami bez znaczenia. Rozkazy Waszej Książęcej Mości spełniane są z gorliwością i posłuszeństwem nieograniczonym.

— Z posłuszeństwem, panie kanclerzu?—spytał Otton tonem zdziwienia. — Kiedyż to miałeś pan zaszczyt odebrać ode mnie najdrobniejszy rozkaz? Powiedz pan, iż zastąpiono mię tu z gorliwością nieograniczoną. Ale à propos szczegółów, chciałbym je poznać trochę.

— Zwykła rutyna rządu,— zaczął Greisengesang szybko, drżącym nieco głosem — rutyna rządu, od której Wasza Książęca Mość tak rozsądnie potrafiłeś się uwolnić.

— Dajmy pokój grzecznościom; proszę o szczegóły, panie kanclerzu.

— Zwykła rutyna rządu, którą wypełniamy... systematycznie—odparł urzędnik, widocznie coraz bardziej zmieszany.

— Rzecz dziwna, mości kanclerzu! — zawołał książę niecierpliwie—dlaczego unikasz prostej odpowiedzi na moje zapytanie? Mógłbym przypuszczać, że się coś pod tem ukrywa. Pytam wyraźnie: czy wszystko spokojnie? czy nic nie zaszło? Proszę mi jasno odpowiedzieć.

— O, zupełnie spokojnie, zupełnie spokojnie!—zapewniał, trzęsąc się, stary obłudnik, świadcząc o kłamstwie każdym muskułem swej twarzy.

— Notuję te wyrazy, panie kanclerzu,—rzekł książę—proszę pamiętać o tem. Zapewniasz mię w tej chwili, swego monarchę, że od czasu mego wyjazdu nic tu nie zaszło takiego, o czem miałbyś obowiązek mię uwiadomić.

— Biorę Waszą Księżęcą Mość... biorę pana doktora za świadka,—zawołał Greisengesang z przerażeniem—iż nie użyłem wcale tego wyrażenia!

— Dosyć! — zawołał księżę. — Przypomnij pan sobie, — dodał po chwili przykrego milczenia — że jesteś starcem, żeś służył lat wiele mojemu ojcu, nim zacząłeś być moim sługą, i podobne tłumaczenie ubliża zarówno twojej godności, jak mojej powadze. Potykasz się o kłamstwo każdym słowem. Zbierz myśli, panie kanclerzu, zastanów się i wymień mi kategorycznie i jasno wszystko, coś usiłował zaistać przede mną.

Doktor Gotthold, pochylony nad biurkiem, zdawał się być gorliwie zatopionym w swojej pracy, i tylko lekkie drżenie jego ramion zdradzało hamowaną i skrytą wesołość. Otton, bawiąc się chustką, czekał odpowiedzi.

— Wasza Księżęcą Mość, — zaczął, mrugając oczyma i usiłując odzyskać panowanie nad sobą, kanclerz — wyznaję, iż tak dorywczo, bez odpowiednich dokumentów, nie jestem w możności dostatecznie... zupełnie nie jestem w możności zdać sprawy z faktów dość poważnych, które doszły do mojej wiadomości.

— Nie mam wcale zamiaru być wymagającym i surowo krytykować pańskiego raportu i wogóle zachowania — rzekł Otton łagodniej, choć z księżęcą powagą. — Chcę, abyśmy sprawę tę skończyli zgodnie, gdyż nie zapomniałem, stary przyjacielu, iż byłeś mi przychylnym w początkach mego panowania, a nawet przez lat parę wiernym i gorliwym sługą. Gotów też jestem zostawić na stronie sprawy — drażliwe, na które nie pragnę sam kłaść odrazu głównego nacisku, lecz np. w tej chwili masz w ręku jakiś dokumenta: przedstaw mi je, panie Greisengesang, tu ci już nic nie przeszkadza być dokładnym i wyjaśnić mi, o co chodzi.

— A, to? — zawołał starzec. — To drobnostka!.. Sprawa policyjna. Szczegół zupełnie administracyjny, Wasza Książęcą

żęca Mość. Poprostu część papierów, znalezionych przy osobie pewnego angielskiego podróżnika.

— Znalezionych przy osobie? Jakto mam rozumieć?— zapytał książę.—Proszę mi to wytłómaczyć.

— Sir John Crabtree — przerwał Gotthold, podnosząc głowę z nad biurka—wczoraj wieczorem został aresztowany w Mittwalden.

— Czy to prawda, panie kanclerzu? — odezwał się książę surowo.

— Uznano to za konieczne, Wasza Książęca Mość — tłómaczył się Greisengesang.—Rozkaz był zupełnie formalny, podpisany imieniem Waszej Książęcej Mości, według upoważnienia. W takich razach jestem tylko wykonawcą; nie mam prawa przeszkodzić temu.

— Ten człowiek był moim gościem — rzekł książę surowo — i został aresztowany? Jakiem prawem? Dlaczego? Pod jakim pozorem, panie kanclerzu? Proszę odpowiadać!

Greisengesang mrugał oczyma gwałtownie, daremnie usiłując zdobyć się na słowo.

— Wasza Książęca Mość prawdopodobnie znajdzie w tych dokumentach powód i przyczynę — wtrącił Gotthold, końcem pióra dotykając zwoju papierów, które oddał kanclerzowi.

Otton podziękował mu spojrzeniem.

— Daj mi pan to — rzekł sucho, zwracając się do kanclerza.

Lecz ten zawahał się teraz widocznie.

— Pan baron Gondremark sam zajął się tą sprawą— zaczął, gwałtownie otwierając małe oczki—i ja w tym razie jestem jedynie posłańcem, pośrednikiem, i jako taki nie posiadam upoważnienia do udzielenia komukolwiek dokumentów, które mi powierzono. Panie doktorze, jestem przekonany, że w tej sprawie przyznasz mi zupełną słuszość.

— Wiele już głupstw słyszałem z ust pańskich,—rzekł Gotthold—ale takiego jeszcze nigdy.

Ksiązę wstał.

— Skończmy — rzekł rozkazująco. — Proszę o te papiery. Rozkazuję!

Greisengesang podał je natychmiast.

— Najpokorniej upraszam o przebaczenie Waszej Księżęcej Mości — rzekł, cofając się wśród ukłonów. — Za pozwoleniem Waszej Księżęcej Mości na dalsze rozkazy pokornie oczekiwać będę w kancelaryi państwa.

— Panie kanclerzu, — odparł Otton zimno — zechcesz na tem krześle poczekać na moje rozkazy.

— Rozkazuję! — zawołał groźnie, gdy starzec niezdecydowany chciał jeszcze coś odpowiedzieć. — Dosyć już okazałeś gorliwości dla tego, komu służysz obecnie; zważ, że i poślazanie moje ma granice.

Greisengesang w milczeniu zajął wskazane krzesło.

— Co to ma być? — pytał ksiązę, rozwijając pakiet, stanowiący rodzaj księgi pisanej.

— Jest to pewien rodzaj szkiców podróżnika — odparł spokojnie Gotthold.

— Czytałeś to, doktorze?

— Nie; znam tylko tytuł, ale manuskrypt powierzono mi otwarty, nie zastrzegając tajemnicy.

Otton rzucił na kanclerza gniewne i pełne wyrzutu spojrzenie.

— Tak, — mówił ironicznie — fakt godzien rozgłosu i sądu Europy. Szaleństwo, szaleństwo! W tej nędznej, ciemnej dziurze, jak w kraju opryszków, chwytać przejezdnych, grabić ich papiery — oto postępowanie godne waszych rządów! Wstyd i bańba!

— Nie, — zaczął znów po chwili, zwracając się wprost do kanclerza — tego się nie spodziewałem po panu: być narzędziem w takiej sprawie! Nie mówię nic w tej chwili o pańskim zachowaniu się względem swojego monarchy, ale coś podobnego... szpiegostwo policyjne!.. Bo jakże inaczej nazwać ten fakt? Przejąć prywatne papiery człowieka

niezależnego, obcego podróżnika, pracę może jego życia, otworzyć ją, czytać... Myśleć o tem nie mogę! Więc na cóż mamy książki? Zapewne, cennem bardzo jest zdanie doktora Gottholda, lecz ile mi wiadomo, nie mamy jeszcze w Grunewaldzie „index expurgatorius?” Rzeczywiście, już tylko tego nam brakuje, żeby się stać zupełnem pośmiewiskiem świata!

Mówiąc to, książkę zwolna rozwijał i prostował odebrane od ministra papiery; nakoniec spojrzenie jego zatrzymało się uważnie na tytule, bardzo starannie wypisanym czerwonym atramentem:

PAMIĘTNIKI

pobytu na różnych dworach Europy

przez

baroneta sir Johna Crabtree.

Na następnej stronicy znajdowała się lista rozdziałów; tytuł każdego stanowiła nazwa państwa, którego opis zawierał. Jeden z ostatnich był poświęcony Grunewaldowi.

— Aha! „Dwór w Grunewaldzie” — przeczytał książkę głośno. — To musi być zabawne.

Obudziła się w nim ciekawość.

— Ma chłop metodę, — zauważył Gotthold — ten baronet angielski: każdy rozdział pisze i kończy na miejscu. Kupię zaraz jego pracę, skoro się tylko ukaże.

Otton się wahał, patrząc na otwarty rękopis.

— Ciekawe byłoby jednak rzucić okiem na ten rozdział — zauważył.

Gotthold się zarumienił, zwolna odwrócił głowę i zaczął wyglądać oknem. Książkę zrozumiał jego niemy wyrzut, lecz nie miał siły oprzeć się własnej słabości.

— Doprawdy, — rzekł, śmiejąc się wymuszonym śmiechem — zdaje mi się, że mogę rzucić okiem na ten rozdział.

I uśmiechając się, usiadł na krześle, a rękopis rozłożył przed sobą na stole.

ROZDZIAŁ II.

„Dwór w Grunewaldzie“ — urywek z pamiętników cudzoziemca.

Dziewiętnasty rozdział pamiętników zaczynał się dla księcia interesująco:

„Bez wątpienia, niejeden z moich czytelników zada sobie pytanie, dlaczego z pomiędzy najdrobniejszych państwerek, zarówno zepsutych, śmiesznych i jednostajnych, wybrałem Grunewald? Stało się to przypadkiem; los w tym razie samowolnie zdecydował za mnie. Ale nie mam powodu czynić mu wyrzutów: nie żałuję zwiedzenia tego kraju. Nie mówiąc o naturze, już sam obraz drobnego tego społeczeństwa, tonącego we własnych nadużyciach, jeśli nie jest pouczającym, to w każdym razie wysoce zabawnym.

Panujący książę, Otton Jan-Fryderyk, człowiek jeszcze dość młody, z powierzchownem wykształceniem, wątpliwej odwagi i bez cienia zdolności, stał się przedmiotem powszechnej pogardy. Nie bez trudu zdobyłem nakoniec pożądaną audyencyę u tego monarchy, gdyż rzadko bywa obecnym w stolicy, gdzie osoba jego istotnie jest zupełnie zbyteczną i służy jedynie jako wygodna osłona miłostek własnej jego żony. Gdy jednak po raz trzeci próbowałem szczęścia, udało mi się wreszcie zastać go na dworze, pełniącego niechlubne swoje obowiązki. Przyjął mię uroczyście, w obecności żony i jej nieodłącznego kochanka.

Przyznać tu muszę, iż jego książęca mość, Otton, prezentuje się nieźle; złoto-blond włosy, naturalnie się wijące, otaczają ładne czoło, oczy ciemne. Do spostrzeżeń swoich zaliczam, iż te dwie cechy, połączone razem, świadczą zwykle o wrodzonej jakiejś ułomności, moralnej lub fizycznej. Rysy twarzy nieregularne, lecz przyjemne; nos trochę krótki, a usta kobiece. Układ i całe zachowanie się bez

zarzutu, wymowa łatwa i poprawna. Ale sięgnijmy dalej, po za te cechy powierzchowne, a znajdziemy jedynie brak zupełny wszelkich gruntownych przymiotów i zasad moralnych: lekkomyślność i rozstrój pojęć, niekonsekwencyę w pojęciach i czynach, które charakteryzują wiek upadku. Pod względem wykształcenia, zna widocznie wiele rzeczy powierzchownie, ale nie zbadał głębiej żadnego przedmiotu. „Wszelkie zajęcie nuży mię zbyt prędko” — powiedział mi ze śmiechem. I zdaje się być dumnym ze swego braku inteligencyi i nicości moralnej.

Łatwo też dostrzedz można koło niego skutki tego dyletantyzmu: armia nędzna, bo ksiązę nie jest przecież żołnierzem; to salonowiec, tancerz, strzelec drugorzędny. Śpiewa jak dziecko; sam miałem zaszczyt go słyszeć. Rymuje licho wiersze po francusku, językiem bardzo wątpliwej wartości. Występuje na scenie, jak pospolity amator; jednym słowem trudno wyliczyć to wszystko, czem się zajmuje i co wykonywa słabo. Męski gust jego objawia się w jedynej namiętności do polowania.

Streszczając wszystko, jest to zbiór wszelkiego rodzaju słabości, subretka teatralna w męskim przebraniu, na cyrkowym koniu. Widziałem ten cień księcia, wyjeżdżający konno w towarzystwie kilku dojeżdźczaków i strzelców, pogardzony i zapomniany przez wszystkich, — i ta czcza, nędzna, pusta egzystencya wzbudziła we mnie uczucie litości. Takimi być musieli ostatni Merowingowie.

Panująca księżna, Amelia-Serafina, z domu wielkksiążęcego Toggenburg-Tannhäuser, stanowiłaby wartość równie obojętną, gdyby człowiek zręczny i ambitny nie uczynił z niej niebezpiecznego narzędzia. Jest ona znacznie młodszą od małżonka, dziecko lat dwudziestu paru, chorobliwie próżna i ambitna, powierzchownie inteligentna, w gruncie rzeczy — ograniczona. Uchodzić może za przystojną: oczy duże, za duże do jej drobnej twarzy, wypukłe, ciemne, ze złotym odcieniem, grają w nich błyski okrucieństwa

i lekkomyślności; czoło wysokie, wąskie, postać szczupłą, wysmukłą, nieco pochylona. Jej sposób zachowania się, rozmowa, przeplatana zdaniem francuskiemi, upodobania, gusta i ambicje — wszystko w niej pretensjonalne. A co gorsza, ta przesada jest pozbawioną wdzięku: żywy dzieciak, grający rolę Kleopatry. Nie posądzam jej, aby zdolną była do szczerości.

Podobna osobistość w zwykłym, prywatnym życiu wnosi do cichej rodziny niepokój, idzie przez życie głośno, otoczona rojem wielbicieli, z wyzywającym uśmiechem i przynajmniej raz występuje w rozwodowym procesie. Jest to typ pospolity i jedynie dla cynika interesujący. Ale coś podobnego na tronie, w ręku takiego barona Gondremarka — to groźba wielkich nieszczęść dla ogółu.

Prawdziwym panem tego nieszczęsnego kraju jest baron Gondremark, postać o wiele ciekawsza i bardziej od poprzednich zawiła. Pozycja jego, jako cudzoziemca, w Grunewaldzie, z tego względu i wielu innych, jest niezmiernie trudna, i to samo, że umie utrzymać się na stanowisku, dowodzi niepospolitej zręczności i zuchwalstwa. Wszystko w tym człowieku podwójne, obłudne: polityka, twarz, każdy wyraz; cetno — lichy, jak potrzeba. Dokąd jednak w rzeczywistości zmierzają jego dążenia? Jakie są naprawdę ukryte zamiary? — niełatwo zgadnąć. Ośmielę się jednak postawić przypuszczenie, wyłączające obydwaj jego pozornie ostateczne cele, na korzyść głębiej ukrytych zamiarów, o których się nie śniło mędrcom tego świata, a właściwie dworowi, ani mieszkańcom Grunewaldu.

Rozpatrzmy je kolejno.

Pierwszem dążeniem jego, jawnem, dworskiem, że tak powiem, jest wzmocnienie absolutnej władzy panującego i rozszerzenie granic państwa. W tej roli występuje jako pan całego dworu, myśl bezmyślnego księcia, powiernik i wykonawca rzekomych planów zakochanej władczyni. I występuje głośno: powołał pod broń całą męską ludność, zdatną

do służby wojskowej; sprowadza broń, armaty i werbuje do swej armii uzdolnionych oficerów zagranicznych; w stosunkach z sąsiadami zaczyna przybierać postawę wojowniczą i wyzywającą, lekko groźny ton junaka. Na pozór zdawałoby się, iż nadzieja terytoryalnych zdobyczy tego politycznego komara jest śmieszną, wprost niedorzeczną,—lecz Grunewald położony jest bardzo szczęśliwie i prawie w wyjątkowych warunkach: kraje sąsiednie bez wyjątku są bezbronne, i jeżeli w danej chwili dwory potężniejsze będą zneutralizowane przez wzajemną zazdrość, zaborcza polityka może doprowadzić do podwojenia objętości państwa i liczby jego mieszkańców. W każdym razie tak myślą na dworze w Mittwalden, i co do mnie, nie uważam tego za rzecz zasadniczo niemożliwą. Margrabstwo Brandeburskie nie powstało z większego źródła, a rozwijało się w sposób podobny. Uznaję wprawdzie, iż wiek polityki awanturniczej i szczęśliwych trafów pod tym względem przeminął, ale nie należy zapominać, że fortuna jest ślepą i toczy się kołem, zarówno dla jednostek, jak narodów. Jednocześnie, skutkiem właśnie tej postawy i przygotowań, nałożono podatki uciążliwe, ograniczono ściśle wolność prasy, i kraj, bogaty i kwitnący jeszcze przed trzema laty, jęczy dziś pod ciężarem przymusowej beczynności i ubóstwa; złoto stało się w nim rzadkością, a tartaki leśne nad szumiącymi potokami — świętują.

Z drugiej strony Gondremark występuje jako trybun ludu, nadający wyraźne zabarwienie szeroko tu rozwiniętej masoneryi; w jego ręku skupiają się wszystkie niteczki silnie zorganizowanego sprzysiężenia przeciw istniejącemu rządowi. Jestem od dawna zwolennikiem wszelkich ruchów tego rodzaju i bynajmniej nie chcę stanąć mu tutaj na drodze, ale—pragnę dowieść, iż to, co powiedziałem, nie jest zbiorem ploteczek, podsłuchanych w jakimś zajeździe, lecz ma realną i uzasadnioną podstawę. Aby przekonać się o tem, byłem osobiście na zebraniu, gdzie przedyskutowano i ułożono szczegółowo wszystkie punkta republikańskiej konstytucyi, już

przyjętej przez sprzysiężonych. I dodam tylko, iż przemawiano tutaj w imieniu Gondremarka, jako przywódcy ruchu, jako najwyższej instancyi i władzy we wszelkich wątpliwościach. Umiał on zręcznie przekonać tych ludzi, że do pewnego stopnia tylko może sprzeciwiać się tymczasem woli księżny, a przy każdym nowem wzburzeniu, które grozi zerwaniem tamy, przekonywa ich właściwem sobie rozumowaniem, iż godzina wybuchu jeszcze nie nadeszła. W taki to sposób — aby dać tu przykład podstępnej jego polityki — prześliznął się ten człowiek po rozporządzeniu, powołującym do służby wojskowej, — upozorował to nawet korzyścią stronnictwa i potrzebą przygotowania młodzieży do walki, nieuniknionej w dniu powstania. Innym razem, kiedy wbrew jego życzeniu, rozeszła się pogłoska o blizkiej wojnie z sąsiadem, wielkim księciem Gerolsteinu, pogłoska, która mojem zdaniem powinna była sprowadzić wybuch natychmiastowy — dowiedziałem się ze zdumieniem, że nawet tę okoliczność potrafił usprawiedliwić i przedstawić, jako rzecz ułożoną z góry i konieczną, z którą pogodzić się trzeba. Chodziłem od jednego do drugiego w ich liberalnym obozie, ażeby to zrozumieć; wszyscy byli przekonani, upewnieni, zahypnotyzowani, wszyscy powtarzali jedno i to samo, uzbrojeni w te same puste argumenta: „Dobrze będzie dla młodych zakosztować wojny, popatrzeć na nią z bliska, — a oprócz tego zawojowanie Gerolsteinu pozwoli nam odrazu obdarzyć wolnością kraj zdobyty i rozszerzyć na mieszkańców jego dobrodziejstwo, które wywalczymy dla siebie. Zresztą tym sposobem w przyszłości nasza rzeczpospolita będzie silniejszą i łatwiej może stawić opór, gdyby monarchowie Europy połączyli się kiedykolwiek na jej zgubę.”

Nie wiem doprawdy, co więcej podziwiać: naiwność tłumu, czy zuchwalstwo awanturnika? Przytoczyłem te szczegóły, aby dać obraz dokładny jego środków i sposobów, za których pomocą trzyma rządy w swoich rękach i wiedzie do swoich celów ten lud obalamucony. Jak długo trwać jeszcze

może, ta wykrętna polityka, nie umiem przepowiedzieć. Sądzę jednak, że niezbyt długo, choć szczególny ten człowiek lawiruje tak już od lat pięciu, nie tracąc wcale łask dworu, ani popularności w lożach spiskujących masonów.

Miałem przyjemność poznać go cokolwiek. Zbudowany ciężko, niezgrabnie, grubokościsty, o potężnym choć nieprawidłowym szkielecie, umie jednak wobec ludzi, nawet w balowej sali, pozować w sposób, zwracający na niego uwagę i budzący, np. we mnie, podziwienie. Cerę i temperament ma żółciowy, wygląda przytem na człowieka zmysłowego; brunet, w miejscach, gdzie brzytwa usunęła zarost, policzki mają kolor ciemno-granatowy. Zaliczyłbym go chętnie do urodzonych mizantropów, którzy gardzą swoim bliźnim z przekonania. A pomimo to chciwym jest okłasków tłumu i pełen najpospolitszej ambycyi. W rozmowie zwraca uwagę źle ukrytą żądzą poznania i zbadania przeciwnika, skutkiem czego woli słuchać, niżli mówić; przekonania ma ustalone i wyrozumowane, a w porównaniu z krańcowym brakiem przenikliwości, jaki spotykamy często u polityków, uderza w nim pewna zdolność przewidywania zdarzeń.

Wszystko to jednak w dziwny i szczególny sposób pozbawione jest najzupełniej wdzięku, inteligencji, ducha, mdłe i ciężkie. W rozmowie ze mną, chociaż był zawsze uprzejmy i napozór bez zarzutu, sprawiał jednak wrażenie, któremu oprzeć się nie mogłem—maskującego się niezręcznie lisa, co mię zawsze upokarzało i gniewało. Niema w nim nic takiego, co cechuje gentlemana, i nie polega to już na braku z jego strony uprzejmości i przymiotów towarzyskich. Czyż człowiek zresztą, choć cokolwiek subtelniejszy, obdarzony jakąkolwiek szlachetnością, byłby zdolny robić takie widowisko ze stosunków swoich z księżną? Czyż byłby zdolny z tak wyszukanem zuchwalstwem znosić cierpliwość księcia, uprzyjemniając sobie czas wynajdowaniem dla niego ośmieszających przezwisk, jak np. księżę Piórko? Kraj cały powtarzał za nim ten dowcip, i śmieją się wszyscy. Jest

to parweniusz gruby, dorobkowicz, dumny aż do głupoty ze swego rozumu i pochodzenia.

Jednem słowem, człowiek ciężki, gwałtowny, egoista, przewrotny i brzydki, ciąży na tym biednym dworze i na całym kraju, jak zmora.

Trzeba przypuścić jednak, że po za tem posiada jakieś pociągające i miłe przymioty, które wedle potrzeby wyjmuje z ukrycia. Nie ulega nawet kwestyi, chociaż nie miałem szczęścia tego widzieć, że ten zimny i nieprzenikniony dyplomata w wysokim stopniu posiada sztukę podobania się ludziom i uchodzenia w ich oczach za to, czego sami pragną. I stąd zapewne pochodzi opinia, iż w życiu prywatnem jest to prosty krzykacz, gburowaty i zmysłowy.

Nic jednak bardziej zdumiewającego, niż stosunek jego do księżny. Starszy i nieskończenie brzydszy od jej męża, z punktu widzenia kobiet mniej przyjemny pod każdym względem, potrafił nie tylko zdobyć nieograniczoną władzę nad umysłem i postępowaniem Amelii Serafiny, lecz narzucił jej rolę upokarzającą wobec całego świata. Nie chcę już mówić tutaj o honorze i godności kobiecej, gdyż dla niektórych osobników poświęcenia tego rodzaju mają pewien urok, ale to nie wszystko w stosunku księżny do Gondremarka.

Na dworze książęcym bawi pewna dama, hrabina Rosen, wdowa czy małżonka nieznanego nikomu męża, osoba dość dwuznacznej reputacyi, już przekwitła i bezwarunkowo dobiegająca kresu ostatniej młodości, która powszechnie i głośno uważaną jest za kochankę pana barona. Przypuszczałem z początku, że to współniczka tylko, prosty parawanik na intencję dostojniejszej grzesznicy, lecz kilka godzin przyjemnie spędzonych w towarzystwie hrabiny Rosen rozwiały najzupełniej to złudzenie. Tego rodzaju osoba prędzej stworzy skandal, niżby go miała osłaniać lub tłumić, a do nagrody żadnej nie przywiązuje wartości, gdyż nie dba o zaszczyty, pieniądze, stanowisko, któremi zwykle złości się takie usługi. W gruncie rzeczy hrabina podobała

mi się z powodu swej szczerości; na obłudnym i zepsutym dworze Grunewaldu jest to kawałek prawdziwej natury.

Władza więc tego człowieka nad księżną jest nieograniczoną, poświęciła mu bowiem nie tylko przysięgę i obowiązki żony, poczucie wstydu wobec opinii publicznej, ale nawet zazdrość kobiecą, stokroć silniej i głębiej zakorzenioną w sercu słabszej połowy rodzaju ludzkiego, niż wstyd, honor i obowiązek. Kobieta młoda, powabna, córka książęcego domu i księżna panująca, zgadza się na kompromis ze szczęśliwą rywalką, która co do wieku, mogłaby jej zastąpić matkę, a pod względem społecznego położenia stoi o wiele niżej. Oto są tajemnice serca kobiecego! Lecz szłał wzbrowionej miłości, skoro mu raz ulegniemy, wzrasta i potężnieje z każdym nowym krokiem; a charakter i temperament nie-szczęśliwej księżniczki pozwala przewidywać, że ostatni stopień poniżenia nie przekracza w jej życiu granic możliwości.”

ROZDZIAŁ III.

Książę i podróżnik angielski.

Otton czytał rękopis ze wzrastającym oburzeniem, które nakoniec przepełniło miarę jego nadludzkiej prawie cierpliwości. Odrzucił zeszyt i podniósł się groźny.

— Szatan! — zawołał, hamując jeszcze wybuch gniewu. — Nędzna, brudna wyobraźnia!.. natura pełna złości, a ciężka i zimna... Poniżyłem się, czytając te brednie! Panie kanclerzu, gdzie zamknięto tego nędznika?

— W głównej wieży, Wasza Książęca Mość, w pokojach „Gemiani” — odparł Greisengesang.

— Zaprowadź mię do niego.

Nagle błysnęła mu myśl nowa.

— Czy to z tego powodu spotkałem wczoraj w ogrodzie placówki?—zapytał żywo.

— Wasza Książęca Mość, nie jestem pewien—szepnął starzec, wierny swemu systemowi.—Rozkazy, dotyczące bezpieczeństwa i straży, nie wchodzą w zakres moich obowiązków.

Otton błysnął oczyma, zwracając się z gniewem do starca, ale Gotthold znacząco dotknął jego ramienia, i wysiłkiem woli książę pohamował swe oburzenie.

— Dobrze—odparł, biorąc manuskrypt;—prowadź mię do więźnia.

Za chwilę wyszli obaj.

Mieli przed sobą drogę długą i skomplikowaną, gdyż biblioteka była położona w jednym ze skrzydeł nowego budynku, a główna wieża, z której szczytu powiewał sztandar państwa, należała do starego zamku, wznoszącego się od strony ogrodu. Mijając liczne schody, sale, korytarze, książę i kanclerz znaleźli się wreszcie na niewielkim podwórku żwirowanem. Z góry, przez liście drzew starych, padały na nie złoto-zielone promienie, dokoła rysowały się mury wysokie, stare, ostro zakończone. Pośród nich główna wieża wznosiła się dumnie piętrami coraz wyżej i wyżej, aż gdzieś pod błękity, a na szczycie, pośród gniazd kruczych zatknięty, powiewał żółty sztandar. U stóp wieży żołnierz, stojący na straży, broń sprezentował, wzdłuż sieni mierzonym krokiem przechadzał się drugi, trzeci stał u drzwi więźnia.

— Strzeżecie tej garści błota, niby skarbu—zauważył Otton szyderczo.

Apartament „Gemiani” zapożyczył swoje nazwisko od pewnego bardzo uczonego Włocha, który niegdyś miał wpływ przeważny na jednego z książąt panujących. Pokoje tutaj były wysokie, obszerne, przyjemne, okna wychodziły na ogród,—ale stare mury imponowały grubością, a okna żelaznemi kratami.

Książę Otton z kanclerzem, drepzczącym wolniutko we właściwym oddaleniu, przebył szybkim krokiem małą biblio-

tekę i długi salon, aby wpaść jak błyskawica do sypialni, umieszczonej na przeciwnym końcu skromnego mieszkania.

Sir John kończył właśnie toaletę ranną. Był to człowiek lat 50, wysoki, chudy, silnie zbudowany, z wyrazem twarzy inteligentnym, lecz zimnym, twardym, nieugiętym; zęby i oczy znamionowały w nim stałość i odwagę. Na widok gościa nie okazał wzruszenia ani zdziwienia i pozdrowił księcia z pewnego rodzaju szyderczą i elegancką swobodą.

— Czemuż zawdzięczam zaszczyt tych odwiedzin? — spytał uprzejmie.

— Łamałeś pan chleb ze mną, — odparł z oburzeniem Otton — ścisnąłeś moją rękę i byłeś przyjęty, jak gość pod moim dachem. W czym i kiedy uchybiłem ci względów należnych? Jakie żądanie twoje było odrzucone? Przyjąłem cię, jak człowieka uczciwego i godnego szacunku, a oto wdzięczność twoja! — dodał z gniewem, uderzając rękopis, który trzymał w ręku.

— Wasza Książęca Mość czytał moje papiery? — z uprzejmem zadziwieniem zapytał baronet. — W istocie, honor dla mnie wielki i niespodziewany. Lecz szkic jest niedokładny i mógłbym obecnie dorzucić wiele rysów charakterystycznych. Mógłbym dodać, iż ksiązę, którego oskarżałem o lenistwo, jest pełen gorliwości w wydziale policyi i podejmuje się chętnie obowiązków najbardziej przykrych. Mógłbym też opowiedzieć wesoły epizod mego aresztowania i niezwykłe odwiedziny, jakimi mię Mości Książę zaszczycał w tej chwili... Zresztą, zawiadomiłem już o tem zdarzeniu swego konsula w Wiedniu, i jeżeli nie macie zamiaru zaraz pozbawić mię życia, będę wolnym w ciągu tygodnia, za waszem zezwoleniem, lub bez niego. Bo nie przypuszczam, aby przyszłe cesarstwo Grunewaldu czuło się dość potężnem w danej chwili do walki z Anglią. Tym sposobem — zdaje mi się — jesteśmy w porządku co do wzajemnych stosunków, i nie poczuwam się do obowiązku żadnego więcej wyjaśnie-

nia: wina jest po waszej stronie. Jeśli jednak uważnie przeglądałeś pan moje papiery, sądzą, iż zaciągnąłeś u mnie bardzo poważny dług wdzięczności. Na zakończenie dodam, iż nie zdążyłem się jeszcze dziś ubrać, i przypuszczam, iż obowiązek grzeczności dozorczy względem więźnia zobowiąże pana do pozostawienia mię w spokoju.

Na stole leżał papier, książę usiadł i napisał własną ręką bilet wolnego przejazdu dla sir Johna Crabtree.

— Pieczęć, panie kanclerzu! — rzekł z książęcym gestem, podnosząc się z krzesła.

Greisengesang niezręcznym ruchem wyjął z kieszeni czerwone pudełko i położył na przedstawionym papierze skromny, zwyczajny stempel. Jego pomieszenie i niezręczność podniosły komiczną stronę tej formalistycznej operacji. Sir John obserwował go uważnie, ze złośliwą przyjemnością, a Otton już żałował mimowolnej pozy, książęcego gestu i powagi swego rozkazu.

Nakoniec kanclerz skończył swoje dzieło, bez nowego rozkazu położył podpis na pasporcie i z uprzejmym ukłonem podał go więźniowi.

— A teraz bądź pan łaskaw — zwrócił się książę do niego — wydać rozporządzenie, aby przygotowano do podróży jeden z moich własnych powozów. Dopilnujesz pan sam, aby wszystkie rzeczy sir Johna były w nim złożone, i przed upływem godziny niech czeka gotowy za bażantarnią. Sir John niezwłocznie wyjeżdża do Wiednia.

Kanclerz ukłonił się etykietalnie.

— Oto pasport — rzekł teraz Otton do baroneta. — Przykro mi bardzo, iż postąpiono z panem niegościennie.

— Więc nie będzie wojny z Anglią? — zapytał sir Crabtree.

— Łaski, baronecie! Bądź wyrozumiałym. Rzeczy zmieniły się obecnie, jesteśmy względem siebie na stopie prostych gentlemanów. Nie ja wydałem rozkaz aresztowania pana. W nocy dzisiaj dopiero powróciłem z polowania, i nie

mogąc oskarżać mię o uwięzienie, musisz mi pan zawdzięczać powrót ci wolności.

— Jednak odczytałeś pan moje papiery — zauważył cudzoziemiec z przenikliwym spojrzeniem.

— Co do tego, źle zrobiłem i proszę o przebaczenie, którego pan nie możesz odmówić przecież człowiekowi, będącemu „zbiorem słabości.” Wina to zresztą nie wyłącznie moja: gdyby rękopis pański był treści niewinnej, czyn mój byłby poprostu niedyskrecją. Ale pan sam zatrueś go jadem urazy.

Sir John spojrział na księcia z wyrazem zachęty, potem skłonił się w milczeniu.

— A teraz,—zaczął Otton po chwilowej prawie—skoro zależy pan tylko od siebie, mam zamiar prosić cię o pewną grzeczność: czy nie raczyłbyś przejść się ze mną po ogrodzie, kiedy dla pana będzie to dogodnem?

— Od chwili odzyskania wolności jestem na usługi Waszej Książęcej Mości, — odparł sir John, tym razem z uprzejmą powagą — i jeżeli zechcesz pan wybaczyć brak etykiety w moim letnim stroju, gotów jestem udać się za nim natychmiast.

— Dziękuję panu.

I nie tracąc chwili, książę udał się pierwszy raz przebytą drogą. Zeszli ze schodów, minęli korytarz i przez podwórko weszli do ogrodu. Blask słoneczny zalewał ogród, kwietniki, drogi, które przebywali, oddychając świeżem, balsamicznem powietrzem wiosennego poranka. Przeszli koło sadzawki, w której złote karpie płuśkały się gromadą, i pod wonnym śniegiem białego kwiecia, które wiatr roznosił z drzew owocowych, wśród chóru ptactwa, szli jeden za drugim po szerokich stopniach, wiodących ku podniesionej części pałacowego ogrodu.

Zatrzymali się dopiero na obszernym i wysoko położonym tarasie, oddzielonym od parku misterną żelazną kratą; w rogu pod laurowym klombem stała marmurowa

ławeczka. Wzrok sięgał stąd daleko, po szczytach zielonych pagórków, gdzie wśród gałęzi wiązów gnieździły się wrony, i jeszcze dalej ku wieżom i dachom pałacu, nad którym powiewał złoty sztandar, na tle błękitnego nieba.

— Bądź pan łaskaw spocząć tutaj — rzekł uprzejmie książę, wskazując Anglikowi marmurową ławkę.

Sir John wypełnił milcząc to życzenie, a książę przez czas jakiś przechadzał się przed nim w milczeniu, pogrążony w burzliwych myślach.

Chór ptasząt brzmiał wesoło i swobodnie.

— Panie,—rzekł książę, zwracając się do cudzoziemca— po za obrębem towarzyskich obowiązków jesteś pan dla mnie człowiekiem najzupełniej obcym. Nie znam twoich zamiarów, ani twego charakteru. Nigdy rozmyślnie nie wyrządziłem panu najmniejszej niegrzeczności. Zachodzi pomiędzy nami różnica położenia społecznego, ale o tem ja wiedzieć nie chcę; pragnę być dla pana tylko gentlemanem i sądzę, iż do tego mam zupełne prawo nawet wobec pańskiego surowego sądu. Otóż, panie baronecie, źle zrobiłem, przeglądając te papiery, które ci zwracam obecnie. Ale ciekawość moja, przyznać to muszę z przykrością, świadczy tylko o małym poczuciu godności z mojej strony, gdy tymczasem fałsz zawsze będzie rzeczą podłą i okrutną. Czytałem papiery pańskie, lecz cóż w nich znalazłem? cóż w nich znalazłem, odnoszącego się do mojej żony?.. Kłamstwa, mój panie!—zawołał z wybuchem.—Nic, oprócz kłamstwa! Niema słowa prawdy, przysięgam Bogu, w całym tym pamflecie! Nie jesteś pan młodzikiem, mógłbyś być ojcem tej młodej kobiety; jesteś gentlemanem, literatem, autorem, człowiekiem subtelniejszego umysłu, i mogłeś tak bezkrytycznie powtórzyć wszystkie te głupie, nedorzeczne brednie! I chciałeś je drukować, publikować! Dziwne zaiste dla mnie pojęcie rycerskości i honoru!.. Lecz, dzięki Bogu, księżna ma jeszcze małżonka. Zapewniasz pan w swojej pracy, że nie umiem strzelać,

bądźże więc łaskaw dać mi jedną lekcję. Park jest tuż obok, koło bażantarni znajdziesz pan powóz. Gdybym padł, wiesz o tem i sam pisałeś, jak mało zwracają tu uwagi na moją osobę. Mam zwyczaj znikać z dworu i stolicy, byłoby to zatem zwyczajne zniknięcie, i nimby zrozumiano, co się stało, będziesz bezpieczny po za granicami kraju.

— Zwracam uwagę pańską, — rzekł sir John spokojnie — że to, czego wymagasz, jest niewykonalnem, niemożliwem.

— A jeśli cię spoliczkuję?—zawołał gwałtownie ksiązę, w którego oczach zapłonęły nagle groźne błyskawice tłumionego gniewu.

— Byłoby to podłością,—odparł Anglik niewzruszony—gdyż w niczem nie zmieniliby położenia: nie mogę podnieść oręża przeciw księciu panującemu.

— Tak, nie ośmielasz się pan dać mi zadośćuczynienia, lecz znieważać go możesz!—zawołał ksiązę zrozpaczony.

— Wybacz pan, — rzekł baronet — ale jesteś niesprawiedliwy. Właśnie dlatego, żeś monarchą panującym, z którym walczyć nie mogę zwykłą bronią śmiertelników, właśnie dlatego mam prawo krytyki twoich czynów, twego dworu, twojej żony. W tem wszystkim jesteś człowiekiem publicznym, należysz do ogółu cały, do szpiku kości. Ty masz za sobą prawo, bagnety twej armii, oczy twych szpiegów; my ze swojej strony nie mamy nic prócz — prawdy.

— Prawdy!—powtórzył ksiązę z gestem gorzkim i wymownym.

Na chwilę zapanowało milczenie.

— Wasza Książęca Mość pragnie daremnie—odezwał się sir Crabtree — zbierać słodkie owoce z dzikiej płonki. Jestem stary i przyznaję—cokolwiek cyniczny. Nikomu nie zależy nic na mej opinii, lecz po bliższem poznaniu, zdaje mi się, iż nikt dotychczas nie podobał mi się w tym stopniu, co ksiązę. Jak pan widzisz, zmieniłem zdanie, i przyznaję się do tej zmiany, co powinno mi być policzonem za zasługę.

Wszystko, co napisałem o tym kraju, rozdieram w pańskich oczach, tu, w twoim ogrodzie. Proszę o przebaczenie ciebie, książe, i księżny, i daję słowo honoru, jako gentleman i starzec, że w pamiętniku moim nikt nie znajdzie imienia Grunewaldu... A jednak był to rozdział dość ciekawy!.. Gdybyś czytał, Mości Książe, co piszę o innych dworach! Jestem krukiem, to trudno. I nie moja to wina, że świat jest brudną dziurą.

— A może oko pańskie widzi wszystko czarno?

— Być może, słowo daję!—zawołał podróżnik.— Odchodzę, zachwiany nieco w swej opinii. Nie jestem poetą, ale wierzę w lepszą przyszłość świata, a przynajmniej mam bardzo marne pojęcie o terażniejszości. Czas zdobywa, czas obmywa—oto moja śpiewka; lecz ile razy spotkam prawdziwą zasługę, lubię ją uznać. Dzień dzisiejszy należy do tych, które wspominać będę ze szczególną przyjemnością, gdyż w nim poznałem monarchę, posiadającego cnoty męża. I oto stary dworak i czerwony demokrata w jednej osobie z głębi serca i szczerze prosi cię, Mości Książe, o zaszczyt ucałowania twojej ręki.

— O nie! tu, bliżej serca!

I objęty zniemacka, Anglik znalazł się nagle w objęciach Ottona.

— A teraz — zaczął książe — oto bażantarnia, o kilka kroków znajdziesz pan mój powóz, który — proszę cię — przyjmij. I niech cię Pan Bóg strzeże aż do Wiednia.

-- W zapale młodości Wasza książęca. Mość o jednej rzeczy zapomina: jestem na czczo.

Książe rozłożył ręce ruchem niezmiernie wymownym.

— Jesteś panem swej woli, wolno panu jechać lub się zatrzymać; jednakże — uprzedzam, iż przyjaciele pana mogą być słabsi od wrogów. Książe, prawda, jest z panem, pragnie ci dopomóc, ale co panu przyjdzie z tego przekonania? Sam wiesz lepiej ode mnie, że nie jestem panem w Grunewaldzie.

— Stanowisko wiele znaczy — zauważył Anglik, potrząsając poważnie głową. — Gondremark lubi zwlekać, dyplomatyżowć; polityka jego jest podziemną, unika rzeczy jawnych, wystąpienia otwartego, — i teraz, gdy widziałem cię, Mości Książę, występującego z taką energią i odwagą, bez obawy oddam się pod twoją opiekę. Kto wie? Może jeszcze zwyciężysz w tej walce?

— Istotnie pan tak sądzisz? — zawołał książę ożywiony. — Dodajesz mi ducha tą nadzieją.

— Basta!.. nie będę więcej pisał szkiców — rzekł baronet. — Żle widzę, a was, Mości Książę, szczególnie błędnie odczytałem. Zapamiętaj pan jednak, że zamiar wyjazdu a przebyta droga — to dwie rzeczy zupełnie różne. Pańska konstytucya nie budzi we mnie zaufania: nos krótki, oczy i włosy w niezgodzie, cechy dwóch temperamentów odrębnych... Nie, nie, to są cechy, i nie umiałbym skończyć inaczej, niż zacząłem.

— Więc jestem subretką? — spytał Otton z udanym żalem.

— O, książę, przebaczenia! Błagam, zapomnij o tem!.. zapomnij wszystkiego, coś przeczytał. Pozwól, przez życzliwość dla mnie, niech ten rozdział będzie pogrzebany i spoczywa w pokoju.

ROZDZIAŁ IV.

Książę czeka w przedpokoju.

Pokrzepiony na duchu pierwszą sprawą dzienną, książę, przejęty teraz trudniejszym zadaniem, skierował się spokojnie w stronę apartamentów swej małżonki. Portyera podniosła się przed nim gościnnie, odźwierny wymienił głośno

jego imię, i Otto wszedł do pokoju z pewną żartobliwą przesadą w powadze, właściwej jego godności. Oczekiwało tutaj kilkanaście osób, dam dworskich po większej części, towarzystwo, w którym ksiązę czuł się miłym i pożądanym. Dyżurująca panna honorowa wyszła zaraz skrytymi drzwiami, uwiadomić księżną panią o wizycie dostojnego małżonka, a tymczasem Otton krążył po pokoju, przyjmując wdzięczne hołdy i uprzejme powitania, rozdzielając słodkie słówka i uśmiechy. Gdyby na tem jedynie polegały jego obowiązki księcia, wywiązałby się z nich znakomicie i byłby bez wątpienia jednym z najgoręcej uwielbianych monarchów.

Damy dworu bez wyjątku były zadowolone: każdej z nich dostało się właściwe spojrzenie, odpowiednie miłe słówko, każda czuła się wyróżnioną i ocenioną słusznie.

— Pani,—zwrócił się do jasnej blondynki o zamglonem spojrzeniu—racz mi objaśnić, jakim dziwem codzień znajduję cię piękniejszą i godniejszą uwielbienia?

— A ja Waszą Księżęcą Mość coraz bardziej opalonym!—zaśmiała się wesoła dama.—Lecz skoro zaczęliśmy rozmowę na stopie przyjacielskiej równości, stanę się zuchwałą i powiem więcej: oboje mamy płeć zachwycającą, ale ja pielęgnuję swoją delikatną skórkę, a Wasza Księżęcą Mość swoją garbuje na słońcu, deszczu i wietrze. A zatem niezaprzeczone wyższość przyznaną być musi...

— Wyglądam jak murzyn, — zaśmiał się ksiązę — ale zdaniem mojem, jest to cera najwłaściwsza dla niewolnika piękności, za jakiego się poczytuję — dodał z głębokim ukłonem.

— Witam panią Grafińską; kiedyż wystawimy naszą nową komedyjkę? Właśnie się dowiedziałem, że jestem cichym aktorem.

— O nieba!—zawołała dama dworu z przerażeniem—kto się poważyl? Co za niedźwiedź nieokrzesany!

— Człowiek niepospolity, mogę zapewnić panią.

— O, nigdy, nigdy temu nie uwierzę! — zaprzeczyła cienkim głosem wyzwana. — Wasza Książęca Mość gra, jak anioł.

— Pani musi mieć słuszność. Czyż może się mylić osoba tak zachwycająca i dowcipna? Lecz ten jegomość wolałby zapewne, żebym grał, jak zwykły aktor.

Przyjemny szmer podziwu, zachęty, uznania, był odpowiedzią na to zręczne słówko; ksiązę zarumienił się z zadowolenia, jak paw pyszny i dumny, przechadzał się w tej atmosferze kobiecych pochlebstw, słodkich komplementów, wesołego szczebiotania, ciepłych spojrzeń i uśmiechów, które przenikały go do szpiku kości miłym uczuciem zadowolenia i swobody.

— Cóż za artystyczne, śliczne uczesanie, pani Eisen-thal! — zauważył, ze swym szczerym uśmiechem.

— Każdy na nie zwraca uwagę — odezwał się ktoś z otoczenia.

— Podoba się księciu mojemu i panu? — spytała naj-słodszym głosem właścicielka pięknej koafury z głębokim ukłonem i wymownym rzutem oka.

— To coś nowego? Moda wiedeńska? — dopytywał zainteresowany monarcha.

— Każdy pragnie czemś nowem powitać miły powrót Waszej Książęcej Mości. Obudziłam się dzisiaj młodą: było to przeczucie. Dlaczegoż, Mości Książę, opuszczasz nas tak często?

— Dla przyjemności powrotu jedynie — wesoło odparł Otton. — Jestem jak ten pies, który zakopuje drogą kość w ziemię, aby powróciwszy, pożerać ją stęsknionym wzrokiem.

— Fe! fe! fi donc! kość! Co za brzydkie porównanie! — wołały oburzone damy.

— Dla psa jest to rzecz najdroższa — bronił się ksią-żę. — Ale spostrzegam właśnie panią Rosen... nie witałam jej jeszcze.

I żegnając ukłonem i spojrzeniem grupę, z którą rozmawiał, Otton lekkim krokiem skierował się ku oknu, gdzie w pewnem odosobnieniu siedziała milcząca hrabina.

Hrabina Rosen dotychczas zdawała się przygnębioną, jakąś cichą zadumą, lecz za zbliżeniem się księcia, ożywiła się nagle. Była to kobieta wysoka i wysmukła, niby nimfa, o ruchach bardzo lekkich, pełnych wdzięku. Twarz jej, piękna w spokoju, pod wpływem ożywienia zmieniała się, rozjaśniała, przeistaczała cudownie w grę barw, blasków, uśmiechów i drgnień porywających. Głos stanowił też jeden z jej nieporównanych powabów: śpiewała zachwycająco i nawet w zwykłej mowie władała bogactwem tonów i różnaitością; w nutach niskich brzmienia jej były głębokie i dziwnie sympatyczne, w wysokich — lekko drżące, melodyjne, dźwięczne: — cała muzyka. Był to brylant czystej wody, rznięty ręką mistrza, w tysiące ścian, promieniejących tysiącami ognia; kobieta, maskująca własną swoją piękność, a przynajmniej najpotężniejsze powaby, aby w chwili pieśczęoty błysnąć nimi nagle, jak bronią niezwyciężoną. Chwilami można było widzieć w niej jedynie osobę wysoką i zgrabną, o twarzy oliwkowej i śmiałym temperamencie; nagle — jak kwiat, który otwiera swój kielich do słońca, ożywiła się blaskiem życia, barw, wesołości, tklivosti, całej gamy uczuć, objawiających się coraz to nowym urokiem. Pani Rosen miała zawsze jakąś broń ukrytą, by pokonać ostatecznie niepewnego wielbiciela. Księcia powitała strzałą tkliwego zadowolenia.

— Nakoniec! — zawołała swoim melodyjnym głosem. — Raczyłeś wspomnieć o mnie, o książę okrutny!.. Motyl z ciebie, Mości Książę. Czy pozwolisz mi w dowód łaski ucałować swą rękę?

— O pani, to rzecz moja prosić o łaskę podobną!

Pochylił się z ukłonem i dotknął ustami palców pięknej hrabiny.

— Odmawiasz mi wszystkiego, Mości Książę — rzekła z uśmiechem i cichem westchnieniem.

— Cóż nowego, hrabino? Przychodzę do ciebie, jak zwykle, na gazetkę.

— Cisza morska, Mości Książę—martwa cisza. Świat usnął i marzy we śnie już wiek cały. Nie przypominam sobie najłżejszego objawu przebudzenia. Okropny stan. Po raz ostatni w życiu doznałam rozkoszy wzruszenia, gdy pozwolono mojej opiekunce wymierzyć mi sumiennie zasłużonego klapsa! Ale nie, nie, nieprawda, popełniłam niesprawiedliwość względem siebie i twego zaczarowanego pałacu. Tak, to było po raz ostatni. Już naprawdę raz ostatni!

I za wachlarzem, lekko pochylona, pośród tysiąca spojrzeń, uśmiechów i zwrotów zręcznej rozmowy, rozwijać zaczęła barwne opowiadanie ostatniej przygody, która jej urozmaiciła senną monotonię życia.

Otoczające ją damy dyskretnie usunęły się na bok, gdyż widocznem było, że piękna hrabina jest w łasce. Widziała to zapewne i podniecona znowu, kryła się za wachlarzem, głos zniżyła do szeptu, i chwilami obie pochylone głowy dotykały się prawie w tem zbliżeniu.

— Jesteś pani... wiesz o tem? — mówił, śmiejąc się książę — jesteś najzręczniejszą kobietą pod słońcem! najbardziej zajmującą.

— Ach, nakoniec spostrzegłeś to, okrutny książę!

— O, tak, pani, nabywam z wiekiem doświadczenia i trochę przenikliwości.

— Z wiekiem?—powtórzyła.—Możesz pan mówić o tym zdrajcy? Ja nie wierzę w bieg czasu. Cały kalendarz jest złudzeniem, kłamstwem.

— Musisz pani mieć słuszność—odparł poważnie książę.—Od lat sześciu, gdy zostaliśmy przyjaciółmi, widzę cię codziennie młodszą i piękniejszą.

— Pochlebca!—zawołała, a potem, zmieniając ton nagle: — Nie, pocóż mam tak mówić, jeśli na honor, sama myślę zupełnie tak samo. Przed tygodniem miałam konsylium z moim Ojcem Przewodnikiem, ze zwierciadłem, Mości Księżę. Zwierciadło mi odpowiedziało: „Nie jeszcze.” Podobne konferencye odbywam co miesiąc. O, wierz mi, księżę, to chwila bardzo uroczysta. Czy wiesz, co zrobię, kiedy zwierciadło odpowie: „Już pora?”

— Nie umiałbym odgadnąć.

— Ani ja tembardziej — zaśmiała się hrabina. — Ale wybór mam rozległy: samobójstwo, gra, klasztor, pamiętniki, polityka nakoniec. Obawiam się, że poprzestanę na ostatniej.

— Smutne powołanie — zauważył Otton.

— Niekoniecznie — odparła. — Czuję do niego pociąg. Polityka jest cioteczna siostrą plotki, którą w każdym razie musimy uznać za zabawną, a często bardzo zajmującą. Nie przecz, księżę. Jeśli ci opowiem np., że księżna pani codzień wyjeżdża z baronem na przegląd artylerji, będzie to z mojej strony, stosownie do sposobu wypowiedzenia tej nowiny, polityką lub plotką. Jestem jak alchemik, który stwarza nowe pierwiastki za pomocą środków tajemniczych.. Od chwili wyjazdu twego, Mości Księżę, widywano ich wszędzie razem...—ciągnęła dalej z błyszczącym spojrzeniem, pod którem twarz Ottona pokryła się ciemnym rumieńcem.—To będzie mała plotka, cokolwiek złośliwa... Ale jeżeli dodam, że witano ich wszędzie okrzykiem, moja ploteczka stanie się wiadomością polityczną.

— Mówmy o czem innem — rzekł Otton spokojnie.

— Właśnie chciałam to samo proponować, a raczej chcę się zwrócić do polityki. Wojna jest popularną, nie prawdaż? Musi być dość popularną, skoro ludność wydaje okrzyk na cześć księżny Serafiny.

— Wszystko to jest możliwem, wszystko to być może, droga pani — powtórzył księżę. — Być może, iż rzeczywiście

robimy przygotowania do wojny, ale słowu honoru daję, że nie wiem, z kim mamy wojować.

— I pan pozwalasz na to? Znosisz to, Mości Książę? — zawołała z zalotnem oburzeniem.—Przyznaję, że nie miałam nigdy pretensyi do moralnych zasad: jagnię wstręt we mnie budzi, a wilk — podziw romantyczny. O, skończ raz, Mości Książę, z tą rolą jagnięcia! Pozwól nam się przekonać, że mamy monarchę. Dość, dość już tej kądzielil

— Sądziłem, pani, — zauważył Otton — iż należysz do przeciwnego obozu.

— Będę należała do twego, mój książę, ale niech znacznie istnieć — odparła wesoło.—Czyż rzeczywiście nie masz najmniejszej ambicyi? Był niegdyś w Anglii człowiek, którego nazwano: „Twórcą królów...” Czy wiesz, Mości Książę, zdaje mi się, że i ja także umiałabym stworzyć, czy zrobić choć księcia?

— Może wkrótce poproszę panią o dobrą radę, jak zrobić z siebie zwykłego wieśniaka — zauważył książę znacząco.

— Czy to zagadka?

— Tak, pani, i nawet bardzo dobra.

— Odpowiem ci podobną: Gdzie jest w tej chwili Gondremark?

— Pierwszy minister? Prawdopodobnie w ministerjum.

— Niewątpliwie, Mości Książę — uśmiechnęła się hrabina, końcem wachlarza wskazując apartament księżny. — My, Mości Książę, oboje znajdujemy się w przedpokoju. Sądzisz,—dodała— że jestem złośliwą? Wypróbuj mię. Daj mi jakie bardzo trudne polecenie. Zapytaj o coś. Niema trudności, którejbym nie zdołała pokonać dla ciebie; niema tajemnicy, którejbym tobie nie odkryła.

Książę ucałował piękną, małą rączkę.

— Wierz mi pani, iż zanadto cenię w tobie przyjaciela, abym miał to uczucie wystawiać na próby. Stokrotnie

wolę o niczem nie wiedzieć. Łączmy się i bratajmy, jak żołnierze przeciwnych obozów na neutralnym gruncie, lecz każdy z nas niech zostanie wiernym swej chorągwi.

— Gdyby wszyscy mężczyźni byli tak wspaniałomyślni, — gorąco zawołała hrabina — warto byłoby jeszcze być kobietą!

Sądząc jednakże z wyrazu jej twarzy, wspaniałomyślność księcia raczej ją zawiodła. Zdawało się, iż szuka w myśli punktu wyjścia, i skoro go znalazła, ożywiła się znowu.

— Czy mi wolno pożegnać mojego monarchę? — zapytała z uczuciem. — Jest to bunt z mojej strony karygodny, lecz cóż pocznę? Mój niedźwiedź jest zazdrosny...

— Zmiłuj się, hrabino! Ahasverus podał ci berło, więcej nawet: pod każdym względem chce ci być posłusznym. Doprawdy, powinienem się być psem urodzić, aby módz śpieszyć na każde skinienie.

Księżę pożegnał ją z wytworną grzecznością i poszedł motylkować koło pani Grafińskiej i Eisenthal. Lecz hrabina była rada ze swej strzały, która musiała utkwąć w sercu pięknego księcia. Gondremark zazdrosny! Miła zemsta. A pani Rosen, powód tej zazdrości, powinna przedstawić mu się całkiem w nowem świetle.

ROZDZIAŁ V.

Gondremark u księżny.

Hrabina Rosen powiedziała prawdę: pierwszy minister Grunewaldu, sławny baron Gondremark, znajdował się w pokoju Serafyny.

Księżna skończyła ranną toaletę i gustownie ubrana, siedziała przed wysokim, stojącym zwierciadłem, oplecionem kwiatami. Opis sir Johna co do jej powierzchowności był złośliwie dokładny, dokładny w wymiarach i wyrażeniach, zarazem jednakże z gruntu fałszywy i w swoim rodzaju

arcydzieło obłudy. Prawda, że czoło miała zbyt wysokie, ale z tem jej było do twarzy. Ramiona mogłyby być trochę szersze i więcej zakrąglone, lecz sam w sobie każdy szczegół tej osóбки był misternym klejnotem, obdarzonym tajemniczą siłą powabu: ręka, noga, ucho, wdzięczna osada głowy, wszystko było szlachetne, delikatne i harmonijne. Nie była ona piękną skończenie, klasycznie, lecz pełną życia, zmienną, barwną, śliczną i zachwycającą w coraz to inny, coraz powabniejszy sposób.

Co do jej oczu, prawda, iż było w nich wiele sztucznej gry i afektacyi, ale — umiała patrzeć, była w tem finezya. Można powiedzieć, iż stanowiły one największą i istotną ozdobę jej twarzy, chociaż dawały fałszywe świadectwo jej własnemu myślowi: daleka w głębi duszy od spokoju, pełna tłumionych, ale wrzących żalów, wybuchająca jedynie w kierunku męskich ambicyi i pragnienia władzy — miała oczy syreny, słodkie i marzące, to znów wyzywające, śmiałe, dumne i przebiegłe. Przebiegłość jej była zresztą bardzo jednostronną: dotknięta swem kobiecym biernym przeznaczeniem; spragniona czynu, uznania i sławy, z konieczności przyjęła rolę władzy odpowiedzialnej. I odtąd, mając innych na ustach i celem widowym, w gruncie rzeczy myślała wyłącznie o sobie; chciała siać blaski, zimną pozostając w sercu; nie kochając nikogo, pragnęła miłości i nieograniczonego posłuszeństwa.

Jest to zresztą namiętność dość u kobiet pospolita: taką prawdopodobnie była owa dama, której kochanek poszedł między lwy po rękawiczkę. Lecz w tym wypadku sidła były zastawione zarówno ze strony mężczyzny, jak kobiety, i świat ciekawie patrzył na tę podwójną szermierkę.

Obok księżny, na niskiem krześle, baron Gondrem rękami złożył swoje ciężkie członki z miną pokornego, uległego kota. Olbrzymie jego granatowe szczęki i sangwiniczne oko w tej kornej postawie podnosiły wartość silnie uwydatnionej chęci podobania się wątłej kobiecie. Wyraz twarzy był

chłodny, rozumny i śmiały, tą śmiałością korsarza, który nie przebiera w środkach i nie rachuje się ze skrupułami, a jednak nie może być nazwany oszustem. Ruchy jego i całe zachowanie wobec księżny było wyszukane i poprawne, ale pozbawione szlachetnej dystynkcji.

— Teraz prawdopodobnie trzeba będzie pożegnać cię, Mościa Księżno — rzekł przyciszonym głosem. — Nie wypada, abym pozwolił oczekiwać swojemu monarsze. Zdecydujmyż się zatem zaraz na krok stanowczy.

— Czyż nie można... czyż to jest niepodobieństwem odłożyć wszystko? — zapytała księżna.

— Niepodobna — powtórzył z naciskiem Gondremark. — Wasza Książęca Mość sama to przyzna, skoro zechce rozpatrzyć sprawę. Zaczynając, mogliśmy pełzać i kryć się jak węże, lecz wobec ultimatum nie mamy wyboru: teraz musimy zdobyć się na lwią odwagę. Zapewne, byłoby lepiej, gdyby książę był nie powrócił jeszcze czas jakiś, lecz zasłiśmy już zbyt daleko, by się wahać i zwłóczyć.

— Co go mogło sprowadzić? — zawołała księżna z nieudaną niechęcią. — I to dziś właśnie!

— Los ślepy, instynkt... Lecz nie przesadzajmy niebezpieczeństwa. Proszę, pomyśl Pani, czegośmy dokazali mimo tylu przeszkód! Nie jesteśmy Księciem Piórko — dodał, lekko dmuchnąwszy w palce.

— Książę Piórko jest jednak księciem Grunewaldu.

— Dzięki twojej tolerancji i wyrozumiałości, Mościa Księżno, i tylko póty, póki raczysz na to zezwolić. Istnieją prawa natury, których nic nie zmieni, — na tej zasadzie władza należy do silnych. Gdyby się poważył kiedy sprzeciwić swemu przeznaczeniu.. zechcesz mu, księżno, opowiedzieć bajkę o glinianym garuku i żelaznym.

— Nazywasz mię pan garnkiem? To niezbyt uprzejmie, baronie! — zawołała, śmiejąc się, księżna.

— Nim skończymy z chwałą swoje dzieło, mam nadzieję nazwać panią wielu różnemi jeszcze imionami—odparł Gondremark.

Księżna zarumieniła się pod wpływem przyjemnego wrażenia.

-- Mimo to wszystko, Fryderyk jest księciem, panie pochlebco—odparła z uśmiechem.—Nie myślisz chyba przecież o rewolucyi, baronie?

— Rewolucya już się odbyła, droga pani: Książę Fryderyk istnieje jeszcze w kalendarzu, lecz księżna pani rządzi i panuje w Grunewaldzie.

Utopił w niej spojrzenie pełne uwielbienia i miłości, pod którem próżne serce Serafiny wezbrało dumą i rozkosznem wzruszeniem. Patrząc na olbrzymiego niewolnika, upajała się poczuciem swej władzy. Lecz Gondremark krótką chwilę pozwolił jej tylko kosztować słodkich wrażeń, wkrótce przerwał milczenie ze swą ciężką niezręcznością.

— Jedną tylko słabą stroną w świetnej przyszłości mej pani grozi niebezpieczeństwem — zaczął znowu. — Czyż mam ją nazwać? Czyż mi wolno pozwolić sobie na ten objaw śmiałości? Słabość tkwi w niej samej... w tkliwym sercu mej księżny...

— Albo w braku prawdziwej odwagi, baronie. A jeśliśmy źle obliczyli? A jeśli będziemy pokonani?

— Pokonani, księżno?!—zawołał Gondremark z urazą.— Czyż pies może być pokonanym przez zająca? Wojska nasze, rozmieszczone wzdłuż całej granicy, i pięć tysięcy karabinów awangardy w ciągu pięciu godzin stanie u bram Brandenau, a w Gerolsteinie niema i pięciuset ludzi, umiejących władać bronią. To jasne jak słońce; oporu spotkać nie możemy.

— Ale też nie możemy nazwać tego bohaterstwem. Więc tak wygląda zbliżka piękna sława? To jakby ktoś obił dziecko!

— Odwaga nasza, pani, leży w dyplomacyi—zapewniał baron. — Jest to krok poważny: po raz pierwszy zwracamy, oczy Europy na bezwładny dotąd Grunewald, i stosownie do zręczności naszej polityki, w ciągu następnych trzech miesięcy, dzięki układom mocarstw pierwszorzędnych, utrzymamy się na zdobytem stanowisku, albo spadniemy w nicość. I w tych to trudnych i stanowczych chwilach — dodał pośpiesznie—liczę na twe rady, pani. Gdybym nie widział ciebie lat tyle przy pracy, gdybym nie znał płodności twojego umysłu, wyznaję, iż zadrżałbym i uląkł się może konsekwencyi zamierzonego przedsięwzięcia. Na tem polu mężczyźni uznać muszą zawsze swój brak zdolności i konieczność pomocy subtelniejszego umysłu kobiety. Który z wielkich dyplomatów nie miał obok siebie, albo ponad sobą tego ducha opiekuńczego, źródła inicjatywy, a często geniuszu? Pani Pompadour nie miała zdolnego wykonawcy swej woli, nie znalazła wiernego Gondremarka. Ale co za potężna polityka! A Katarzyna Medicis... jaka bystrzość oka, trafność poglądów i stanowczość środków!.. jaka odporność i siła w upadku! Niestety jednak, dla niej własne dzieci były tem, czem Książę Piórko... A oprócz tego miała ona w charakterze rys mieszczański, pospolity: uczucia i względy rodzinne ograniczały zawsze swobodę jej czynów.

Ten oryginalny pogląd historyczny, zastosowany ściśle „ad usum Seraphinae,” nie zdawał się jednakże wywierać na księżnie magnetycznego wpływu. Widocznem było, iż na czas jakiś przynajmniej zniechęciła się do własnych swoich postanowień, gdyż słowa Gondremarka nie przekonały jej zupełnie, ani skłoniły do zaniechania oporu. Z pod nawpół spuszczonej powiek spojrzała na swego doradcę i odparła z lekkim odcieniem szyderstwa:

— Ludzie są zawsze dziećmi: lubią wielkie słowa! Piękna odwaga! Wzniosłe, bohaterskie czyny! Zdaje mi się w tej chwili, że gdybyś zmuszonym był, baronie, czyścić rondle, nazwałbyś to zajęcie „odwagą domową!”

— Być bardzo może, pani, nawet niewątpliwie, zwłaszcza, gdybym tę czynność spełnił należycie. Nazywam cnotę należnem jej mianem,—i w tem niema przesady: cnoty same w sobie nie są zachwycające, ani bardzo świetne.

— Być może, lecz zastanówmy się tylko: chciałabym rzeczywiście zrozumieć tę naszą odwagę. Ale nie mogę. Czyż nie musimy, jak dzieci, prosić o pozwolenie na swawolę? Babcia z Berlina i wujaszek z Wiednia, cała rodzina wreszcie, dobrotliwie poklepie nas po twarzy, zarumienionej z pragnienia, i — pozwoli. Odważnie, dzieci! śmiało, dzieci! Doprawdy, nie rozumiem pana.

— Odmieniono mi moją panią! — smutnie zawołał baron: — nie chce wiedzieć, gdzie się kryje prawdziwe niebezpieczeństwo. Prawda, że wszyscy zachęcają nas do tego kroku, ale czyż księżna moja zapomniała, pod jak niemożliwymi warunkami? Wszak wie, jak było w Diète na konferencyach, gdy w dyskusjach jawnych przeczono lub zapomniano o wszystkim, o czem się mówiło na stronie? Niebezpieczeństwo jest i rzeczywiste — ciągnął dalej, wściekły w duszy, iż musi potrącać strunę, którą sam przed chwilą uciszał.—Rzeczywiste i groźne, choć nie wyłącznie militarne. Nie mniej przeto odważnie stawimy mu czoło. Co do armii, jakkolwiek podzielam zupełnie zaufanie Waszej Książęcej Mości w uzdolnienie i szczerę chęci Alvenau'a, muszę pamiętać o tem, iż ten młodzieniec nie miał dotychczas sposobności złożyć nam dowodów, iż potrafi odpowiedzieć swojemu zadaniu na tak wysokiem stanowisku. Co zaś do negocyacji, mam nadzieję pozyskać wpływ na ich kierunek, a przy twej pomocy, pani, nie wątpię, iż wypłyniemy szczęśliwie.

— Być może—powtórzyła z westchnieniem Serafina.— Ja widzę niebezpieczeństwo gdzieindziej. Lud, ten lud straszny, gdyby się nagle zbuntował? Piękniebyśmy wyglądali wtedy w oczach Europy: przedsiębrać zaborczą wojnę, gdy się nie jest pewnym swego własnego tronu!

— W tem jednym nie jesteś pani na własnej swojej wysokości—zauważył baron z uśmiechem.—Cóż wśród ludu wywołuje całe niezadowolenie? Co go burzy? — Podatki. Lecz zajmąwszy Gerolstein, zmniejszymy podatki; synowie wrócą ze sławą do domu, niosąc obfitą zdobycz i łupy wojenne; każdy potrosze będzie czuł na sobie cząstkę powszechnego blasku i tryumfu, i zniknie wszelki powód do niechęci. Będziemy znów spokojni, dumni i szczęśliwi. „Tak, tak,—będą powtarzali sobie grubi tracze—nasza księżna ma rozum i pojmuje rzeczy, to tęga głowa... Ot, jesteśmy dzisiaj bogatsi, niż poprzednio.” — Ale komuż ja to tłómaczę? Czyż nie ty, pani, pierwsza ukazałaś mi tę drogę? Wszak w podobny sposób skłoniłaś mię do tego kroku.

— Zdaje mi się, panie Gondremark, — rzekła sucho Serafina—iż często przypisujesz mi swe własne myśli. -

Niespodziewany i subtelny atak zmieszał na chwilę barona tak mocno, że nie umiał odpowiedzieć. Ale prędko przyszedł do siebie.

— Doprawdy? — spytał z naiwnem zdziwieniem. — To być może... gdyż zauważyłem niejednokrotnie podobną tendencyę w słowach Waszej Książęcej Mości.

Odpowiedź wydawała się tak naturalną i słuszną, iż Serafina odetchnęła swobodnie. Próżność jej była ccaloną i ulga, jakiej z tego powodu doznała, podnieciła jej energię.

— W każdym razie,—zaczęła—wszystko to dziś nie na czasie. Fryderyk czeka w przedpokoju, a ja nie znam dotąd hasła. Tak, mój towarzyszu pracy, decydujemy. Jak go mam przyjąć? Co zrobimy, jeśli zechce być na radzie?

— Jak go masz przyjąć, księżno, tu, u siebie, pozostawiam najzupełniej twemu dowcipowi. Widziałem cię już w ogniu. Odeślij go najlepiej do teatru. Ale łagodnie! Czy np. nie byłby dogodny dla mojej pani nagły atak migreny?

— Nigdy!—odparła żywo.—Kobieta, która może rządzić, tak samo jak mężczyzna, który może walczyć, nie po-

winni nigdy unikać spotkania. Rycerz nie ma prawa brakiem zaufania zniesławiać swojej broni.

— Ha! niechże zatem moja okrutna księżna pozwoli chociaż błagać się o jedną łaskę: bądź litościwą dla niešťczęśliwego człowieka! Udaj, że cię zajmują jego polowania, a polityka nudzi! Staraj się pani znaleźć w jego towarzystwie, że tak powiem, przyjemny wypoczynek po męczącej pracy. Czy księżna pani moja przyjmuje ten projekt?

— Wszystko to zresztą mniejsza, drobiazgi... szczegóły—ale Rada? W tem kwestya.

— Rada?—zaśmiał się rubasznie Gondremark.—Księżna Pani pozwoli?

Podniósł się i zaczął biegać po pokoju, naśladowując dość udatnie głos i ruchy księcia.

— „Ach, cóż tam dzisiaj mamy, panie de Gondremark? Ach, panie kanclerzu, nowa peruka? Nie zwiedzisz mię! znam wszystkie peruki w Grunewaldzie! Mam oko księcia, paniel.. Cóż to za papiery? Aha, aha! naturalnie!.. Założyłbym się, iż żaden z was nie zwrócił uwagi na perukę.. Bez wątpienia. Nic w tem wszystkiem nie rozumiem... A tak dużo! Mój Boże!.. Podpisujcie, podpisujcie, macie przecież upoważnienie... Widzisz pan, panie kanclerzu, poznałem się odrazu na twojej peruce!..” I tak dalej—dokończył baron, odzyskując głos naturalny. — W taki to sposób nasz monarcha z łaski Boga oświeca swych doradców w sprawach aństwa i wskazuje im drogę właściwą.

Baron tryumfująco spojrział na Serafinę, oczekując należytego uznania, ale ją zastał lodowato zimną.

— Masz pan wielkie zdolności, panie Gondremark, — rzekła dumnie — ale zapomniałeś dziś, gdzie się znajdujesz. Pozory niekiedy mylą. I nasz monarcha, książę Grunewaldu, bywa więcej wymagającym.

W głębi duszy Gondremark posłał ją do wszystkich dyabłów. Ambicya i próżność błazna bywa najdrażliwszą.

a kiedy sprawy ważne utrzymują system nerwowy w pewnem naprężeniu, ukłucie szpilką staje się nieznośnem. Lecz baron był żelazny: nic nie okazał po sobie. Nie przyśpieszył nawet odejścia, jak zwykły szarlatan, który się przerachował. Zachował powagę i spokój.

— Pani, — rzekł — mówisz słusznie: księżę bywa wymagającym, trzeba wziąć bysia za rogi.

— Zobaczymy — odparła, poprawiając suknię.

Gniew, pogarda, niesmak, tysiąc uczuć cierpkich i nieokreślonych ogarnęło ją nagle z niepojętą siłą, uczuła wstręt najwyższy do wszystkiego, co miało związek z polityką i baronem.

„Daj Boże, żeby się tu pokłócili — myślał tymczasem, odchodząc, Gondremark. — Ta święta lala gotowa mi dziś spletać figla — chyba, że się pokłóca... Czas go wpuścić wreszcie... Wynoś się, piesku, na kolana przed panią!..”

Przykląkł na jedno kolano i z rycerską galanterią ucałował rękę księżny.

— Trzeba, by księżna pani oddaliła swego sługę — rzekł pokornie. — Mam jeszcze wiele rzeczy przygotować przed otwarciem Rady.

— Żegnam pana.

Podniosła się, i kiedy baron Gondremark na palcach wychodził ukrytymi drzwiami, księżna nacisnęła dzwonek i wydała rozkaz, aby prosić księcia.

ROZDZIAŁ VI.

Rozmowa o małżeństwie i praktycznie pojęta kwestya rozwodu.

Księżę Otton wszedł do pokoju swej żony, uzbrojony najlepszymi zamiarami. Pragnął być ojcowskim, serdecznym i pełnym wyrozumiałości; na ustach miał słowa słuszne, lecz tkliwei wzruszające.

Z drugiej strony Serafina nie była w usposobieniu niedostępnem. Przeciwnie, jej zwykła obawa nieprzewidzianych przeszkód ze strony małżonka w wielkich i świętych zamiarach zniknęła pod wpływem nagłej nieufności względem własnego przedsięwzięcia. A oprócz tego Gondremark obudził w niej wstręt i trwogę.

Księżna w głębi duszy nigdy nie lubiła szczerze barona. Podejrzewała zawsze brak szczerości pod jego zuchwałą pokorą, pod ostentacyjnem przywiązaniem, na które tak uporczywie zwracał jej uwagę z delikatnością zbyt niedelikatną; pod tymi pozorami odczuwała stale całą grubość i pospolitość tej natury. Było to uczucie dumy z poskromienia niedźwiedzia, połączone ze wstrętem względem niewolnika.

Lecz nadewszystko dręczył ją zazdrosny i tajony niepokój, że człowiek ten jest obłudny, a ona tej obłudy i fałszu przedmiotem. Prawda, bawiła się jego mniemaną miłością, lecz czyż on w podobny sposób nie wyzyskiwał jej próżności? Ordynarne zuchwalstwo ostatniej jego pantominy i okropność własnego swego położenia, jako świadka tej sceny, zaciążyły jej mocno na sumieniu. Oczekiwała męża jak skruszona winowajczyni, a zarazem rada była, iż jego obecność uwolni ją od człowieka, którego w danej chwili znosić nie mogła spokojnie.

Na nieszczęście, ludzkie chęci i zamiary zależą zawsze od kaprysów losu, zmiennego jak wiatr wiosenny. Już wchodząc, książę odczuł pierwsze drażniące tchnienie: widział, że baron wyszedł stąd przed chwilą, krzesło jego stało jeszcze wysunięte, zbliżone do kanapki dla poufnej rozmowy, i doznał niemilego ukłucia na myśl, że ten człowiek nie tylko przyjmowany był w sposób tajemniczy, lecz wyszedł stąd równie skrycie i dyskretnie, unikając z nim spotkania.

Pod wpływem takich uczuć, z pewną szorstkością odprawił służącego, który wprowadził go do księżny.

— Czujesz się tu, jak u siebie—zauważyła zimno Serafina, dotknięta rozkazującym jego tonem i spojrzeniem, które rzucił na krzesło.

— Tak rzadkim jestem tu gościem, o pani, że słusznie przyznajesz mi tylko prawa gościa—odparł z pewną goryczą.

— Wszak sam dobierasz sobie otoczenie i towarzystwo, Fryderyku — zauważyła księżna.

— Tak jest, i o tem właśnie chcę pomówić z tobą. — To mię dziś sprowadziło... Cztery lata upływają od naszego ślubu, i zapewniam cię, Serafino, iż nie były one dla mnie szczęśliwszemi, niż dla ciebie. Wiem dobrze, że nie jestem stosownym dla ciebie małżonkiem: wiek, charakter, upodobania stanęły między nami. Nie mam żadnej ambicyi dążeń, jestem bezużyteczną istotą, którą pogardziłaś wkrótce... Nie mówię, że bez przyczyny, lecz aby sądzić sprawiedliwie, trzeba rozważyć całe moje postępowanie. Skoro tylko spostrzegłem, że cię bawi rola panującej księżny na tej małej scenie, czyż ci nie oddałem chętnie i niezwłocznie tego pudełka kosztownych zabawek, które nazywamy Grunewaldem? A skoro zauważyłem, iż nie jestem ci miły jako małżonek czyż nie usunąłem się dyskretnie? Czyż kiedykolwiek byłem ci natrętnym, krępującym? Powiesz może, iż nie grało w tem roli uczucie, iż nie wyrzekałem się rzeczy mi drogich, a gdzie niema ofiary, niema i zasługi, na którą miałbym prawo powoływać się w tej chwili; że należę do ludzi, którzy najchętniej dążą tam, gdzie ich wiatr poniesie; że to już leży w moim charakterze... Jest w tem coś prawdy; nic nie robić łatwo, o, bardzo łatwo, a niekiedy i przyjemnie; lecz czy wiesz, Serafino, że zaczynam pojmować, iż to niezawsze zgadza się z rozsądkiem? Zbyt stary jestem i zbyt mało sympatyczny, abym mógł być dla ciebie dobrym mężem; powinienem jednakże być pamiętać, że jestem księciem kraju, do którego cię przywiozłem, dziecko niedoświadczone i obce. Pod tym względem ciążyły na mnie obowiązki, których nie wypełniłem, niestety.

Przypomnienie o swej wyższości wobec kobiety zawsze będzie dla niej obrazą, chociażbyśmy swe prawa opierali tylko na starszeństwie. Serafina zapłonęła oburzeniem.

— Obowiązki!—zawołała, śmiejąc się szyderczo. — To słowo na twoich ustach?! Rozśmieszasz mię, mój drogi! Skąd ci przyszły do głowy takie nedorzecznosci? Idźże do dziewcząt śpiewać im słodkie słówka, i zostań sobie księciem z saskiej porcelany, na którego wyglądasz! Tak, — dodała łagodniej—baw się, moje dziecko, a nam pozostaw obowiązki i pracę.

Liczba mnoga niemile zabrzmiała w uszach księcia, ale odparł spokojnie:

— Dosyć bawiłem się w życiu, jeśli wyraz „zabawa” ma tu być właściwym. Mógłbym jednakże wiele na to odpowiedzieć. Ludzie widzą we mnie tylko zapalonego myśliwca, a jednak bywają chwile, w których pociąga mię bardzo to, co przez grzeczność nazwać można rządem mego państwa. Zawsze miałem pretensye do dobrego gustu i odczuwałem wybornie różnicę, która istnieje między bezduszną rutyną a żyjącem szczęściem. Gdybym miał do wyboru, nie zawahałbym się nigdy, przekładając np. tron Austrii nad polowanie, lub zrzekając się łowów dla twojego towarzystwa. Byłaś prawdziwym, świeżym pączkiem róży, kiedy los mi pozwolił..

— O nieba! — zawołała z przerażeniem Serafina — czy masz zamiar urządzić mi scenę miłości?

— Nie jestem nigdy śmiesznym, — odparł poważnie książę — i to moja jedyna cnota; możesz być pewną, iż będzie to scena bardzo modnego małżeństwa. Lecz wracając do początku, przypuszczałem, iż rozumiesz, że najpospolitsza grzeczność nakazuje mówić o nim z pewnym żalem? Bądź pani sprawiedliwą: czyżbyś mi nie miała za złe, czyżbyś mi nie poczytała za brak delikatności, gdybym wywołując te wspomnienia, nie wyraził w przyzwoitej, lecz serdecznej formie, że były i są mi drogie? Więcej żądam, choć także

w imię słuszności tylko, przyznaj pani—choćby przez grzechność — że i sama żałujesz tych pięknych chwil ubiegłych?

— Niczego nie żałuję — odparła szorstko Serafina. — Zdziwiasz mię pan dzisiaj. Uważałam cię zawsze za człowieka tak szczęśliwego...

— Szczęście i szczęście... tak różne są szczęścia! Można je znaleźć w walce, można we śnie; wino, podróże, rozmaitość, cnota — wszystko podobno może nam dać szczęście... Ja przyznaję, nie próbowałem dróg tyłu. Mówią także, iż można znaleźć jakieś szczęście w cichem rodzinnem życiu i spokoju. Szczęśliwy?.. Tak, jestem szczęśliwy, zapewne; lecz wyznaję otwarcie, iż szczęśliwszy byłem, wprowadzając cię do tego domu.

— Zapewne od tego czasu zmieniłeś zdanie — rzekła Serafina, nie bez wysiłku zachowując spokój.

— Nie—odparł Otton.—Nigdy nie zmieniałem zdania pod względem uczuć. Czy pamiętasz, Serafino, kiedyśmy przyjechali do naszego domu? Wprowadziłem cię tutaj. Na ścieżce w ogrodzie zobaczyłaś kwitnące róże, pośpieszyłem, aby je zerwać dla ciebie. Szliśmy oboje wąską cieniastą aleją, między wysokimi drzewami, za któremi słońce zachodziło w złocie. Nad głowami naszymi unosiły się wrony: jesień była. Róż znalazłem dziewięć, dziewięć róż ponsowych i za każdą dostałem pocałunek... I wróżyłem ci, że każdy pocałunek z różą to rok szczęścia dla naszej przyszłości... W półtora roku wszystko się skończyło — ale nie w mojem sercu. Czy przypuszczasz, Serafino, że zmieniły się moje uczucia?

— Czyż ja wiem? — odpowiedziała jak automat.

— Nie,—mówił dalej książę—uczucia zostały te same. Niema śmieszności, nawet dla starego męża, w miłości bez nadziei, która nic nie żąda. Budowałem na piasku. Przebacz, Serafino, — w tem niema cienia wyrzutu, — budowałem na własnych słabościach i wadach. Lecz w gmachu tym złożyłem serce... I ono tam zostało, pomimo ruiny.

— To bardzo poetycznie — zauważyła księżna z wymuszonym uśmiechem.

Czuła się dziwnie i słodko wzruszoną; to ją niepokoiło i gniewało.

— Lecz do czego to zmierza? — spytała po chwili, pewniejszym i twardszym głosem.

— Zmierzam do tego, że — trudno mi jest i przykro poruszać tę kwestyę, — ale w każdym razie jestem mężem twoim, Serafino, biednym szaleńcem, który cię kocha prawdziwie. Zechciej zrozumieć tylko, — wybuchnął nagle z hamowaną gwałtownością — że nie przychodzę tutaj jako mąż skruszony, błagający o litość: jałmużny nie chcę i gardziłbym sobą, gdybym przyjął najłżejszy dowód twej dobroci, nie płynący z miłości. Nic nie chcę, nic nie żądam i nicbym nie przyjął. Nie kieruje mną zazdrość — jakież mam do niej prawo lub przyczynę? Byłaby to zazdrość psa chyba, strzegącego siana, ale do takiej nie czuję się zdolnym. Mimo to, w oczach świata jestem twoim mężem i pragnę, abyś pomyślała o tem i rozważyła, czy postępujesz ze mną dobrze? Ja się trzymam na stronie i zostawiam ci wszelką swobodę; jesteś panią swojej woli zawsze i na każdym miejscu. Ale ty, Serafino, czy pamiętasz o tem, że oczy tysięcy zwrócone są na nas bezustannie? Na stanowisku, które zajmujemy, pamiętać trzeba, żeśmy ciągle pod cenzurą, i rządzić się rozsądkiem, zachowując pewne formy tam nawet, gdzie treści niema. Wiem, że jest trudno uniknąć oszczerstwa, ale przykrzej je znosić.

— Oszczerstwa! — powtórzyła Serafina, dysząc oburzeniem. — Oszczerstwa! Więc do tego zmierzał ten wstęp czuły!

— Chciałem, abyś wiedziała, co czuję, jak czuję. Powiedziałem ci, że cię kocham, kocham bez nadziei — gorzkie uczucie dla męża — ale byłem otwartym, bo pragnę gorąco, abyś mię zrozumiała, bo nie chcę cię dotknąć, ani obrazić niczem. A teraz — skoro zacząłem nakoniec — skończę w kilku wyrazach.

— Proszę bardzo. O cóż więc chodzi?

Purpurowy rumieniec oblał twarz Ottona.

— Muszę ci coś powiedzieć, czego wolałbym nie mówić—odparł z wysiłkiem.—Radzę ci życzliwie, nie widywać tak często Gondremarka.

— Gondremarka? Dlaczego? — spytała wyniosłe.

— To zbliżenie między wami jest powodem plotek — rzekł ze spokojem książę. — Oszczerstwo, które dla mnie jest palącym bólem, dla rodziców twoich, gdyby do nich doszło, byłoby ciosem strasznym.

— Jesteś pierwszym, który mię o tem uprzedziłeś. Mocno obowiązana.

— Może istnieje przyczyna milczenia, którem cię otoczono. Może ja jeden tylko wśród twoich przyjaciół..

— O, dajmy spokój moim przyjaciołom! — przerwała mu namiętnie.—Przyjaciół mamy różnego gatunku. Przyszedłeś tu manifestować mi swoje uczucia! Kiedyż to cię widziałam raz ostatni? — Nie pamiętam. — Przez ten czas rządzę za ciebie tem państwem i nie mam i nie żądam żadnej od ciebie pomocy. Lecz kiedy moje siły wyczerpała praca, a ty znudziłeś się zwykłą zabawą, przyszło ci na myśl dla różnaitości urządzić mi scenę małżeńską! „Sklepikarz i jego żona!” Sądziłam jednak, iż powinienes to zrozumieć, że nie mogę jednocześnie rządzić twojem państwem i postępować jak młoda panienka. Oszczerstwo — to atmosfera, w której żyć musimy, my, książęta, — o czem książę wiedzieć powinien dawno. Rola pańska jest wstrętną. I wierzysz tym wieściom?

— Pani!.. Czyż byłbym tutaj?

— Chcę wiedzieć! — zawołała w uniesieniu, które tyśiącem blasków trysnęło z jej oczu. — Czy wierzysz tej potwarzy?

— Uważałem za swój obowiązek przeczyć jej całą moją moralną istotą.

— Wiedziałam o tem!.. Ooo!.. jesteś nikczemny!

— Dość tego, pani! — zawołał Otton, tracąc wreszcie sztuczny spokój. — Nie chcesz mię dziś zrozumieć! Ale cierpliwość moja wyczerpana. W imieniu rodziców twoich, w mojem własnem imieniu żądam, abyś była rozważniejszą

— Czy to życzenie męża?

— Miałbym prawo rozkazać.

— O, według prawa możesz zamknąć mię dziś do więzienia! Lecz po za tem nic nie możesz.

— Więc nie zmienisz pani swego postępowania?

— Ani trochę. Skoro tylko skończymy tę komedję, pošę po barona Gondremarka, aby mi złożył wizytę. Czy dość jasno?—dodała wstając.—Co do mnie, skończyłam.

— W takim razie proszę panią jeszcze o jedną łaskę— rzekł Otton, drżąc z gniewu. — Może raczysz odwiedzić w mojem towarzystwie inną część tego nieszczęsnego domu. O, uspokój się pani, nie zajmie to wiele czasu, a zresztą — jest to ostatnia uprzejmość, jakiej od ciebie żądam.

— Ostatnia? — zawołała. — W takim razie z całą radością!

Podąa mu rękę, którą oparł na swoim ramieniu, i skierowali się ku drzwiom z przesadną swobodą, płonąc wewnętrznym gniewem. Książę wprowadził żonę przez drzwi skryte, przez które wyszedł Gondremark, minęli parę mało zwiedzanych korytarzy, z oknami, wychodzącemi na podwórze, i doszli tym sposobem do apartamentów Ottona.

W pierwszym pokoju, wychodzącym na obszerny taras, znajdował się piękny zbiór broni rozmaitych krajów.

— Czy chcesz mię tutaj zabić? — spytała z ironią.

— Idziemy dalej — rzekł Otton z naciskiem.

Minęli bibliotekę, gdzie drzemał w kąciку stary szambelan. Podniósł się żywo na widok wchodzących, powitał księżęcą parę głębokim ukłonem i spytał o rozkazy.

— Czekaj pan tutaj na nas — rzekł mu książę.

Dalej ciągnęła się długa galerya obrazów, gdzie na widocznem miejscu znajdował się portret Serafiny, w my-

śliwskim stroju, z różą ponsową we włosach. Tak kazał ją malować młody małżonek w pierwszych miesiącach po ślubie. Teraz wskazał jej obraz niemym gestem, apatycznie; księżna prześliznęła się po nim wzrokiem zimnym i obojętnym. Przeszli następnie wazki, dywanem wyłożony korytarz i znaleźli się w pokoju Ottona, sąsiadującym z prywatnym apartamentem Serafiny.

Tu książę po raz pierwszy puścił rękę żony, zbliżył się do drzwi jej pokoju i od swojej strony zasunął zasuwkę.

— Rygiel z twojej strony, pani, zasunięty dawno — rzekł, składając jej chłodny ukłon.

— Jeden był wystarczającym — odparła wyniośle. — Czy już wszystko?

— Czy pozwolisz odprowadzić się z powrotem?

— Wolę, by mi tę usługę oddał baron Gondremark — rzekła donośnym, ale drżącym głosem.

Książę wezwał szambelana.

— Jeśli baron Gondremark jest w pałacu, prosić, aby przyszedł tutaj na wezwanie księżny.

Szambelan oddalił się pośpiesznie, w milczeniu.

— Czy nie mogę tymczasem służyć ci czemkolwiek, pani? — uprzejmie spytał książę.

— Dziękuję. Ubawiłeś mię pan bardzo.

— Zwróciłem ci całą wolność. Małżeństwo nasze było nieszczęściem dla ciebie.

— Wielkiem nieszczęściem.

— Które jest jednak złagodzone, i więcej jeszcze będzie w przyszłości. Jednego wszakże cofnąć już nie mogę: nosisz pani nazwisko mego ojca, które jest obecnie twojem. Zostawiam go w twych rękach. Odrzucasz moje rady i opiekę: czuwajże sama, abyś je nosiła z godnością.

— Pan Gondremark spóźnia się bardzo — zauważyła księżna.

— O Serafino, Serafino!..

I na tem się skończyło spotkanie.

Księżna wesoło podbiegła do okna, aby wyjrzeć na ogród. W chwilę później szambelan zaanonsował barona, który zdziwiony tem niezwykłym wezwaniem, wszedł ze zmienioną cerą i groźnie przerażonemi oczyma.

Serafina odwróciła się od okna z perłowym uśmiechem na różanych ustach; oprócz lekkich rumieńców, nic w niej nie zdradzało pomieszania. Otton stał blady, ale spokojny zupełnie i panujący nad sobą.

— Bądź łaskaw, panie baronie Gondremark, odprowadzić księżnę do jej apartamentu—przemówił z wymierzoną grzecznością.

Baron, nic nie rozumiejąc, podał rękę Serafinie, która ją przyjęła z rozkosznym uśmiechem, i zniknęli oboje w galerii obrazów.

Pozostawszy sam, Otton dopiero ocenił całe znaczenie swojej fatalnej porażki; dopiero spostrzegł, jak dalece wprost przeciwnym był rezultat jego usiłowania od tego, jaki osiągnąć zamierzał, — i był zdumiony. Fiasco tak absolutne, tak kompletne — było wprost śmiesznem, nawet w jego własnych oczach... I zaczął śmiać się głośno, najgłośniej ze swego gniewu.

Ale po tym wybuchu wesołości nastąpił okres gryzące goryczy, ciężkich wyrzutów, przeciw sobie skierowanych... A kiedy wspomniał dumę Serafiny, jej słowa wyzywające, wzgardliwe, gniew zawrzał w nim z kolei. Tak szarpany zmiennemi uczuciami, to ubolewał nad brakiem krwi zimnej, którym zniweczył najlepsze zamiary, to zapalał się szlachetnem oburzeniem, to rozżalał nad samym sobą.

I biegał po pokoju, niby tygrys w klatce. I on mógł być niebezpiecznym i groźnym chwilami, jak broń nabita przed wystrzałem. Potem można ją odrzucić na stronę.

Ale w tej chwili książę był bronią nabitą, kiedy drąc chustkę, wielkimi krokami przebiegał pokój; jego rozstrojone nerwy drżały z wysiłonego napięcia, jak struny, gotowe pęknąć za lada dotknięciem. A najdotkliwszem było uczucie

zazdrości, ostre, palące, niby rozgrzane żelazo, które bolesnem ostrzem przeszywało serce. Odrzucał je z pogardą, ale niespodzianie zastępowało mu drogę ogniem rysowanych obrazów. I wtedy rysy jego przybierały wyraz, postrach budzący. Nie wierzył tym szeptom szatana, ale go kłuły, gryzły i dręczyły. Nie wierzył. W chwilach największego szału pewnym był niewinności Serafiny,—lecz samo przypuszczenie błędu tej kobiety przepelniało goryczą czarę jego męki.

Ktoś lekko zapukał do drzwi, i wszedł szambelan, niosąc bilet na srebrnej tacy.

Otton machinalnie ścisnął kartkę w rękę i chodził dalej, goniąc za swemi myślami. Chwil kilka upłynęło, nim zrozumiał wreszcie, że ktoś do niego pisał.

Przystanął i rozdarł kopertę.

Na kawałku papieru Gotthold napisał ołówkiem:

Rada zwołana natychmiast, w sekrecie.

G. de H."

Rada zwołana natychmiast, w sekrecie?.. A zatem go się boją? Unikają starcia. Boją się!..

Myśl ta była słodką i rozkoszną.

Nawet Gotthold, który uważał go zawsze jedynie za miłego chłopca, teraz uprzedza go o ważnym fakcie... Liczy na niego; czegoś spodziewa się po nim...

Więc dobrze, — nikt nie będzie zawiedziony: ksiązę, który tak długo pozostawał w cieniu, zakochany niewolnik swojej żony, ten ksiązę znowu wystąpi na scenę, aby na niej zajaśnieć świetnym blaskiem.

Zadzwoił na lokaja i z troskliwą starannością poprawiał nieporządek swojej toalety, a wkrótce potem strojny, wonejący, piękny, prawdziwy „Czarujący Ksiązę,” błąd tylko cokolwiek i z lekko wzdętymi nozdrzami, skierował się do sali obrad.

ROZDZIAŁ VII.

Księżę zasiada w Radzie państwa.

Gotthold zwiastował prawdę.

Wypuszczenie na wolność Johna Crabtree, niepokojący raport Greisengesanga, a nadewszystko scena z Serafiną zdecydowały strwożonych spiskowców na ten krok śmiały i lekliwy razem.

W pałacu zapanowało skryte zamieszanie, posłańcy w liberyi uwijali się na wszystkie strony, poszukiwano śpiesznie członków Rady, rozdawano wezwania.

O wpół do jedenastej nakoniec, to jest prawie o godzinę wcześniej niż zazwyczaj, Wielka Rada Grunewaldu zasiadła w komplecie wkoło zielonego stołu.

Zebranie nie było liczne. Na żądanie Gondremarka, było ono już dawniej ściśle ograniczone, i obecnie składało się z maleńkiej garstki, prawie wyłącznie jego zaufanych stronników.

Trzech sekretarzy przy oddzielnym stole nie podnosiło oczu od papieru, trzymając w ręku pióra. Serafina przysiadła. Po prawej stronie miała Gondremarka, po lewej kanclerza. Dalej siedział Grafiński, podskarbi, hrabia Eissenthal i dwa głosy nigdy nie protestujące, a nakoniec, ku ogólnemu zdumieniu, doktor Gotthold de Hohenstockwitz.

Otton sam niegdyś mianował go członkiem Rady, jedynie w celu zapewnienia mu znacznej pensyi, a ponieważ uczony nie pokazywał się nigdy na oficjalnych zebraniach, nie pomyślano nawet o wykreśleniu go z listy. Tego rodzaju członek był bardzo wygodny.

Lecz obecność jego dzisiaj nie zwiastowała nic dobrego; to też Gondremark rzucił nań groźne spojrzenie, które zauważył natychmiast głos nieprotestujący z prawej strony

doktora i usunął się z pewną ostentacją od człowieka, widocznie dotkniętego niełaską.

— Nie mamy czasu do stracenia, księżno — rzekł cicho baron. — Może raczysz otworzyć posiedzenie.

— Natychmiast — rzekła Serafina.

— Wasza Księżęca Mość wybaczy, — przerwał spokojnie Gotthold — lecz zapewne Jej niewiadomo, iż księżę Otton wczoraj wieczorem powrócił.

— Księżę nie będzie dzisiaj obecnym na Radzie — odparła Serafina z przelotnym rumieńcem. — Depesze, panie kanclerzu. Jedna z nich do Gerolsteinu.

Jeden z sekretarzy położył papier przed kanclerzem.

— Oto jest, księżno. Czy mam ją odczytać? — pytał Greisengesang.

— Treść wszystkim znana — zauważył Gondremark. — Czy Wasza Księżęca Mość przyjmuje akt ten w obecnej redakcyi?

— Stanowczo — odparła księżna.

— A zatem może przejść jako czytana — dokończył baron. — Księżna raczy podpisać?

Serafina podpisała. Gondremark, Eisenthal i jeden z nieprotestujących poszli za jej przykładem; podano dokument na drugą stronę stołu, w ręce bibliotekarza. Ten ostatni zaczął go czytać uważnie.

— Nie mamy tyle czasu do stracenia, panie doktorze — zawołał Gondremark impertynencko. — Jeżeli nie chcesz podpisać za przykładem swojej monarchini, możesz podać sąsiadowi. Nikt też nie broni panu wstać od stołu — dodał szorstko, nie ukrywając swego niezadowolenia.

— Nie przyjmuję bezprawnego pańskiego wezwania, panie Gondremark, — odparł doktor ze spokojem — a monarcha mój, z żalem to widzę, dotąd nieobecnym jest w Radzie.

I czytał dalej, gdy całe zebranie wymieniało spojrzenia pełne niepokoju.

— Księżno i panowie, — odezwał się wreszcie — akt, który trzymam w ręku, jest poprostu wypowiedzeniem wojny.

— Poprostu—powtórzyła Serafina z bystrem i nieufnem spojrzeniem.

— Monarcha tego kraju—ciągnął Gotthold dalej—jest obecny w pałacu i żądam, aby został tu wezwany. Nie potrzebuję wyklądać dlaczego... Sami wstydzicie się już swojej zdrady.

Wśród zebranych zawrzało, niby podmuch wichru przed burzą; dały się słyszeć nieokreślone okrzyki gniewu i oburzenia.

— Znieważyłś pan księżnę!—zagrzymiał Gondremark zuchwale.

— Protestuję przeciw podpisaniu tego aktu bez wiedzy panującego — powtórzył Gotthold spokojnie.

Wśród największego zamieszania, obie połowy drzwi otwarto nagle, i odźwierny zawołał głośno:

— Panowie, książe!

Otton wszedł do sali ze zwykłą swobodą.

Nie tak szybko oliwa uspokaja wzburzone fale, jak widok księcia stłumił podniesione głosy. Każdy w tej samej chwili znalazł się na swoim miejscu; kanclerz dla nabrania potrzebnej odwagi, a może i pokrycia niepokoju, zaczął gorliwie porządkować papiery. Pochłonięci pragnieniem ukrycia swej winy, wszyscy co do jednego zapomnieli powstać.

— Panowie! — rzekł sucho książe.

Zerwali się przerażeni, i ta mała nauka zachwiała ich słabą jedność.

Książe powoli zbliżył się do stołu i skierował na kanclerza badawcze spojrzenie.

— Jak się to stać mogło, panie kanclerzu,—zapytał— iż mię nie uprzedzono o zmianie godziny zebrania?

— Wasza Książęca Mość--bąkał Greisengesang, szybko mrugając oczyma. — Jej Książęca Mość...

Inie wiedział, co ma mówić więcej.

— Rozumiałam,—zaczęła księżna, biorąc na siebie odpowiedzialność — że nie masz zamiaru być dziś obecnym na Radzie.

Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę, i księżna spuściła oczy; lecz to skryte upokorzenie podnieciło tylko jej gniew hamowany.

— Siadajcie, panowie—rzekł uprzejmie Otton, zajmując wreszcie swoje miejsce—proszę. Tak długo byłem między wami nieobecny, iż znajdują się zapewne zaległości; nim jednak przystąpimy do spraw państwa, bądź pan łaskaw, panie Grafiński, wydać rozporządzenie, aby mi przysłano niezwłocznie cztery tysiące dukatów. Zanutuj pan sobie, proszę, to żądanie — dodał, widząc, iż podskarbi siedzi jak ogłuszony.

— Cztery tysiące dukatów? — powtórzyła Serafina. — I na cóż ci tyle, proszę?

— Pani,—odparł książę z uśmiechem—to mój prywatny interes.

Pod stołem Gondremark trącił Grafińskiego kolaniem.

— Gdyby Wasza Książęca Mość — zaczął podskarbi niepewnym głosem — raczył wskazać przeznaczenie tych...

— Nie po to zebraliście się tutaj, panowie, aby egzaminować swego księcia—przerwał Otton.

Grafiński spojrzeniem wzywał pomocy barona.

Gondremark się uśmiechnął i z uprzejmym tonem zwrócił się do księcia:

— Wasza Książęca Mość słusznie może okazać zdziwienie, i choć nie ulega kwestyi, iż podskarbi nasz, pan Grafiński, nie miał zamiaru obrazić Waszej Książęcej Mości, uczyniłby jednak lepiej, zaczynając od tłumaczenia. W tej chwili fundusze państwa mają tak ważne przeznaczenie, a ściślej mówiąc (jak tego zaraz dowiedzimy) umieszczone są tak korzystnie, iż podnieść ich niepodobna. Za miesiąc—nie wątpię, iż będziemy mogli zadość uczynić każdemu życzeniu Waszej Książęcej Mości, lecz obecnie szczerze lękam się iż, nawet takiej drobnostki dostarczyć nie będziemy mogli.

Gorliwość nasza niemniej przeto nie powinna zasługiwać na nieufność z powodu, iż nie mamy dostatecznych środków.

— Panie Grafiński, — spytał ksiązę sucho — ile mamy w skarbie w tej chwili?

— Wasza Książęca Mość raczy przyjąć zapewnienie, iż wszystko, co posiadamy, będzie niezwłocznie potrzebnem.

— Zdaje mi się, doprawdy, że odmawiasz mi pan odpowiedź! — zawołał ksiązę z błyskiem uniesienia w oku.

— Panie sekretarzu, — zwrócił się rozkazująco do sąsiedniego stołu — proszę przynieść mi księgi skarbu państwa.

Grafiński zbladł gwałtownie, kanclerz w milczeniu odmawiał modlitwy głosem duszy, Gondremark przyczajony obserwował, podobny do wielkiego kota.

Gotthold z podziwem patrzył także na kuzyna, który złożył dowody niezwykłej dla niego energii; ale co znaczyć miała ta kwestya pieniężna w podobnej chwili? Dlaczego rozpraszał siły, potrzebne do tak trudnej walki, na sprawę drugorzędną, czysto osobistą?

— Widzę zatem, że mamy w kasie około dwudziestu tysięcy dukatów — rzekł ksiązę, wskazując w książce wymienioną sumę.

— Wasza Książęca Mość wymienił cyfrę rzeczywistą, — odparł spokojnie baron — lecz nasze długi i zobowiązania, których na szczęście nie potrzebujemy pokrywać wszystkich zaraz, — wynoszą o wiele więcej. I w tej chwili nie możemy rozporządzać z tej całej sumy ani jednym groszem. Teoretycznie skarb nasz jest zupełnie pusty. Musimy płacić jeszcze dość znaczny rachunek za wojenne materyały.

— Materyały wojenne? — powtórzył Otton z wybornie udanem zdziwieniem. — Ależ jeżeli mię pamięć nie myli, zapłaciliśmy za nie w styczniu?

— Były od tego czasu nowe obstalunki — tłumaczył baron. — Skompletowaliśmy cały nowy park artyleryi, pięćset zaprzęgów, siedmset mułów juczych i pociągowych... Szcze-

góry znajdują się w specjalnej książce. Panie sekretarzu Holtz, proszę przynieść ten notatnik, jeśli łaska.

— Możliwyby rzeczywiście pomyśleć, panowie,—zauważył ksiązę ironicznie—że jesteśmy w przededniu wojny.

— Gdyż tak jest — z naciskiem rzekła Serafina.

— Wojna? — powtórzył ksiązę. — I z kimże? Radbym wiedzieć. Pokój w Grunewaldzie trwa od wieków, cóż się więc stało? Napaść? Zniewaga? Mamy się bronić, czy karać?

— Wasza Książęca Mość, oto ultimatum — odezwał się Gotthold, podając papier Ottonowi.—Właśnie szło o podpisanie tego aktu, gdy szczęśliwe przybycie Waszej Książęcej Mości przerwało obrady.

Książę rozłożył dokument przed sobą, i czytając go, bębnił palcami po stole.

— Czy zamierzasz wysłać tę depezę bez porozumienia się ze mną?—zapytał.

— Właśnie doktor Hohenstockwitz wyraził pod tym względem swoje wątpliwości — odezwał się jeden z głosów nieprotestujących, który szczęśliwym trafem nie położył jeszcze swego nazwiska na nieszczęsnym akcie.

— Proszę o resztę papierów, dotyczących tej sprawy — zimno przemówił ksiązę.

Podano mu je; czytał uważnie, bez pośpiechu, wszystkie, od pierwszego do ostatniego. Członkowie Rady z niezbyt mądrymi minami usiłowali patrzeć tymczasem przed siebie, na środek stołu. Sekretarze w głębi wymieniali zachwycone i wymowne spojrzenie. Scena w Radzie to dla nich widowisko rzadkie i nad wyraz przyjemne.

— Panowie, — przemówił ksiązę, zamykając wreszcie papiery — z niewymowną przykrością poznaję tę sprawę. Nasza pretensya do Obermünsterol nie ma za sobą najmniejszej słuszności... ani cienia. Cała ta zresztą historia nie warta dziesięciu wyrazów, a wy robicie z tego casus belli?

— Wasza Książęca Mość się nie myli—odparł Gondremark, zbyt chytry i zręczny, ażeby bronić tak słabej pozycyi.—Pretensya do Obermünsterol jest jedynie pretekstem.

— A więc dobrze. Panie kanclerzu, proszę wziąć pióro. Dyktuję...

Potem, zwracając się nagle do żony, rzekł z godnością:

— Nie wspominam o mojej roli w tej całej sprawie; nie wspominam, że ją dotychczas ukrywano przede mną, prowadzono podstępnie, kontrabandą, że się tak wyrażę; wystarcza mi, że zjawiłem się w porę... Proszę pisać, panie kanclerzu:

„Najwyższa Rada Grunewaldu, rozpatrzywszy raz jeszcze kwestyę sporną, oraz wyjaśnienia, nadesłane w ostatniej depeszy z Gerolsteinu, z przyjemnością ma honor zawiadomić, iż zgadza się najzupełniej w poglądach z życzliwym i zawsze jej przyjaznym dworem Wielkiego Księcia Gerolsteinu...” Napisano?.. W takiej mniej więcej formie proszę zredagować depeszę niezwłocznie.

— Może Wasza Książęca Mość zechce pozwolić mi przemówić—odezwał się uprzejmie baron.—Wasza Książęca Mość tak niedokładnie zna tę sprawę, jedynie z powierzchownej korespondencyi, iż poważę się twierdzić, że interwencya Waszej Książęcej Mości w tym wypadku jedynie szkodliwą być może. Depesza tego rodzaju, jak Wasza Książęca Mość kazał napisać, jednym ciosem zburzy całą politykę Grunewaldu.

— Politykę Grunewaldu!—powtórzył z ironią książę.—Możnaby doprawdy mniemać, że nie masz pan ani cienia poczucia śmieszności!.. I cóż chcesz tutaj złowić w tej filiżance kawy?

— Z należnym szacunkiem ośmielam się zwrócić uwagę Waszej Książęcej Mości,—odparł spokojnie baron—iż nawet w filiżance kawy może się zawierać trucizna... Celem tej wojny, którą uważam za nieuniknioną, nie jest prosta chęć

zaboru i terytoryalnych korzyści; tem mniej chodzi nam o wojenne laury, gdyż, jak słusznie Wasza Książęca Mość raczył zauważyć, Grunewald jest zbyt słabym, aby mógł mieć ambitne dążenia; lecz są przyczyny inne i bardzo realne: państwo jest ciężko chore, że się tak wyrażę—chore wewnątrznie. Socjalizm, republikanizm i tysiące innych odcieni rewolucyjnych idei rozpowszechniły się pośród ludności, i jak robak w owocu, toczą jej zdrowe jądro. Kółka, kółeczka, związki, cała organizacya, doskonale zespolona i olbrzymia, otacza niebezpieczną siecią tron Waszej Książęcej Mości.

— Słyszałem o tem nieco, panie Gondremark — rzekł książę; — sądzę jednak, iż wiadomości pańskie pod tym względem są o wiele pewniejsze.

— Zaufanie mego monarchy zaszczyt mi przynosi — odparł Gondremark z zupełnym spokojem. — Te więc okoliczności i grożące nam zaburzenia kierowały w ostatnich czasach naszą polityką zewnętrzną. Trzeba było zwrócić na coś uwagę powszechną, zużytkować siły zdemoralizowane i gotowe do wybuchu, uczynić imię Waszej Książęcej Mości popularnem, wzbudzić zaufanie do rządu i zmniejszyć podatki. Jakiż krok odpowiadać może tym wszystkim celom? Projektowana wyprawa (gdyż bez hyperboli wojną tego nazwać nie można) — projektowana wyprawa zdawała się Najwyższej Radzie łączyć w sobie wszystkie warunki, potrzebne do osiągnięcia uzdrawiającego celu. Już same przygotowania zbudziły pośród ogółu najprzychylniejsze i bardzo gorące uczucia; nie wątpię też, że powodzenie, którego możemy być pewni, sprowadzi rezultaty, przewyższające nawet najśmielsze nadzieje nasze.

— Jesteś pan bardzo zręcznym, panie Gondremark — rzekł Otton. — Wzbudziłeś dziś mój podziw. Przyznaję, iż nie znałem dotychczas i nie oceniłem należycie wszystkich przymiotów pańskich.

Serafina podniosła wzrok promieniejący, pewna, iż wymowa pierwszego ministra pokonała nakoniec uprzedzenia księcia. Lecz Gondremark przyjął pochwałę w milczeniu, zbrojny i wyczekujący; znał on siłę uporu charakterów słabych.

— Pragnąłbym wiedzieć jeszcze,—zaczął Otton znowu—czy projekt okręgowej milicyi, który w swoim czasie poleciano mi tak gorąco, miał ten sam cel ukryty?

— Sądziłem zawsze, iż będzie to środek zbawienny—odparł bez zmieszania baron;—dyscyplina i trud fizyczny znakomicie wyrabiają ludzi. Przyznaję jednak, iż w chwili, kiedy podawałem Waszej Księżęcej Mości wyżej wspomniany projekt, nie miałem wyobrażenia o rozciągłości istniejącej organizacji rewolucyjnej. Przypuszczam, iż nikt z nas wówczas nie wyobrażał sobie, że ta milicya właśnie ma stanowić jeden z punktów programu republikańskiego.

— Tak? — rzekł książę. — Rzecz dziwna. Na jakiejże zasadzie?

— Na zasadzie teoretycznej w gruncie rzeczy. Przewodnicy tej partyi utrzymują, iż milicya, wybrana z ludu i do ludu powracająca, w danej chwili, w razie powstania spiskowych, zachowa się biernie, lub przejdzie do ruchu, ale wierną tronowi nie zostanie.

— Bardzo dobrze — rzekł książę. — Teraz zacznym rozumieć..

— Wasza Księżęca Mość zaczyna rozumieć?—najsłodszy głosem pytał baron. — Czy mogę się ośmielić prosić o dokończenie zdania?

— Zacznym rozumieć przebieg rewolucyi—zimno dokończył Otton.—Więc jakież obecnie wnioski ze wszystkiego, panie baronie?

— Wniosek mój bardzo prosty — odparł niewzruszony człowiek: — Wojna jest popularną; niech jutro rozejdzie się pogłoska zaprzeczająca, a znaczna część ludności będzie mocno zawiedziona. Biorąc zaś pod uwagę istniejące napięcie umysłów, nie wątpię, iż najmniejszy powód, niechęć,

wzruszenie—mogą być wystarczającymi do wywołania bardzo poważnych wypadków. I w tem leży niebezpieczeństwo. Rewolucya w takim razie zdaje mi się nieuniknioną: siedzimy tutaj wszyscy pod mieczem Damoklesa.

— W takim razie połączmy nasze usiłowania — rzekł poważnie ksiązę — i postarajmy się znaleźć uczciwą drogę zapewnienia sobie bezpieczeństwa.

Do tej chwili Serafina siedziała milcząca, w chwilach stanowczych zaledwie zdobywając się na krótkie zdanie. Można by policzyć prawie jej wyrazy, i tylko twarz płonąca, spuszczone powieki i nerwowe uderzenia stopą o podłogę świadczyły o jej wewnętrznem wzburzeniu, nad którem panowała bohatersko. Teraz jednak nagle straciła cierpliwość.

— Znaleźć drogę! — powtórzyła z uniesieniem. — A droga była przecież znalezioną i przygotowaną, nim nawet wiedziałeś, że jest potrzebną! No, skończmy!.. podpisz depeszę, i możemy się rozejść nareszcie.

— Pani, — rzekł Otton z ukłonem — powiedziałem: drogę uczciwą. Wojna zaś ta w moich oczach i według sprawozdania pana Gondremarka, jest napaścią nieprzyzwoitą. Czyż dlatego, że źle rządzą w Grunewaldzie, mieszkańcy Gerolsteinu mają płacić za nasze błędy majątkiem i życiem? Nigdy, póki ja żyję! Niemniej przeto zbyt wielką przywiązuję wagę do wszystkiego, co słyszałem dzisiaj po raz pierwszy — dlaczego po raz pierwszy? — nie chcę w tej chwili rozbierać; dość, że uznałem konieczność ratunku i postaram się obmyślić odpowiednie środki, których będę mógł użyć bez ubliżenia sobie.

— A jeśli ich nie znajdziesz? — zapytała.

— Jeśli nie znajdę, zginę. Na pierwszy objaw niezadowolonia, zwołam przedstawicieli wszystkich stanów, i skoro zażądatają tego — abdykuję.

Księżna klasnęła w dłonie.

— Oto człowiek, dla którego pracowaliśmy dotychczas! — zawołała. — Ostrzegamy go o niebezpieczeństwie... On znajdzie

na nie środek, a ten środek — abdykacya! Czyż panu nie wstyd przyjść tu w takiej chwili, kiedy my upadamy pod brzemieniem pracy i decydować kwestye, których nie rozumiesz? Zastanów się nad sobą! Co ty znaczysz tutaj? Ja, panie, jestem tu na swem stanowisku, ja tu walczyłam za siebie i ciebie, za twoją godność i o twoje prawa; ja tu zebrałam radę z tych najrozumniejszych, jakich znaleźć mogłam w swoim otoczeniu; ja pracuję — gdy ty się bawisz, jesz, sypiasz, połujesz!.. Ja pracuję. Ja kreślę plany przezornie, z rozwagą, w moich rękach dojrzewają... jestem gotowa do czynu. Wtedy... — umilkła, dysząc — wtedy pan przychodzisz, na poranną wizytę, aby zburzyć wszystko! Jutro zajmiesz się znowu swemi rozrywkami i pozwolisz mi znowu myśleć, pracować, walczyć za siebie... A potem — jeszcze raz wrócisz, jeszcze raz zrujnujesz wszystko, czego sam nie masz ani cierpliwości, ani umiejętności wznieść i stworzyć! O, to okropne! Miejże trochę miary, trochę poczucia swej własnej nicości! Nie przywiązuj tak wielkiego znaczenia do praw swoich, których własnymi siłami nie umiałbyś nigdy zachować! Na twojem miejscu, panie, nie ważyłabym się wydawać tak śmiało rozkazów... Nie zasługujesz na to, aby je spełniano. Kto ty jesteś? Jaka twoja rola tutaj, w tem poważnem zebraniu? Idź sobie! — zawołała — idź do swoich równych! Lud na ulicy szydzi z podobnego księcia!

Rada milcząca, zdumiona takim wystąpieniem, lecz Gondremark pod wpływem niepokoju stracił zwykłą rozwagę.

— Pohamuj się, pani! — szepnął przestraszony.

— Proszę się zwracać do mnie! — zawołał książę wyniośle. — Szeptów nie ścierpię!

Serafina wybuchnęła łzami.

— Panie! — zawołał, podnosząc się baron — księżna pani...

— Jeszcze słowo, baronie, a każe cię aresztować!

— Wasza Książęca Mość jest tutaj panem — odparł Gondremark z pokornym ukłonem.

— Pamiętaj pan o tem częściej — zauważył Otton.

— Panie kanclerzu, proszę te wszystkie papiery zanieść niezwłocznie do mojego gabinetu... Panowie, zamykam Radę.

Skłonił się dumnie i wyszedł. Greisengesang z sekretarzem pośpieszyli za nim.

W tej samej chwili przeciwnymi drzwiami wbiegły uwiadomione damy dworu księżny, aby ją uprowadzić do jej apartamentu.

ROZDZIAŁ VIII.

Stronictwo wojny decyduje się działać stanowczo.

W pół godziny później baron Gondremark powtórnie dnia tego wszedł do pokoju księżny ukrytymi drzwiami.

— Gdzież on teraz? Co robi? — zapytała Serafina, zaledwie się ukazał.

— Pani, — odparł Gondremark — księżę jest z kanclerzem i — cud nad cudami: pracuje!

— O, ten człowiek żyje po to, aby mię torturować! — zawołała z wybuchem. — Co za męka, co za cios i upokorzenie! Podobny plan... i rozbić się o taką przeszkodę! Wszystko stracone teraz!

— Nic nie stracone, księżno — uśmiechnął się słodko baron; — przeciwnie, jedna rzecz się odnalazła: twój zdrowy sąd o ludziach. Zobaczyłaś tego człowieka takim, jakim on jest rzeczywiście; spojrziałaś na niego tak, jak umiesz patrzeć, gdy zbyt dobre serce twoje w grę nie wchodzi — to jest: okiem sędziego, okiem męża stanu. Wiesz teraz, że dopóki on zachowa najwyższe prawo interwencji, państwo, o jakim marzymy, pozostanie na zawsze marzeniem. Wiedziałem o tem, podejmując się zadania, jakie włożyłaś na mnie, — więcej powiem: byłem przygotowany na to, co zaszło dzisiaj. Lecz z drugiej strony, księżno, wiem dwie rzeczy:

pierwsza — żeś ty stworzoną do rozkazywania; a druga — żem ja stworzony na twojego sługę. Rzadkim i szczęśliwym trafem ręka znalazła narzędzie. Wiedziałem o tem zawsze tak, jak wiem to dzisiaj, i dlatego jestem spokojny: żaden lekkomyślny książę nie złamie naszego związku.

— Ja stworzoną jestem do rozkazywania! Zapomniałeś, baronie, o łzach moich?—z goryczą zawołała księżna.

— To są łzy Aleksandra, księżno! — odparł baron. — Wstrząsnęły mną głęboko, wzruszyły tak, że na chwilę sam zapomniałem o wszystkim, nawet o najprostszej roztropności. Ale czy sądzisz, pani, iż nie widziałem poprzednio i nie podziwiałem twego zachowania, twej żelaznej siły woli i panowania nad sobą? O, to było królewskie!

Umilkł z wymownym gestem i spojrzał gdzieś w przestrzeń, jakby tam widział powtórnie scenę, która mu imponowała.

— Tak, było na co patrzeć — dodał wzruszonym głosem.—Z tego widoku piłem siłę i odwagę; to mię natchnęło, tobie zawdzięczam, księżno, iż nie straciłem głowy. Tak istotnie, mówiłem pod wpływem natchnienia, i przez chwilę zdawało mi się, że przekonam, że wytlómaczę temu człowiekowi to, co zrozumiałby przecież każdy, obdarzony zdolnością rozumowania... Trudno... Prawdę mówiąc, księżno, nie żałuję zupełnie tego niepowodzenia. Chcę być szczerym: pozwól mi, pani, otworzyć przed tobą serce. Dwie rzeczy kocham w życiu, kocham wszystkim, co w mej naturze jest szlachetnem i rozumnem: Grunewald i moją — nieporównaną monarchię.

Przykląkł na jedno kolano i z głębokim szacunkiem ucałował rękę księżny.

— A musiałbym — zaczął znowu — albo rzec się swej pracy, porzucić kraj przybrany i ciebie, księżno, której pragnę służyć do śmierci, albo...

Zawahał się i milczał.

— Niestety, panie baronie—ja nie widzę: albo...? — pytała Serafina.

— Pozwól mi pani pomyśleć, — rzekł baron — zebrać wspomnienia, złożyć je w ciąg jakiś. Kiedy cię zobaczyłem po raz pierwszy, byłaś jeszcze tak młodą... Spojrzenie moje było pytającym i głębokim, ale nie śmiałem mu ufać... Ja nie byłem już dzieckiem, miałem wiele doświadczenia, lecz daruj, księżno: w pierwszej chwili wdzięk twój, piękność kobieca, zasłoniły mi twoje przymioty człowieka. Pragnąłem być ostrożnym; wystarczyło jednak, że parę razy zaszczyliłaś mię swoją rozmową, abym zrozumiał, że znalazłem pana, jakiego potrzebowałem. Wierzę w to, księżno, iż posiadam pewne zdolności, a bardzo wiele dumy i ambicyi. Ale zdolności moje są zdolnościami sługi, a dążenia ambitne potrzebują ręki, któraby niemi kierowała. Na takiej więc podstawie leży treść naszego związku. Oboje potrzebujemy się nawzajem: władza potrzebuje wykonawcy, drog—punktu oparcia; znaleźliśmy nawzajem w sobie dopełnienie darów natury, które posiadamy... Mówią ludzie, że małżeństwa zapisane są z góry w niebie; czyż nie racjonalniej możnaby powiedzieć, że Opatrzność łączy takie związki czyste, intelektualne, oparte na jedności pojęć, dążeń, pracy, przeznaczone, by tworzyć państwa?

Zatrzymał się, jakby czekał na odpowiedź.

— To zresztą nie wszystko jeszcze — odezwał się znowu.—Za każdym prawie słowem odkrywaliśmy w sobie nowe myśli, poważne i wzniosłe, które w rozmowach naszych przybierały kształty jasne i określone. I w ten sposób wrodzona inteligencya nasza rozwijała się pod wpływem wzajemnym, dojrzewała. Do chwili spotkania cię, księżno, życie moje było ciasne i bez celu. Czyż nie tak było z tobą? Ośmielę się prawie twierdzić, że czułaś podobnie. I wtedy to spostrzegłem ten orli rzut oka, tę bogatą i niewyczerpaną intuicyę... W ten sposób oddziaływaliśmy na

siebie, wyrabialiśmy się stopniowo—i oto jesteśmy dziś tem, czem jesteśmy!

— To prawda!—zawołała Serafina z błyszczącym wzrokiem.—Prawda! Ja to czuję! Lecz pan byłeś tym geniuszem dobroczynnym, pan otworzyłeś przede mną świat ducha! Twoja szlachetność tylko wprowadziła w błąd twą uwagę: ja nic ci dać nie mogłam oprócz stanowiska i tronu za punkta oparcia! Ale przynajmniej oddałam ci go bez zastrzeżeń; przynajmniej zjednoczyłam się szczerze, zupełnie, wszystkimi myślami memi; byłeś pewny mego poparcia, uznania i sprawiedliwości! O, powiedz mi pan, proszę, powiedz mi raz jeszcze, że cię wspierałam także w tych wysiłkach!

— Nie, pani, tyś mię stworzyła. Jestem tem, co zrobiłaś ze mnie. Zawsze byłaś mojem natchnieniem, i kiedy pracowaliśmy wspólnie na tem najtrudniejszym polu ludzkiej pracy, obliczając krok każdy i jego znaczenie, ileż to razy podziwiałem ciebie, twą przenikliwość, męską szybkość sądu i odwagę! Pani wiesz dobrze, że to nie pochlebstwo—każdy wyraz znajduje echo w twem sumieniu, prawdę w twem sercu. Czy straciłaś kiedy dzień jeden daremnie? Czyś uwolniła się kiedy od twardego obowiązku dla przyjemności? Ty, piękna, młoda księżno, żyłaś jak mąż stanu, wysiłkiem myśli wiecznie natężonej, rozkazem woli cierpliwej, wytrwałej, skupiającej uwagę na każdym drobiazgu. Takie życie musiało osiągnąć nagrodę: z upadkiem Brandenau podstawy władzy twej, pani, staną się niewzruszone i trwałe.

— Co pan mówisz, baronie? — zapytała żywo. — Czyż wszystko nie stracone?

— Nie, pani, nie, księżno: jestem pewien, że oboje mamy myśl tę samą.

— Przysięgam panu na wszystko, co mi jest świętem i drogiem, że ja nie mam żadnej myśli — bronila się Serafina. — Nic nie myślę... jestem złamana...

— Bo zdajesz pani sobie dotychczas sprawę tylko ze swojej strony uczciwej, głęboko dotkniętej, niezrozumianej, znieważonej. Ale trzeba się uspokoić; zapanuj, księżno, nad bolesnem wzruszeniem, zbierz myśli i sięgnij wzrokiem w głąb własnej inteligencji. Co rozum twój mówi w tej chwili?

— Nic mi nie mówi — odparła ze smutkiem; — chaos mam w głowie.

— Nie, pani, w chaosie tym jedno tkwi słowo, wypalone jak rana: Abdykacya.

— O! — zawołała — nikczemny! nikczemny! Wszystko mi rzucił na barki i niosłam cały ten ciężar... walczyłam — wytrwałam, i taka zdrada w ostatniej godzinie! Nic niema w tym człowieku: uznania, szacunku, miłości, ani odwagi — nic niema! Żona, godność osobista, tron ojców, honor — wszystko poświęci, o wszystkim zapomni!

— Tak — zaczął baron, jak gdyby z namysłem. — Abdykacya... W tem słowie widzę jednak światełko...

— Czytam myśl pańską, ale to złudzenie. Nie, nie! Wiesz sam, jak jestem tu znieawidzoną... więcej od niego. Jemu pobłażają, wybaczą mu słabość, a mnie nienawidzą.

— Taka jest wdzięczność ludu — westchnął baron. — Ale nie traćmy czasu. Oto myśl moja, pani, prosta i czysta: człowiek, który w godzinie niebezpieczeństwa może mówić o abdykacyi, jest szkodliwym zwierzęciem. Mówię to otwarcie, księżno, gdyż wobec tak poważnego położenia nie czas bawić się w delikatność. Tchórz na stanowisku władcy gorszym jest od ognia, bardziej można się go obawiać. Stoimy na wulkanie: jeśli mu zostawimy swobodę działania, nim tydzień upłynie, krew niewinna zaleje pola Grunewaldu. Pani wiesz, że mówię prawdę: wszak nieraz patrzaliśmy prosto w oczy tej wiecznie nam grożącej katastrofie. Dla niego to nic nie znaczy... on sobie abdykuje. Abdykuje!

Boże wielki! A kraj nieszczęśliwy? życie ludzkie? cześć kobiet? wszystkie okropności tej zgrozy?

Głosu mu zabrakło. Po chwili opanował jednak swe wzruszenie.

— Ty, księżno, jednak lepiej pojmujesz swą odpowiedzialność — odezwał się tonem smutku i zmęczenia. — Ja stoję obok ciebie i wobec scen okropnych, które groźne i surowe stają przed oczyma mojej wyobraźni, czuję — i wiem, że serce twoje to potwierdza — czuję, żeśmy zaszli dzisiaj zbyt daleko, aby nam wolno było cofnąć się, lub zatrzymać. Honor, obowiązek — co mówię? — trwoga o życie własne, wszystko nas wzywa naprzód, domaga się czynu.

Ze zsuniętymi brwiami i myślą natężoną, która odbijała się w wielkich oczach, Serafina słuchała, patrząc w twarz mówcy uważnie.

— Tak, czuję to — szepnęła; — ale cóż poczniemy? On ma władzę.

— Władzę, pani? Władzę ma tylko armia.

I dodał szybko, widząc zdumienie w jej oczach:

— Chodzi o nasze ocalenie, o życie! Ja cię muszę ocalić, księżno... ty, ratuj swego ministra, — a oboje powinniśmy czuwać nad tym szaleńcem wbrew jego własnej woli. W chwili wybuchu nte ulega kwestyi, że on pierwszy padnie ofiarą. Zdaje mi się, że go widzę poszarpanego na sztuki! — zawołał z gestem zgrozy, zasłaniając sobie oczy. — A Grunewald!.. kraj nieszczęśliwy!.. Nie, pani, ty, która masz w ręku władzę, powinnaś jej dziś użyć: to twój pierwszy obowiązek. Odwołuję się do twego sumienia.

— Ależ wskaż mi pan sposób! — zawołała prawie z rozpaczą. — Choćbym go chciała wziąć pod kuratelę, ograniczyć jego swobodę najłagodniejszym środkiem, to samo stałoby się hasłem rewolucyi. O, jestem pewną!

Baron udał zakłopotanie.

— To prawda — rzekł spokojniej. — Patrzysz, księżno, jaśniej ode mnie. A jednak musi być sposób, musimy go znaleźć!

Ścisnął rękoma skronie i czekał z głową pochyloną.

— Nie, — odparła po chwili Serafina — odrazu powiedziała panu, że ratunku niema. Niema żadnego. Cała nadzieja stracona przez wmieszanie się tego nędznego próżniaka, głupca, waryata, szaleńca!.. Spadł jak piorun, aby jutro z całą bezmyślnością powrócić do swych prostaczych rozrywek!..

Oczy Gondremarka zaświeciły zadowoleniem.

— Ach! — zawołał, uderzając się nagle dłonią w czoło. — Tak, jakiż waryat ze mnie, że o tem nie pomyślałem! Nie wiedząc o tem, księżno, rozwiązałaś naszą zagadkę.

— Co to znaczy? — spytała. — Mów pan prędko!

Zdawał się zbierać myśli, nakoniec uśmiech otworzył mu usta.

— Trzeba, — rzekł — aby ksiązę raz jeszcze udał się na polowanie.

— Ach, gdyby sobie pojechał choćby dzisiaj!.. I został w jakim lesie..

— Tak: i został — powtórzył baron z tak wymownym akcentem, że Serafina drgnęła i pobladła.

Wyraz jej twarzy przestraszył barona, to też pośpieszył znowu z wyjaśnieniem:

— Tym razem niech się uda na polowanie w powozie, pod wyborną eskortą naszych najemnych ułanów. Tylko do Felsenburga. To miejscowość bardzo zdrowa i bezpieczna: skała wysoka, okna wązkie i doskonale opatrzone; snadź była starannie budowaną, ze zrozumieniem celu. Komendę powierzmy Szkotowi, Gordonowi; ten przynajmniej nie będzie miał żadnych skrupułów. A tu — któż zauważy nieobecność panującego? Pojechał na polowanie. Powróciwszy we środę, pojechał znów we czwartek: rzeczy zwykłe. A tymczasem wojna się skończy. Nasz kochany ksiązę

prędko znudzi się samotnością, a więc w chwili tryumfu — albo później, gdyby był bardzo uparty—uwolnimy go, naturalnie, ubezpieczwszy się przedtem dostatecznie i rozumnie... I widzę go już, na nowo robiącego przygotowania do wystawienia nowej „komedyjki!..”

Lecz Serafina czoło miała zachmurzone, wzrok spuszczonej posepnie.

— A depesza? — spytała. — Pisze ją w tej chwili...

— O, depesza przed piątkiem nie przejdzie przez Radę! — zaśmiał się Gondremark. — A co do przesłania jej drogą prywatną, jestem pewien wszystkich kuryerów. To ludzie wybrani, księżno... jestem człowiekiem przezornym!

— Widzę to — rzekła z dreszczem niepokonanej odrazy.

— Panie Gondremark, — dodała po chwili ciężkiego milczenia — ta ostateczność wstręt we mnie budzi.

— Podzielał go najzupełniej — rzekł z wyrazem żalu — ale co począć, księżno? Jesteśmy bezbronni i zgubieni... bez tego.

— Widzę to, ale tak nagle... To zbrodnia — rzekła, potrząsając głową i z wyrazem przerażenia patrząc na swego współnika.

— Zbrodnia, lecz czyja? Spójrz, księżno, uważniej.

— Jego! — zawołała w uniesieniu. — Jego! Przysięgam Bogu! On sam za wszystko jest odpowiedzialny! Jednakże...

— Przecież mu się nic nie stanie! — zauważył Gondremark. — Cierpieć nie będzie.

— Wiem... jednak... tak niespodziewanie, skrycie, podstępnie...

W tej chwili ślepa Fortuna, wierny sprzymierzeniec śmiałych, pośpieszyła na pomoc swemu wybrańcowi z punktualnością godną lepszej sprawy.

Jedna z dam zapukała do pokoju księżny i oddała bilecik, który przyniósł jakiś człowiek dla barona Gondremarka.

Było to znowu kilka słów ołówkiem, nakreślonych na oddartym kawałku papieru, które nieoceniony kanclerz znalazł sposób napisać i odesłać pod właściwym adresem prawie w oczach Ottona. Śmiałość tego czynu najwymowniej świadczyła o przerażeniu autora, gdyż strach był najpotężniejszym i jedynym bodźcem, oddziaływającym na Greisingesanga.

Bilet zawierał słów kilka:

„Na następnem zebraniu Rady upoważnienie do podpisu księcia będzie cofnięte.

Korn. Greis.”

Tak więc po trzech latach władzy i nieograniczonej swobody działania prawo podpisu miało być jej odebrane! To więcej, niż zniewaga, to jawna, publiczna niełaska, potępienie jej czynów i postępowania!..

Serafina nie pomyślała, czy to jest sprawiedliwym, czy nie zasłużyła na ten krok ze strony męża, lecz zrozumiała, że jest zaczepioną, i wybuchnęła jak tygrys zraniony.

— Dobrze... podpiszę—rzekła z zaciętymi ustami.—Kiedy wyjedzie?

— Potrzebuję pół doby, aby zebrać ludzi... lepiej przystem będzie w nocy... Jutro o północy, jeśli taka twoja wola, księżno.

— Bardzo dobrze. Panie baronie: drzwi moje zawsze otwarte dla ciebie; skoro zredagujesz rozkaz, przynieś mi go niezwłocznie do podpisu.

— Pani, — rzekł baron — ty jedna w tej sprawie nie narażasz głowy. Dlatego, i dlatego, ażeby uniknąć wszelkiej niepewności i wahania, proponuję, aby rozkaz był napisany twoją ręką.

— Masz pan słuszność — odparła dumnie.

Położył przed nią papier. Serafina usiadła z zupełnym spokojem i ręką pewną napisała rozkaz dokładnie, czytelnie, śmiało. Odczytała go potem. Nagle okrutny uśmiech skrzywił jej ładne usta.

— Byłabym zapomniała o najlepszym jego przyjacielu—rzekła.—W towarzystwie przyjemniej czas im upływać będzie...

Między liniami starannie dopisała wyrok na Gottholda i podpisała swoje imię i nazwisko.

— Wasza Książęca Mość lepszą ma pamięć od swojego sługi—rzekł z uśmiechem baron, przebiegając oczyma ten ważny dokument.—Tak, wszystko dobrze.

— Będiesz pan na przyjęciu zapewne? — spytała.

— Zdaje mi się, iż rozsądek nakazuje unikać możliwości publicznego skandalu. Najdrobniejsze zachwianie się mojej powagi mogłoby spowodować w bardzo krótkim czasie nieprzewidziane a smutne następstwa.

— Masz pan słuszność.

Uścisnęła mu rękę, jak przyjacielowi i jak równemu sobie.

ROZDZIAŁ IX.

Cena folwarku Nad Rzeką, albo: Gorycz na dnie kielicha.

Pierwsze więc strzały padły ze stron obu.

W zwykłych okolicznościach, scena w Radzie państwa byłaby wyczerpała zarówno energię, jak siłę gniewu księcia; zostawszy sam, byłby zaczął roztrząsać swe postępowanie, przypominać sobie własne winy, wybierać wszystko, co w zarzutach księżny było słusznem i sprawiedliwem, zapomniawszy o tem, co nie było zgodnem z prawdą, ani rozsądkiem. I w pół godziny byłby rozstrojony, zniechęcony, w tym stanie podrażnienia i wyczerpania umysłu, w jakim pijak szuka ratunku w butelce.

Dwie rzeczy jednak krzepiły go teraz i utrzymywały w stanie podniecenia: po pierwsze—miał cały szereg spraw ważnych do załatwienia, spraw nie cierpiących zwłoki, a po-

dobne zajęcie dla człowieka niedbałego i lubiącego wszystko odkładać na później, byłoby jednym z najlepszych środków uspokojenia wyrzutów sumienia. Przecież całe popołudnie pracował z kanclerzem, czytając, dyktując, podpisując i wysyłając papiery. Czuł wartość tej zasługi. To podnosiło go w szacunku własnym.

Oprócz tego jednak próżność jego była silnie podrażnioną: nie otrzymał pieniędzy, których potrzebował, i nazajutrz trzeba będzie zrobić zawód staremu Kilianowi; trzeba będzie w oczach tej prostej rodziny, dla której chciał odegrać bohaterską rolę ducha pocieszyciela—upaść jeszcze o stopień niżej, do zupełnej nicości, nawet jako człowiek...

Dla Ottona było to ciosem okropnym. Nie, on nie mógł się na to zgodzić, nie mógł się zdecydować na podobne rozwiązanie.

I pracując uważnie, wytrwale, rozsądnie nad nieznośnymi dla niego szczegółami rządu, jednocześnie drugą połową mózgu układał plan tajemny, który miał go wybawić z kłopotu. Był to projekt ponętny dla przedsiębiorczego człowieka, ale ubliżający panującemu księciu; projekt, w którym cała lekkomyślność jego natury mściła się za powagę i nudy obecnego trudu.

I w miarę dojrzewania tego planu, rozjaśniało się jego pochmurne oblicze; chwilami nie mógł nawet wstrzymać się od śmiechu. Greisengesang ze zdziwieniem zauważył tę zmianę humoru, lecz przypisał ją wesolym wspomnieniom porannego starcia i tryumfu.

W tem przekonaniu stary dworak uznał nawet za właściwe wyrazić księciu swoje głębokie uznanie z powodu jego niezwykłej energii. Przypomniało mu to rządy ojca Ottona—jak zapewniał.

— Co takiego?—spytał książę, o sto mil goniący myślą.

— Obecność Waszej Książęcej Mości na posiedzeniu

Rady.

— Aha! — rzucił książę niedbale, lecz pomimo okazanego lekceważenia, zręczne pochlebstwo pogłaskało jego próżność.

Pamięć usłużnie nasunęła mu szczegóły odniesionego zwycięstwa, które rozpatrywał z przyjemnością,

„Pokonałem ich wszystkich!” — szepnął w duszy.

Tymczasem, nim załatwiono najpilniejsze sprawy, zrobiło się późno. Otton zatrzymał kanclerza na obiedzie i był uczęstowany całą najpiękniejszą wiązką anegdotek z dawnych czasów i zupełnie nowych komplementów. Kanclerz był uosobieniem towarzyskiej uprzejmości i nieograniczonego posłuszeństwa, połączonego z dobroduszną jowialnością i dobrym humorem; po pierwszych daniach i szklance wina powążył się na krytykę swoich towarzyszków pracy; był już zupełnie zdemoralizowany.

Instynkt bojaźliwego i chytrego starca był mu wobec Ottona doskonałym przewodnikiem. Pod koniec obiadu hazardował się tak dalece, iż rzucił od niechcienia kilka dowcipnych słówek w kwestyi inteligencji kobiet. I nie poprzestał na tem. Podczas deseru z subtelną zręcznością rozbierał i krytykował charakter Serafiny, zachęcany półsłówkami jej małżonka. Rozumie się, że imię żadne wymienione przytem nie było, a ideał abstrakcyjnego doskonałego człowieka, do którego stosowano wszelkie porównania, pozostał też bezimiennym i dającym wiele do myślenia.

Złe instynkta chytrego starca miały moc czarodziejską otwierania serc ludzkich witrychem pochlebstwa. Mógł on bez wyczerpania godzinami śpiewać cierpliwemu słuchaczowi litanie cnót jego i niezrównanych przymiotów, nie poniżając przytem swej godności. W jego szkicu, owianym zapachem tokaju, otulonym rozkosznem ciepłem zadowolonego sumienia, książę Otton wyglądał jak różowy aniołek, niewinny, czysty, uśmiechnięty, fizycznie i moralnie otoczony lekkim nimbem niezasłużonych cierpień.

Sam sobie w tym charakterze podobał się nieskończenie. Słowa starca przenikały go dziwnem poczuciem swoich praw podeptanych.

„Jeśli Greisengesang — myślał w duszy — umiał tak subtelnie podpatrzeć słabe strony charakteru Serafiny, aby je niedyskretnie wskazać przeciwnikowi, czyż on, mąż obrażony, wydziedziczony księżę, może być dla niej zbyt surowym?”

W wybornym humorze pożegnał nakoniec odzyskanego przyjaciela, którego głos wydawał mu się najśłodszą melodią, i skierował swoje kroki do salonu, gdzie właśnie o tej porze odbywało się zwykle oficjalne przyjęcie.

Lecz już na szerokich schodach opanowało go nieokreślone uczucie skruchy i wstydu; a gdy w wielkim salonie ujrzał z daleka Serafinę, wszystkie bałamutne pochlebstwa kanclerza spłynęły po nim, jak deszcz z gumowego płaszcza. Prawda i poezya życia zbudziły się na nowo w jego duszy.

Serafina siedziała dość daleko, plecami do niego zwrócona, oblana światłem żyrandola. Widok jej wątłej, wiotkiej, lekko pochylonej kibici przeniknął go takim wzruszeniem, iż uczuł się fizycznie słabym. Oto młoda kobieta, dziecko prawie, które niegdyś spoczęło w jego objęciach z ufnością, które przysięgał kochać i ochraniać!.. Tam był skarb droższy nad wszystkie tryumfy.

Lecz Serafina pierwsza wymierzyła cios dotkliwy, pod którym ochłonął znowu.

Spostrzegłszy go, z uśmiechem posunęła się naprzeciwko i złożyła mu ukłon z wyzywającą uprzejmością.

— Spóźniłeś się, Fryderyku — rzekła głośnie, ze sztucznym wdziękiem.

Zwykła komedia małżeństw nieszczęśliwych. Lecz pewność siebie tej kobiety przejęła go gorzkim niesmakiem.

Na małych tych zebraniach pod względem etykiety wielka panowała swoboda. Wchodzono i wychodzono podług upodobania. Framugi okien służyły za wygodne schronienia

dla par zakochanych, gawęda koncentrowała się koło kominika, na którym płonął wesoły, trzaskający ogień, a dym unosił lotne i złośliwe słówka, padające tu często na sławę bliźniego.

W przeciwnym końcu sali grano.

Tam zwrócił się książę, bez ostentacyi, lecz ze spokojną stanowczością, rozdzielając po drodze powitania i ukłony. Zbliżywszy się do stolika, stanął wprost pani de Rosen, a gdy spotkał jej spojrzenie, cofnął się dyskretnie w zagłębienie okna.

Hrabina znalazła się wkrótce obok niego.

— Dobrze zrobiłeś, książę, wzywając mię — rzekła ze wzrokiem trochę błędnym. — Gra zgubi mię prędzej, czy później.

— Nie graj, pani.

— Nie graj! — powtórzyła, śmiejąc się wesoło. — Ależ to moje przeznaczenie! Miałam zawsze nadzieję, że umrę wcześniej na suchoty, lecz teraz widzę, że chyba w jakiej opuszczonej stodole.

— Jesteś pani dzisiaj w gorzkim usposobieniu.

— Przegrałam, Mości Książę. Ty nie wiesz, co to chciwość.

— Widzę jednak, że wybrałam się nie w porę.

— Ach! chcesz mię o coś prosić, Mości Książę! — zawołała radośnie z nagłym ożywieniem.

— Tak jest, zawiązuję spisek i chciałem panią wciągnąć w przysiężenie.

— Ależ to cudowne! — szepnęła z zapalem. — Zaczynam znowu być człowiekiem.

— Może się mylę, — rzekł z pewnym namysłem — ale zdawało mi się, że nie jesteś mi, pani, nieżyczliwą?

— Nie śmiem ci nawet wypowiedzieć, książę, jak jestem ci życzliwą — odparła z wymownem spojrzeniem.

— Tak, wierzę... a więc mogę prosić cię, pani, o łaskę?

— Żądaj, wymagaj, książę! Przyrzekam ci wszystko z góry, bez pytania.

— Pragnę, pani, ażebyś dzisiaj jeszcze w nocy zrobiła ze mnie wieśniaka, o którym wspominałem ci rano.

— Bóg wie, co mówisz, książę! Ja nic nie rozumiem. Ale to nic nie szkodzi. Pragnę przede wszystkim zrobić ci przyjemność. Więc przypuśćmy, że się zgadzam, abyś został wieśniakiem?

— Teraz postawię kwestyę w innej formie — rzekł znowu Otton. — Kradłaś pani kiedy?

— Bardzo często. Przekroczyłam wszystkie dziesięć przykazań, i jestem pewna, że gdyby powstało jutro jedenaście, nie mogłabym spokojnie zasnąć, dopóki bym go nie złamała.

— Chodzi o kradzież z włamaniem się. Myślę do prawdy, że to panią bardzo ubawi.

— Nie mam żadnego pod tym względem doświadczenia, ale najlepsze chęci...—zapewniła.—Z włamaniem... W swoim czasie rozbiłam stół od roboty, złamałam też niejedno serce w swoim życiu, nie licząc swego,—ale drzwi żadnych nigdy jeszcze nie łamałam. To musi być bardzo trudno. Wszystkie grzechy są niesłychanie łatwe i prozaiczne, — to ich wada. Więc cóż będziemy łamali?

— Pani... wyłamiemy drzwi od skarbu państwa.

I zaczął jej opowiadać, o co chodzi, krótko, jasno, dowcipnie, przeplatając swoje słowa uwagami i wesołymi zwrotami. Zaczął od noclegu na folwarku i obietnicy kupienia go, danej staremu wieśniakowi, a skończył na odmowie co do podniesienia żądanej sumy, co spotkało go dzisiaj na posiedzeniu Rady. Dołączył kilka praktycznych spostrzeżeń co do okien izby skarbowej, prawdopodobnych trudności i ułatwień, które można było przewidywać przy wykonaniu zamierzonego przedsięwzięcia.

— Więc odmówiono ci, książę, pieniędzy? — zapytała, gdy skończył.—I zgodziłeś się na odmowę?

— Przedstawiono mi powody, — odparł, rumieniąc się mocno — powody, których nie mogłem nie przyjąć. Tym sposobem zmuszono mię do okradzenia swego własnego skarbu. Nie jest to bardzo pięknie, ale dość zabawnie.

— Zabawnie?.. tak...—szepnęła i zamyśliła się głęboko.

— Ile potrzebujesz, książę—spytała nakoniec po dosyć długiej chwili.

— Trzy tysiące dukatów wystarczą, zważywszy, że mam trochę swoich pieniędzy.

— To ślicznie!—zawołała, odzyskując całą wesołość.— Jestem pańskim wiernym sprzymierzeńcem. Gdzież się spotkamy?

— U stóp wylatującego Merkurego w parku. Tam, gdzie się rozchodzą trzy ścieżki, umieszczono ławeczkę i statuę bożka. Miejsce jest bardzo dogodne i — sympatyczne.

— Dziękuję! — zawołała, uderzając go wachlarzem po ramieniu.— Jesteś egoistą, mój książę: twoje wygodne miejsce o sto mil ode mnie! Trzeba się policzyć z czasem. W żaden sposób nie będę mogła tam być przed drugą. Ale gdy wybije druga na pałacowym zegarze, bądź pewien, książę, że twój współnik niedaleko... i znajdzie cię szczęśliwie, mam nadzieję. Ale... Czy pan kogo przyprowadzisz? O, nie dlatego, abym pragnęła „pryzwoitki!” Nie chcę uchodzić przecież za cnotliwą!

— Przyprowadzę jednego ze stajennych. Złapałem go na kradzieży owsa.

— Jak się nazywa?

— Słowo daję: nie wiem. Nie mam bliższej znajomości z tym złodziejem owsa. Chwilowo tylko łączy mię z nim ta profesya i...

— I mnie także. Stanowimy cudowną trójkę! Wiesz co, książę, jestem zachwycona! Ale proszę cię o rzecz jedną: pragnę, abyś sam był na ławce. Musisz tam poczekać na mnie, gdyż w podobnej wyprawie może brać udział tylko

dama i jej giermek. A twój przyjaciel złodziej niech stoi przy fontannie. Nie bliżej. Zgoda?

— Na wszystko, pani, co tylko rozkażesz. Ty jesteś kapitanem, a ja prostym szeregowcem—odparł Otton.

— To dobrze. Niechże więc łaskawe nieba szczęśliwie doprowadzą nas do portu. To już i piątek—dodała, rzucawszy okiem na zegarek.

Coś w tonie głosu hrabiny nieprzyjemnie uderzyło słuch Ottona, budząc w nim nieokreślone podejrzenie.

— Czy to nie dziwne,—zauważył, nagle ochłodzony— że wybrałem sobie współnika z obozu nieprzyjacielskiego?

— Pleciesz, książe! Wybacz, że jestem tak szczerą. Ależ to jedyna mądrość twoja, że umiesz poznawać prawdziwych przyjaciół!

Nagle w cieniu framugi pochyliła się szybko i przycisnęła rozpalone usta do ręki księcia, którą ścisnęła gwałtownie.

— A teraz odejdz, — rzekła — odejdz prędzej!

Oddalił się, zdziwiony, z niepokojem w sercu, teraz dopiero zadając sobie pytanie: czy nie był nadto śmiałym? Hrabina zajaśniała w jego oczach nagle, jak błyszczy klejnot drogi, i nawet pod hartowaną zbroją innej miłości odczuł siłę ciosu z jej strony.

Lecz obawa minęła prędko.

Książe i pani Rosen wcześniej opuścili salon.

Książe pod starannie obmyślonym pozorem oddalił swego pokojowca, i minawszy długi korytarz, przez małą furtkę wyszedł na poszukiwanie swego drugiego współnika.

I znowu zastał stajnie pogrążone w głębokiej i nieprzeniknionej ciemności, i znów zapukał w znany, magiczny sposób, i znów stajenny ukazał się, aby omdleć prawie z trwogi na widok dostojnego gościa.

— Dobry wieczór, przyjacielu—rzekł Otton wesoło. — Przynieś mi z łaski swojej worek od owsa—pusty. I pójdź ze mną. Nie wrócisz przede dniem.

— Wasza Książęca Mość...—wyjął człowiek—powierzono mi małe stajnie, i jestem sam i...

— Bah, — rzekł książę — nie zawsze jesteś tak skrupulatny pod względem obowiązku.

Stajenny, drżąc, prawie ślaniał się na nogach. Otton położył mu rękę na ramieniu.

— Czyż byłbym tutaj, gdybym ci chciał zrobić coś złego? — spytał łagodnie.

Człowiek uspokoił się natychmiast. Przyniósł worek, a Otton prowadził go w głąb ciemnego parku. Szli długo alejami, ścieżkami, szpalerami, a przez ten czas książę rozmawiał swobodnie z nieświadomym swoim współnikiem. Na koniec umieścił go w oznaczonym miejscu, przy marmurowej fontannie, gdzie tryton z wypukłemi oczyma rzucał strumień wody w drżącą i białą pianę.

Następnie skierował się przez plac zaokrąglony ku miejscu, gdzie na białym postumencie wznosił się wzlatujący Merkury, kopia rzeźby Jana z Bolonii. Gwiazdy na otwartą przestrzeń rzucały trochę blasku; noc była cicha i ciepła. Mały skrawek księżyca wązkim, srebrnym sierpem ukazał się nad horyzontem, lecz był za nisko i zbyt mały jeszcze, by zaćmić miliardową armię drobniejszych światel i ciemną powierzchnię ziemi porysować wyraźniejszymi konturami klombów.

Poniżej, w przedłużeniu jednej z alei, która rozszerzała się na dole, widać było część pałacowego tarasu, oświetlonego latarniami; placówka przechadzała się przed nim mierzonym krokiem; w innym kierunku, w większym jeszcze oddaleniu, jaśniało miasto prostemi liniami swych światel. Lecz bliżej, dokoła siebie, książę widział tylko tajemnicze kontury drzew wysokich, milczące, nieruchome i majestatyczne w uroczystym półmroku. I wśród tej ciszy i nieruchomości wzlatujący bożek zdawał się być jedynym przedmiotem, posiadającym życie.

W ciszy i cieniu nocnym sumienie Ottona stało się nagle jasnym i przejrzystym, niby tarcza zegaru na miejskiej ratuszowej wieży. Nadaremnie odwracał myśl i oczy, — strzałka, posuwając się szybko pomiędzy znakami, wskazywała co chwila inny z jego błędów, aż mu tchu brakowało.

Cóż on tutaj robił? Fundusze skarbu były—prawda—marnowane, ale czy w znacznej części to nie jego wina? nie jego opieszałość? A teraz któż miał zamiar splątać jeszcze bardziej finansowe położenie tego kraju, którym nie umiał rządzić przez lenistwo? I oto sięgał znów po grosz publiczny, aby go użyć na swój cel prywatny, zły czy dobry — to wszystko jedno w tym wypadku...

A oto człowiek, którego niedawno napominał za kradzież owsa, dzisiaj pomaga mu okraść skarb państwa...

I pani Rosen, która w nim budziła uczucie, zbliżone bardzo do pogardy, jaką człowiek czysty odczuwa zazwyczaj względem kobiety lekkiej.. I czyż nie dlatego właśnie użył jej dziś za narzędzie, iż sądził, że upadła dosyć nisko, aby nie mieć żadnych skrupułów? Użył jej, aby ją zepchnąć jeszcze niżej, bez względu na niebezpieczeństwo utraty stanowiska i resztek opinii. Nie wahał się pchnąć jej w to błoto, które przyłgnąć do niej musiało,—dla próżności swej, dla zachcianki! Czyż to nie gorzej, niż być uwodzicielem?

Otton zaczął śpiesznie chodzić tam i napowrót i energicznie gwizdać. A gdy usłyszał wreszcie w jednej z najciemniejszych i najwęższych alei zbliżające się kroki, z westchnieniem ulgi pośpieszył naprzeciw hrabiny. Walka w samotności z aniołem stróżem i sumieniem to zadanie tak ciężkie i bolesne, że obecność czarniejszego od nas towarzysza w podobnej chwili jest ulgą niezmierną.

Ze zdziwieniem jednakże ujrzał młodzieńca, śpieszącego naprzeciw niemu. Był to właściwie chłopiec, szczupły, małego wzrostu, o drobnych i niezręcznych ruchach, w dużym kapeluszu z szerokimi skrzydłami. W ręku niósł ciężki worek z widocznym wysiłkiem.

Otton przystanął, potem cofnął się z obawą, lecz młodzieniec przyśpieszył kroku, usiłując porozumieć się z nim ruchem ręki. Nakoniec padł na ławkę wyczerpany, bez tchu prawie.

Wówczas dopiero ksiązę poznał rysy hrabiny Rosen.

— Pani? hrabina? — zawołał zdziwiony.

— Nie, nie, — odparła żywo drżącym głosem — to brat mój młodszy, hrabia Rosen... Bardzo miły chłopiec. Pozwól mu tylko przyjść trochę do siebie!

— O pani!.. — zawołał ksiązę.

— Nazywajże mię hrabią. Szanuj, ksiązę, moje incognito!

— Niech będzie hrabia. Zechciejże zatem; młodzieńcze, udać się ze mną zaraz na naszą wyprawę.

— Siadaj, ksiązę, tu, przy mnie, blisko — mówiła, gładząc pieszczotliwie biały marmur ławki. — Zaraz idę. Och, jakaż jestem zmęczona! Patrz, jak mi serce bije!.. drży.. Gdzie pański złodziej?

— Na swoim stanowisku. Czy mam go przedstawić? Bardzo miły towarzysz.

— Nie, nie. Nie nalegaj, ksiązę, nie śpiesz się. Muszę pomówić z tobą. To nie jest brak sympatii dla twego złodzieja: podziwiam wszystko, co ma odwagę złego. Podziwiam i uwielbiam. Nigdy nic sobie nie robiłam z cnoty... Dopiero od chwili, kiedy zakochałam się w moim księciu!..

Wybuchnęła przyciszonym, muzykalnym śmiechem.

— Ale i w tym wypadku nie twoje cnoty kocham, Mości Ksiązę.

Otton był zakłopotany.

— Nie wypocząłeś jeszcze, mój przyjacielu? — szepnął.

— Zaraz, zaraz... pozwólże mi trochę odetchnąć! — zawołała, dysząc znów głośniej.

— Czemże się tak zmęczyłeś? — spytał ksiązę. — Ten worek? A pocóż worek w imię dziwu dziwów? Mogłaś przecież liczyć na moją przezorność, że przyniosę worek

pusty. A ten nie pusty.. Cóż przyniosłeś, kochany hrabio? Rzeczy bezużyteczne w każdym razie. Po co? Cóż to takiego?

I wyciągnął rękę.

Zatrzymała go szybko.

— Nie, nie, o, nie w ten sposób, Ottonie! Sama ci powiem zaraz; sama przyznam się do wszystkiego: to już załatwione... Okradłam skarb państwa... sama. Tu są trzy tysiące dukatów. O, żeby tylko wystarczyło!

Na twarzy księcia trwoga walczyła ze zdziwieniem. Był tak zmieszany, iż nie cofnął ręki, wyciągniętej do worka, i patrzył na hrabinę szeroko w ciemności otwartymi oczyma.

— Pani?..—przemówił wreszcie.—Jak? jakim sposobem?..

Nagle podniósł się z ławki.

— Rozumiem! — zawołał. — Nie! To być nie może! Miałażbyś o mnie...

— Kłamie—jęknęła nagle hrabina.—Skłamałam! To są moje pieniądze, uczciwe, moje... twoje teraz!.. To nie było godnem ciebie, coś chciał zrobić. Lecz ja kocham twój honor i przysięgam sobie ocalić go wbrew twojej woli! Błagam cię, panie, pozwól mi go ocalić! — zawołała, zmieniając cudownie ton głosu w jakąś nieskończone błagalną melodyę.—Ottonie, ja cię błagam, pozwól się ocalić! Przyjmij ten okruch z rąk przyjaciela, który kocha cię!

— Pani!.. pani!..—jąkał księżę zrozpaczony. — Ja nie mogę! Muszę odejść. Pozwól!..

Podniósł się, ale szybko jak myśl, hrabina padła mu do nóg, namiętnie obejmując jego kolana.

— Nie,—szeptała zdławionym, urywanym głosem—nie możesz odejść! Czyż tak mną pogardzasz? I cóż to jest ten pieniądz? Nic, kilka blaszek! Gardzę nim! Roztrwoń mi to na grę i stracę! To będzie pomieszczenie, które mię ocali od ruiny. Ottonie!—wybuchnęła znów namiętnie, czując, iż chce się uwolnić z jej objęć. — Nie odpychaj mię! Umrę, jeśli mię tu zostawisz z tym wstydem! Umrę!

Jęknęła rozpacznie.

— O, pomyśl, co ja cierpię!—zawołała.—Jeśli ty cierpisz z powodu obrażonej delikatności, wyobraź sobie, co ja cierpieć muszę, okryta wstydem! Odrzucić ten drobiazg! Więc wolisz kraść? O, jakże musisz mną pogardzać! Lepiej rozdepcz to serce! Okrutny! O książe! Ottonie! Łaski!..

Ścisnęła mu kolana, i spotkawszy rękę, z pomocą której chciał się uwolnić z jej objęć, okryła ją pocałunkami.

Otton uczuł zawrót w głowie.

— Rozumiem! — zawołała nagle. — Ach, rozumiem! Okropność! To dlatego, że jestem stara, brzydka!..

I wybuchnęła płaczem.

Otton musiał ją uspokajać, pocieszać. I bez słów wielu pieniądze były przyjęte. Nie mogło być inaczej między tym człowiekiem słabym a kobietą namiętną.

Pani Rosen uspokoiła się natychmiast; wzruszonym głosem dziękowała księciu i usiadła na ławce, daleko od niego.

— Teraz—mówiła—rozumiesz, dlaczego chciałam, aby twój złodziej stał z daleka, i dlaczego przyszłam sama. O, jakże drżałam o ten skarb mój!

— Litości, pani — zaczął książe żałośnie. — Jesteś zbyt dobrą... zbyt szlachetną.

— Dziwię się, książe, przykrości twych uczuć—odparła już spokojnie.—Uniknąłeś niebezpiecznego szaleństwa. Możesz spotkać teraz swego poczciwego wieśniaka. Znalazłeś doskonale pomieszczenie na kapitały swojej przyjaciółki. Prawdziwa dobroć w tobie odniosła zwycięstwo nad pustym skrupulem,—a teraz wstydzisz się tego wszystkiego? Uszczęśliwiłeś życzliwe ci serce i ubolewasz nad tem, jak piskłę skrzywdzone! Ocknij się, książe!.. Ja wiem z doświadczenia, jak to przykro i głupio zrobić coś dobrego, ale jeden wyjątek nie obowiązuje nas przeciw od przyjęcia całej reguły. Przebacz sam sobie ten cnotliwy postępek i raz o nim zapomnij. A teraz spojrzij mi w oczy i uśmiechnij się!..

Spojrzał na nią.

Mężczyzna, który jeszcze czuje na sobie dotknięcie uścisku kochającej kobiety, nie może patrzeć na nią okiem jasnym. Czar ją przesłania. I w tej chwili nic dziwnego, że w blasku gwiazd niepewnym hrabina wydała mu się czarodziejsko piękną. W puklach włosów, połyskujących tu i owdzie, oczy jej jaśniały, jak dwie wielkie gwiazdy. Błada twarz jej występowała z ciemności, napiętnowana siłą demoniczną. Otton doznał pociechy w swoim pogwałceniu. Zaczęła go zajmować.

— Nie, nie jestem niewdzięczny—rzekł cicho i słodko.

— Obiecywałeś mi coś bardzo zabawnego, książę, — zaśmiała się hrabina— a tymczasem ja tobie przygotowałam niespodziankę: to była prawdziwa scena z uczuciowego dramatu!

Śmieli się razem, ale jednocześnie czuli w tym śmiechu jakieś obce tony, które nie były miłe.

— A teraz — zapytała — jak mię wynagrodzisz, Mości Książę, za moją świetną deklamację? Co mi dasz za nią?

— Czego zapragniesz, hrabino.

— Czego zapragnę? Słowo honoru? A jeżeli zażądam korony?

— Słowo honoru — powtórzył, patrząc podniecony na jej twarz piękną w poczuciu tryumfu.

— Więc zażądam korony?.. Ale cóż z nią zrobię? — Grunewald jest bardzo, bardzo małym państwem, ambicyja moja żąda czegoś więcej. Czegóż więc?.. Zdaje mi się, że doprawdy nie mam żadnego pragnienia. Tak, zamiast żądać, ofiaruję ci coś, książę: pozwolę się pocałować... raz jeden.

Otton się zbliżył, hrabina odchyliła głowę i podniosła twarz ku niemu. Oboje się uśmiechali, gotowi wybuchnąć śmiechem. To przecież tylko niewinna zabawa...

Usta ich się spotkały, i w tej samej chwili Otton stracił przytomność, wstrząśnięty dreszczem namiętności.

Ale już się skończyło. Siedzieli znowu obok siebie, milcząc. Książę zdawał sobie teraz jasno sprawę z całego niebezpieczeństwa tej ciszy, ale nie miał wyrazu...

Nagle hrabina jakby się zbudziła.

— Co do pańskiej żony...—rzekła głosem jasnym i pewnym.

Otton zadrżał, ale ocknął się zupełnie.

— Nie chcę nic słyszeć przeciw mojej żonie—zawołał z przerażeniem.

Zawstydził się swego głosu i dodał łagodniej:

— Powierzę pani sekret: kocham swoją żonę!

— Mogłeś mi, książę, pozwolić dokończyć — odparła z uśmiechem.—Czy przypuszczasz, iż bez zamiaru wymieniłam to imię? Straciłeś głowę, Mości Książę! Przyznaj! I ja także... Ach, nie wzruszajże się tak bardzo wyrazami!—zawołała z pewnem podrażnieniem. — Tego jednego znieść nie mogę, nienawidzę! Powinieneś spostrzedz przecież, że prze-zornie sypię wały koło twojej cnoty. Nie pragnę, abyś przypuszczał, że umieram z miłości dla ciebie.

— Przyszliśmy się śmiać tutaj,—zaczęła znowu szybko innym tonem — nie lubię tragedji. A teraz co do twojej żony, chciałam ci tylko powiedzieć: Nie jest i nie była nigdy kochanką Gondremarka. Bądź pewnym, że pochwaliby się zaraz, gdyby zaszło coś podobnego... Dobrej nocy!

I zniknęła w alei, jakby rozplynęła się w cieniu. U stóp bożka wlatującego, z workiem złota, książę pozostał sam wśród nocy.

ROZDZIAŁ X.

Doktor Gotthold wypowiada swoje zdanie.

Pieszczota i policzek ze strony hrabiny spadł na księcia prawie jednocześnie. Jej słowa, dotyczące Serafiny,

i cnotliwe zakończenie niebezpiecznej schadzki powinny go były zachwycić.

A jednak idąc z ciężkim workiem na ramieniu, aby odszukać drugiego współnika, czuł się dziwnie zgnębionym i upokorzonym. Coś mu ciążyło bardziej, niż to złoto. Wplątać się w brzydką sprawę i zostać z niej łagodnie wyprowadzonym na prawą drogę przez współnika — to zbyt dotkliwie razy dla męskiej próżności. Nakoniec przekonanie o własnej niemocy wobec pokusy, nabyte w chwili, gdy kobieta, najmniej usposobiona do pobłażliwości dla Serafina, dała jej świadectwo cnoty — dopełniało miary palącej goryczy.

Przebył połowę drogi pomiędzy fontanną i posągiem bożka, nim uporządkował swoje myśli i zrozumiał własne uczucia, a wtedy ze zdziwieniem znalazł w nich gniew głuchy i żywą urazę.

Oburzony na siebie, instynktownie uderzył zaciśniętą pięścią w krzak, obok stojący, z którego w mgnieniu oka podniosła się chmura wróbli, rozbudzonych zniecka.

Zatrzymał się i patrzył na nie tępym wzrokiem, dopóki nie zniknęły. Potem bezmyślnie podniósł wzrok na gwiazdy.

— Jestem zły. O co? Jakiem prawem? — mówił sobie. — Nie mam prawa do gniewu, ani do urazy.

Ale słowa nie usuwały z serca uczuć, które gniewały go swą obecnością. Złorzeczył pani Rosen i w tej samej chwili żałował tego z najgorętszą skrucą.

Pieniądze na ramieniu ciążyły mu coraz bardziej.

Nakoniec koło fontanny ujrzał ciemną postać, i powodując się nowem dziwactwem, wynikającym z najsprzeczniejszych uczuć, pod wpływem złości, zuchwalstwa, uporu, bez słowa zapytania oddał ciężar, okupiony tak wielką ceną, nieznanemu człowiekowi, o którym wiedział tylko, że jest nieuczciwym.

— Zatrzymaj to do jutra dla mnie—rzekł obojętnie.— Jest tu znaczna suma. Widzisz sam teraz, że cię nie potępiłem.

I odszedł, nie spytawszy go o imię, gwiżdżąc swobodnie, z głową podniesioną i głębokiem przekonaniem, iż spełnił czyn wspaniałomyślny.

Zdawało mu się, że tym jednym krokiem odzyska utracony szacunek samego siebie, lecz mimo dumnej pozycji gdzieś na dnie sumienia leżały nieuśpione a przykre uczucia.

Daremnie się spodziewał wypoczynku we śnie; przewracał się do rana na wygodnem łóżku, które mu było twardszem dzisiaj od kamienia. O brzasku dnia dopiero zasnął snem mocnym i ciężkim, z którego się obudził około dziesiątej.

Na myśl, że mimo wszystko może teraz spóźnić się na spotkanie z Kilianem, ogarnęła go rozpacz prawie. Śpieszył się, jak nigdy w życiu; cudem prawie odnalazł swego stajennego i dopiero na kilka minut przed dwunastą zjawił się Pod Poranną Gwiazdą.

Kilian już czekał na niego, w świątecznych sukniach, sztywny i wyprostowany; notaryusz z Brandenau na osobnym stole starannie poukładał przyniesione z sobą papiery. Stajenny i oberżysta byli wezwani na świadków, a ich pełne uszanowania zachowanie się wobec nabywcy niepomąłu zdziwiło starca. Akt odczytano głośno, Otton spokojnie podpisał na nim swoje imię, i wtedy stary wieśniak po raz pierwszy usłyszał, kto był jego gościem. W pierwszej chwili nie mógł sobie zdać z tego jasno sprawy.

— Jego Książęca Mość!—powtarzał głośno—Jego Książęca Mość!..

Jąkał się, ale nie mógł powiedzieć nic więcej; zwykły chłodny rozsądek opuścił go zupełnie, i dużo czasu upłynęło, nim odzyskał równowagę umysłu i spokój.

Wtedy z właściwą sobie siłą przekonania zwrócił się do obecnych.

— Panowie, — rzekł swym cienkim, szepleniącym głosem — najwyższa łaska Boska czuwa nad tym krajem, nad waszym krajem. Takiego monarchę Bóg wybranym swoim tylko zesłać może. Niema na świecie drugiego takiego człowieka. Widziałem panów szlchetnych, wspaniałych, ale sumieniem świadczę, takiego, jak wasz książę, nie widziałem. Stary jestem, dużo rzeczy przeżyłem na świecie, złych i dobrych... dużo widziałem... dużo... pamiętam straszny rok głodu, okropny rok... ale szlachetniejszego pana nie widziałem!

— My wiemy o tem dobrze — odparł oberżysta. — O, wiemy o tem wszyscy w Grunewaldzie! I tylko chcieliśmy częściej Waszą Książęcą Mość widzieć!

— Najlepszy z panów...—załośnie przemówił stajenny, ale łkania głos mu złamały.

Wszyscy z podziwem zwrócili na niego uwagę: zrozumiano, iż musi mieć głębszą przyczynę podobnego wzruszenia. Lecz książę był zmieszany; tak wymowna wdzięczność obudziła w nim wyrzuty sumienia.

Teraz z kolei rejent uznał za stosowne wyrazić swe zdumienie i uznanie.

— Nie wiem, co w przyszłości jeszcze gotuje Opatrzność Waszej Książęcej Mości,—rzekł z głębokim ukłonem—lecz nie wątpię, że dzień dzisiejszy zaliczonym będzie do najpiękniejszych w rocznikach twego panowania. Żaden okrzyk zwycięskiej armii nie może być wymowniejszym od szczerego wzruszenia na twarzach ucziwych ludzi.

Powiedziawszy to, skłonił się powtórnie, cofnął, odwrócił i zażył tabaki z wyrazem człowieka, który znalazł piękną sposobność i nie omieszkał z niej skorzystać.

— Tak, młody panie, — odezwał się nakoniec Kilian— wybac mi, że cię w mej prostocie panem tylko nazywam; nie wątpię teraz, żeś w swoim życiu spełnił wiele dobrych uczynków, ale napewno nigdy lepszego i szlachetniejszego... Niech cię Bóg błogosławi! Wiele szczęścia może dać ci w życiu kraj twój i wysokie stanowisko, które ci w nim

przeznaczono, ale wierz mi, szlachetny książe, wszystko to nie zastąpi błogosławieństwa starca...

Zapał ogarnął wszystkich, i scena przybrała charakter owacyjny. Otton był przyjemnie i szczerze wzruszony, a gdy nakoniec zdołał wymknąć się z pomiędzy wielbiących go przyjaciół, miał tylko jedno gorące pragnienie: znaleźć się jak najprędzej znowu pośród ludzi, śpiewających jego pochwały.

Lecz gdzie ich szukać?

Przypomniawszy sobie rolę swoją w Radzie, na wczorajszym posiedzeniu, która wydała mu się dość ponętą, i to nasunęło mu na myśl Gottholda. Z ust jego mądrych wyrazy uznania stały mu się nad wszelki wyraz pożądane.

Więc poszedł szukać swego przyjaciela.

Doktor, jak zwykle, siedział w bibliotece; na widok księcia rzucił na stół pióro z wyrazem podrażnienia.

— Jesteś nakoniec! — zawołał z ulgą widoczną.

— Jestem — odparł Otton; — zdaje się, że zrobiliśmy rewolucję.

— Tego się obawiam — mruknął Gotthold z błyskiem spojrzenia.

— Obawiasz się? — rzekł Otton. — Strach to oparzone dziecko. Nie trzeba mu bardzo wierzyć. Poznałem teraz swoją siłę i ich słabość i zacznę sam rządzić.

Gotthold nic nie odpowiedział, lecz spuścił oczy i w milczeniu zaczął powoli gładzić brodę.

— Nie podoba ci się to? — spytał zdziwiony książe. — Nie wiedziałem, że z ciebie taka chorągiewka!

— Chorągiewka? Przeciwnie — spokojnie odparł doktor. — Trwam przy swoim przekonaniu, opartem na obserwacji, i stąd mój strach pochodzi. To nie dla ciebie, Ottonie, zupełnie nie dla ciebie!

— Co nie dla mnie? — spytał Otton, dla którego te słowa były bolesnym uderzeniem w słabą stronę.

— To wszystko nie dla ciebie. Nie jesteś stworzony do czynu. Brak ci gruntu, podstawy. Nie masz do tego nawyknienia, nie umiesz panować nad sobą, nie mówiąc już o niezbędnej cierpliwości. Twoja żona więcej warta pod tym względem... daleko więcej. W złych ręku jest kobieta, a jednak złożyła dowody niepospolitych zdolności. To prawdziwie kobieta czynu, głowa, siła charakteru; a ty, mój chłopcze, ty — tyś tylko sobą. Proszę cię szczerze: wróć do swoich zabaw! Jak dobry, wyrozumiały profesor, daję ci wakacje na czas nieograniczony... na całe życie.

— Tak, — ciągnął dalej, po krótkim namyśle — dla każdego z nas musi nadejść w końcu dzień, w którym tracimy wiarę w swoje filozoficzne teorie. Dziś doszedłem do tego, że na nikogo liczyć już nie umiem. W atlasie umiejętności i zasad dwie karty zwłaszcza zawsze budziły we mnie szczególną nieufność: polityka i moralność. W najtajniejszej głębi serca — wyznaję to — miałem jakąś słabość dla występku: był to z mojej strony opór negatywny i milczący, który pochlebiał mojej filozofii. W skrytości ducha uważałem go prawie za cnotę czy zasługę, jak wolisz. A jednak byłem w błędzie. Wyrzekam się od tej chwili raz na zawsze sceptycyzmu filozoficznego: przekonałem się i wierzę, iż nie można być pobłażliwym i wyrozumiałym dla złego. Ty nie możesz być księciem ani mężem, bo nie masz do tego zdolności. A daję ci słowo, że wolę patrzeć na człowieka, który źle czyni, ale zręcznie i umiejętnie, niż na tego, co się płacze i potyka, chcąc zrobić coś dobrego.

Otton z zachmurzonym czołem słuchał w posępnym milczeniu. Po jakimś czasie doktor zaczął znowu:

— Bo zastanówmy się tylko nad wszystkim krytycznie: zacznę od spraw mniej ważnych, od twego postępowania względem żony. Ile mi wiadomo, byłeś u niej z samego rana żądać wyjaśnienia, czy porozumienia. Nie wchodzę w to, czy zrobiłeś źle czy dobrze, jedna rzecz wszakże nie ulega kwestyi, że ją podrażniłeś zupełnie nie w porę. Na

posiedzeniu Rady ona cię znieważa... A ty? Ty znieważasz ją z kolei—ty, książę, mąż, mężczyzna, swoją własną żonę—publicznie!.. A następnie w parę godzin rozchodzi się pogłoska, że zamierzasz odebrać jej prawo podpisu. I przypuszczasz, że ona może ci to kiedy przebaczyć? Ona, kobieta młoda i ambitna, księżna, mająca silne przywiązanie do swego stanowiska i pełna poczucia swej wyższości nad tobą pod względem uzdolnienia i siły charakteru!.. Nigdy w życiu, Ottonie, nigdy!.. Ale nie dosyć na tem: aby dopełnić miary swojej nierozwagi, ty w chwili tak krytycznej, wobec całego dworu, flirtujesz we framudze okna z Rosenową! Wiem przecież, że w gruncie rzeczy to zabawa tak dobra, jak każda inna, lecz w danych okolicznościach ubliżająca twojej żonie. Bo ta dama nie powinna być na twoim dworze!

— Nie pozwalam ci nic złego mówić o hrabinie!—zawołał Otton żywo.—Nie będę tego słuchał!

— A jednak usłyszeć musisz, i jeżeli jest ci drogą niewinność twej żony, oczyść dwór przedewszystkiem z podobnego demi-mondu!

— Oto jest sprawiedliwość niezależnej filozofii!.. Przesąd, zacny doktorze, ślepe, stare uprzedzenie względem płci słabszej. Jakiem prawem zaliczasz panią Rosen do półświatka? A jakże w takim razie nazwiesz Gondremarka? Gdyby ona była mężczyzną...

— Byłaby dla mnie tem samem — odparł Gotthold szorstko.—Jeśli człowiek dojrzały, głośno i cynicznie, mówiąc o sobie, chełpi się występkiem... spluwam, przechodząc koło niego! Możesz mi powiedzieć na to, że nie jestem człowiekiem dobrze wychowanym, — dobrze, ale i ona nie jest prawdziwą damą.

— W każdym razie jest to mój najlepszy przyjaciel,—zawołał Otton—i żądam, wymagam, aby ją szanowano!

— Najlepszy przyjaciel!.. Tem gorzej dla ciebie, synu. Zaręczam ci, że na tem nie poprzestanecie.

— O wstrętne podejrzliwości suchej cnoty! Gdzie wasza dobroć? gdzie bezstronny rozsądek?.. I uszkodzony owoc może mieć zdrowe jądro. A co do pani Rosen, mogę cię zapewnić, mój panie, żeś osądził ją niesprawiedliwie.

— Tak? Możesz mię zapewnić?.. Więc się przekonałeś? Usiłowałeś przekroczyć granicę?

Krew uderzyła Ottonowi do twarzy; stanął w ogniu.

Gotthold zwolna kiwał głową.

— Tak... dobrze, że się rumienisz — rzekł wreszcie. — Spójrzyj na swoją żonę. Czy to kobieta, którą się zaślubia, aby—porzucić potem? Taki kwiat świeży! Dusza jej z oczu patrzy.

— Widzę, doktorze, iż zmieniłeś zdanie co do Serafiny — zauważył Otton.

— Zmieniłem zdanie?—zawołał z oburzeniem Gotthold. — A kiedyż to miałem inne? Wyznaję, że podziwiałem ją i uwielbiałem na posiedzeniu Rady. Zachwyciałem się nią, jak burzą, gdy siedziała milcząca, z zaciętymi ustami i ogniem w spojrzeniu, uderzając nogą o podłogę. Gdybym należał do tych, którzy mają odwagę pętać życie swoje małżeństwem, taka tylko kobieta mogłaby być dla mnie niebezpieczną. Tak musiał Meksyk nęcić i wabić Korteza... Zadanie to niełatwe, wiem — wierzę — natura dumna, śmiała, okrutna — ale grunt złoty, a wartość bezcenna tego boskiego ognia... Tak, o, tak.. umiałbym jeszcze pragnąć podobnego łupu! Ale flirtować z Rosenową? — Nigdy!.. Zmysły? — Gardzę nimi... Ciekawość? — Daj mi atlas mój anatomiczny...

— Komuż to wszystko mówisz? — spytał książę. — Ty przecież chyba wiedzieć powinienes, że kocham Serafinę?

— Kochasz? — powtórzył Gotthold z bolesną ironią. — Wielkie to słowo: miłość!.. Można jednakże znaleźć je w każdym człowieku. Gdybyś ją kochał, i ona płaciłaby ci tem samem. Bo i czegoż żąda? Trochy zapachu!

— Trudno kochać za dwoje — odparł książę smutnie.

— Trudno? To kamień probierczy uczucia! I mnie zostało trochę poezji w pamięci. Czemże jesteśmy? Prochem, pyłem ziemi, zbyt nędznym, aby mężnie i wytrwale znosić skwar życia... Miłość to cień chłodny skały wysokiej, w którym znaleźć chcemy spokój i wypoczynek nie tylko dla siebie, lecz dla całej rodziny. Nawet przyjaciele nasi mają prawo korzystać z tego źródła szczęścia, z tej ożywczej krynicy. Miłość to potęga, to źródło niewyczerpane i bogate. Miłość, niezdolna stworzyć sobie ogniska szczęścia, nie ma prawa nazywać się miłością. A ty—urazy, klótnie, wyrzuty, zarzuty nazywasz tem imieniem! Ty ją znieważasz głośno, depczesz, łamiesz, cieszysz się swoim tryumfem — i to jest twoja miłość!.. Miłość... o Boże!

— Jesteś niesprawiedliwym w tej chwili, Gottholdzie—wyrzekł z godnością książę;—zapominasz o tem, że walczyłem o kraj mój!

— I to właśnie najgorsze—odparł z goryczą doktor.—Ty, panujący książę, nie widziałeś, że błąd popełniasz; nie rozumiałeś, że stąd, dokąd zaszłście, cofnąć się bez zguby nie można.

— Ależ Gottholdzie, sam podtrzymywałeś mię w tym oporze!—zawołał Otton oburzony

— To prawda; byłem głupi, zaślepiony. Ale teraz przejrzałem. I przepowiadam ci: jeśli pójdiesz dalej drogą, na którą wszedłeś, jeśli się pozbędziesz tak, jak zasłużył na to, tego niegodziwca, Gondremarka, jeśli nie stłumisz skandalu z powodu swych stosunków małżeńskich — stanie się rzecz straszna, rzecz wstrętna i okropna: rewolucya. Tak, mój drogi—rewolucya!..

— Jak na „czerwonego,” dziwnie mi brzmią twoje słowa.

— Czerwonego, niezawodnie, republikanina, lecz nie rewolucjonistę. To co innego. Czy ty wiesz, co to znaczy rewolucya? Widziałeś kiedy pijanego Grunewaldczyka? Jeden dziś tylko człowiek może kraj ocalić od tego niebezpieczeństwa: ten hypokryta Prusak, z którym radzę ci zawrzeć

pokój. To twój zbawca. Sam niczego nie dokazesz, ty—który w takiej chwili umiesz tracić czas drogi dla zdobycia nędznego grosza! Na imię nieba, po co? Po co ci pieniądze? Do czego? Jaka głupia tajemnica kryje się pod tem wszystkim?

— Nic złego, bądź pewny — odparł Otton z urazą. — Chciałem kupić folwark.

— Kupić folwark?.. Kupić folwark!

— Cóż takiego? Czyż mi niewolno? Kupiłem go zresztą.

Gotthold zerwał się z krzesła.

— Kupiłeś?—zawołał.—Jako! Jakim sposobem?

— Jako?—powtórzył ksiądz zadziwiony.

— Skądże wzięłeś pieniądze? Skąd wzięłeś pieniądze?

Otton zasępił czoło.

— To rzecz moja—odparł.

— Sam czujesz, że się wstydzisz! — zawołał Gotthold z uniesieniem. — Więc kupujesz sobie folwark, kiedy kraj twój w niebezpieczeństwie?.. Zapewne aby w ten sposób przygotować się do abdykacji?.. I jeszcze się założę, żeś okradł skarb państwa. Niema trzech środków zdobycia pieniędzy: można je tylko zarobić, albo ukraść. A teraz, do godziwszy swej dzikiej fantazyi, przyszedłeś do mnie, abym pogłaskał twą próżność? Ale nie wywiedziesz mię w pole: za stary jestem, i póki nie poznam, co się w tem wszystkim kryje, nie znam cię, mój panie. Nie znam cię! Można być najlichszym księciem na świecie, ale obok tego człowiekiem bez plamy.

Otton się podniósł, błądzący jak nieboszczyk.

— Gottholdzie,—rzekł wyniośle—nie doprowadzaj mię do ostateczności. Strzeż się, mój panie... Powtarzam ci: strzeż się!

— Czy mi przypadkiem nie grozisz w tej chwili, przyjacielu Ottonie? Piękna byłaby konkluzya!

Lecz Otton stał spokojny, z pałającym wzrokiem.

— Nie widziałeś mię dotychczas, mój panie, — rzekł zimno—nadużywającego władzy na korzyść prywatnych niechęci lub sympatyj! Słowa twoje dla każdego byłyby zniewagą, i nie śmiałybym ich zwrócić do najskromniejszego człowieka, ale na mnie wolno ci rzucać zatrute pociski bez żadnej obawy następstw. Prawdopodobnie powinienem nawet podziękować ci za tę szorstką szczerłość? To mało: powinienem cię podziwiać — twoja odwaga, z jaką rzucasz, nieulekniony, w twarz—straszliwemu tyranowi—srogie prawdy, podnosi cię do roli Natana przed Dawidem! Ależ mój panie, nie wiesz o tem może, iż wykorzeniasz stare przywiązanie! Złamałeś mię, przyznaje... potargałeś wszystkie więzy, wszystkie względy... A jednak, Bóg mi świadkiem, że pragnąłem postąpić dobrze. Oto moja nagroda: zostałem sam jeden! Mówisz, że nie jestem uczciwym człowiekiem? I to cię bawi, umiesz szydzić ze mnie, i możesz szydzić; ja przecież, widząc już teraz niemylnie, dokąd ciężysz sympatją, oszczędzam ci wymówek i szyderstwa.

Gotthold zerwał się z krzesła.

— Oszalałeś? — krzyknął. — Ponieważ się pytam, skąd wzięłeś pewną sumę, i ponieważ ..

— Dość, panie Hohenstockwitz — przerwał Otton. — Nie zapytuję cię wcale o zdanie i nie pożądam nadal twojej pomocy ani mieszania się w moje sprawy osobiste. To, co dziś usłyszałem, było dostatecznem, aby zdeptać moją próżność, jeśli ci o to chodziło. Być może, iż nie umiem rządzić, — być może, iż nie umiem kochać, — zdaje się, że to mówisz szczerze, z przekonania, — ale Bóg pozostawił mi choć jedną cnotę: umiem przebaczać. Przebaczam ci. Nawet w tej chwili, mimo bólu i gniewu, umiem ocenić moje własne błędy, które cię do pewnego stopnia uprawiedliwiają, — i jeżeli stanowczo wyrażam życzenie, ażebyś mię na przyszłość uwolnił od rozmowy z sobą i wogóle wszelkich uwag, nie czynię tego wcale pod wpływem urazy czy żalu, lecz po prostu dlatego, że — na Boga! — nikt w świecie nie zniósłby

podobnego traktowania! Bądź pan zadowolony, panie Hohenstockwitz: wycisnąłeś łzy z oczu swojego monarchy... Widziałeś go — tego samego człowieka, któremu tyle razy wyrzucałeś jego szczęście—widziałeś upokorzonym, skazanym na osamotnienie i boleść... Ani słowa! Zabraniam ci przemawiać do mnie! Ja, książę twój, zachowuję sobie dzisiaj prawo ostatniego wyrazu, którym jest: przebaczenie.

I wyszedł.

Gotthold sam pozostał, wystawiony na pastwę walki sprzecznych uczuć: zgryzoty, wesołości i wyrzutów sumienia.. Przechadzając się po wielkim pokoju, zwracał oczy ku niebu i wyciągał ręce, pytając tego świadka swoich czynów: czy on był winien temu, co się stało?

Po chwili zatrzymał się przed niedużą szafką, stojącą obok jego biurka, otworzył ją ostrożnie, wyjął butelkę reńskiego wina i niewielki kubek z najpiękniejszego czeskiego kryształu. Pierwsza szklaneczka cennego napoju pocieszyła go trochę i dodała serca; po drugiej zaczął patrzeć na swe troski z góry, niby podróżny na słonecznym szczycie, śledzący bieg obłoków u stóp swoich. A wkrótce potem, pod wpływem słodkiego uczucia zadowolenia, oceniając życie przez mgłę złocistą, powiedział sobie napół z uśmiechem, napół z westchnieniem, że jednak... być może... iż cokolwiek za szorstko obszedł się ze swym kuzynem.

— Ma słuszość — szepnął — do kata, ma słuszość, powiedział prawdę... Stary pustelnik na swój oryginalny sposób kocha, uwielbia księżnę!..

I oblewając się ciemnym rumieńcem, ostrożnie i nieśmiało raz jeszcze napełnił szklaneczkę i wypił ją do kropki za zdrowie Serafyny.

ROZDZIAŁ XI

Rola hrabiny Rosen. Akt pierwszy. Baron ubezwdniony.

Około godziny trzeciej po południu hrabina Rosen przestała być widzialną dla świata. Na czas pewien za wiesiła w nim dziś swoją rolę. Zwolna, majestatycznie, w czarnej koronkowej narzutce na głowie, zeszła po szerokich schodach do ogrodu i skierowała się w długą aleję, zmiatając żwir i piasek trenem aksamitnej sukni.

Na przeciwległym końcu tej estetycznej drogi, nawprost willi hrabiny, wznosił się mały pałacyk, w którym pierwszy minister skoncentrował prywatne swoje interesa, przyjemności i chwile wypoczynku. Hrabina dosyć szybko przebyła tę przestrzeń, według łagodnego kodeksu Mittwalden wystarczającą dla zachowania pozorów, małym kluczykiem, który niosła w ręku, otworzyła boczną furtkę, weszła na schody i bez ceremonii znalazła się na progu gabinetu Gondremarka.

Był to obszerny i wysoki pokój, z oknami wychodzącymi na ogród. Pod ścianami, na półkach, w szafach i na stołach leżały książki, na okrągłym stole pośrodku pokoju — papiery, na podłodze znowu książki i papiery; tu i owdzie stary obraz w zaniedbanem oświetleniu; na kominku z błękitnego marmuru duży, wesoły ogień, i światło dzienne, padające z góry, czyniły ten zakątek równie oryginalnym, jak zamkniętym dla świata i odosobnionym.

A wśród tego otoczenia pan baron w kamizelce i białych rękawach koszuli, wolny od dziennej pracy, używający miłych godzin wypoczynku.

I nie tylko wyraz twarzy, lecz cała istota tego człowieka zdawała się tutaj być zupełnie zmienioną. Gondremark urzędowy i Gondremark u siebie — to dwa bieguny ziemi. Jowialna wesołość i dobroduszość zmysłowa promieniały tu

z jego twarzy, przekształcając jej rysy; wyraz posepny, przebiegły, skupiony, zniknął z niej najzupełniej, razem z pięknymi i teatralnymi ruchami, które pozostawił w książęcym pałacu. Wyciągnął się teraz wygodnie przed kominkiem i z widoczną rozkoszą grzał swe ciężkie ciało w gorących blaskach ognia.

Na widok pani Rosen lekko poruszył głową.

— Ach! — zawołał. — Nakoniec!

Hrabina, nic nie mówiąc, weszła do pokoju, rzuciła się na fotel i swobodnym ruchem założyła nogę na nogę. W aksamitach i koronkach, kształtna, strojna, wysmukła, z profilem, zarysowanym śmiało i poprawnie, z czarną, połyskującą pończoszką na tle białych spódniczek, hrabina stanowiła kontrast uderzający z ciężkim, ogromnym i czarnym satyrem, grzejącym się przed kominkiem.

— Często zaczynasz mię wzywać — rzekła z subtelnym uśmiechem; — to staje się nakoniec kompromitującym.

Gondremark wybuchnął śmiechem.

— A propos, — rzekł, spojrzawszy na nią wzrokiem rozweselonym — powiedz mi, co u dyabła wyrabiasz po nocach? Powróciłaś dopiero dzisiaj rano?

— Dobre uczynki — odparła z wyrazem skromności.

Baron roześmiał się znowu, głośno, wesoło, długo. W kamizelce i białych rękawach koszuli była to osobistość niezmiernie wesoła.

— Całe szczęście, że nie należę do zazdrosnych — zauważył. — Znasz moje zapatrywanie: przyjemność i swoboda stanowią spółkę nierozdzieloną. Komu wierzę, to wierzę. Wszystko głupstwo w rezultacie, jednak wierzę. Nie czytałaś mego listu?

— Nie. Głowa mię bolała.

— To dobrze. W takim razie mam ci coś do powiedzenia — zawołał baron z błyszczącym spojrzeniem. — Nowiny, moja droga! Od wczorajszego wieczoru i dziś całe rano

nie mogłem się doczekać chwili zobaczenia z tobą, gdyż wczoraj po południu przycementowałem ostatni kamień trwałych fundamentów gmachu mojej przyszłości. Okręt stoi w porcie, żagle rozpięte, — mówiąc językiem poezji — czeka tylko na hasło, na wystrzał armatni. Jedno skinienie jeszcze i skończę na koniec z tą nudną egzystencją podrzędnego fac-totum księżny Ratafi. Tak. Stało się. Mam rozkaz, własną ręką Ratafi napisany rozkaz, który noszę na sercu! Dziś o północy piękny Książę Piórko będzie pochwycony w swem miękkim łóżeczku, porwany, uwieziony, ukryty bez śladu. A jutro może sobie cieszyć się od rana romantycznym widokiem z okien Felsenburga. Wspaniałe położenie i niezwykle, jakby stworzone dla niego. Dobranoc, Książę Piórko, śpij spokojnie! A tymczasem wypowiadamy tu wojnę, i trzymam w garści moją piękną panią: dotychczas byłem niezbędny, teraz staję się panem.

Zaśmiał się i odrzucił głowę ruchem dumnym.

— Dawno czekałem na to — ciągnął dalej z widocznym podrażnieniem; — dawno dźwigam na barkach tę intrygę, jak Samson wrota Gazy... Teraz niech wszystko runie!..

Hrabina podniosła się żywo; lekka bladeść okryła jej oliwkowe policzki.

— To nie prawda! — zawołała.

Gondremark z zadowoleniem zatarł ręce.

— Nie prawda? — rzekł. — Nie wierzysz?.. A jednak to mi się udało!

— Nigdy w życiu nie uwierzę — powtórzyła hrabina. — Rozkaz? Jej własną ręką?.. Nie, daruj, Henryku, to nieprawdopodobne. Nie mogę ci wierzyć!

— Przysięgam ci! — zawołał.

— Bah, twoje przysięgi!.. Albo moje! cha, cha, cha!.. Na cóż mi przysięgasz? Na wino, śpiew, czy miłość? Wybornyś, Henryku! cha, cha, cha! Chcesz przekonać mnie przysięgą!

Zbliżyła się do niego i lekko a pieśczośliwie oparła rękę na jego ramieniu.

— Nie, Henryku, — rzekła spokojniej — wiesz dobrze, iż nie mogę ci uwierzyć. Nigdy, nigdy! Do śmierci nie uwierzę. Rozkaz jej własną ręką? Zartujesz, albo kryjesz coś przede mną. Co ukrywasz? Co to znaczy? Nie mogę odgadnąć, ale wiedz, że nie wierzę ani słowa.

— Czy chcesz, żebym ci pokazał? — zapytał.

— Nie wierzę. Nie pokażesz, bo taka rzecz nie istnieje.

— Niedowiarku! — szepnął baron z uśmiechem zadowolenia, podnosząc słodkie oczy na hrabinę. — Ale tym razem będziesz nawróconą: pokażę ci ten rozkaz.

Wstał i dość ciężkim krokiem zbliżył się do krzesła, na które przed godziną rzucił zwierzchnie ubranie; wyjął papier z kieszeni i podał go swej przyjaciółce.

— Czytaj! — rzekł z przyjemnością.

Pochwyciła go chciwie i zaczęła czytać; twarz jej przybrała wyraz groźny i surowy, oczy rzuciły błyskawice.

Lecz baron nie patrzył na nią.

— Tak, — mówił nawpół do siebie — oto znowu dynastia, która pada: to moje dzieło! Ja ją pozbawiłem tronu, który my odziedziczymy, ty i ja.

Wyprostował się i zdawał się wyższym.

— Oddaj mi ten mój sztylet — rzekł po chwili, wyciągając rękę do hrabiny.

Lecz ona ukryła szybko papier za sobą i spojrzała mu w oczy ze zsuniętymi brwiami.

— O, nie zaraz, mój panie — odparła wyniośle. — Musimy przedtem z sobą załatwić rachunek. Czy myślisz, że jestem ślepa? Że nie odgaduję, nie rozumiem gry twojej? Nie miałbyś w ręku takiego rozkazu, gdybyś nie był jej kochankiem!.. To dowód dla mnie. Jesteś jej współnikiem, panem! Rozumiem to i wierzę, bo znam twą potęgę, ale ja?.. Czemu jestem teraz? — wybuchnęła — ja, oszukana!..

— Zazdrość?!..— ze zdumieniem zawołał z kolei Gondremark. — Zazdrość, Anno? Nie, temu nie byłbym uwierzył! A jednak zapewniam cię w imię—czego chcesz zresztą—że nie jestem jej kochankiem! Przypuszczam, że w tem niema nic niepodobnego, ale nie śmiałem nigdy ryzykować. Wiesz, za wiele stawiałbym na kartę, a to takie stworzenie z galarety, — nic w tem pozytywnego, realnego, wyuczona lalczka. Chce — nie chce — sama nie wie. Liczyć na nią niepodobna! Zresztą, i bez tego doszedłem do swego celu, a kochanka dotąd chowam — na wypadek. Mamy czas jeszcze...

Nagle, jak gdyby nową uderzony myślą, poważniej i surowiej spojrział na hrabinę.

— Słuchaj-no, Anno, — zaczął innym tonem — radzę ci tylko nie zajść za daleko w tych kapryсах i przywidzeniach. Żadnych intryg—rozumiesz? Utrzymuję to stworzenie w przekonaniu, że je ubóstwiam, jest mi to potrzebnem, a gdyby kiedykolwiek usłyszała słówko o tobie i o mnie, o naszym stosunku, jest tak głupia, ciasna, a przytem drażliwa, że mogłaby popsuć wszystko.

— Tatata! — powtórzyła, kręcąc palcem i głową, hrabina Rosen — bardzo pięknie mówisz... Ale się zastanówmy: w czyjem towarzystwie upływa ci dzień cały? I czemuż mam wierzyć: słowom, czy czynom twoim?

— Czyś zgłupiała, kobieto? Co za dyabeł wstąpił dziś w ciebie, Anno?— pytał baron, więcej zaniepokojony, niż rozczulony tym dowodem przywiązania. — Znasz mię prze cież. Czyż przypuszczasz, że istotnie byłbym zdolny zakochać się w takiej błyskotce? Po tylu latach robisz ze mnie trubadura? Nie zasłużyłem na to. A czemuż więcej brzydzę się na świecie, cóż mię więcej odpycha, niż te figurki z parawanu w rodzaju Ratafii? Co innego kobieta, tak jak ja rozumiem, mego gatunku, człowiek, jednym słowem. Ty jesteś właśnie taką towarzyszką, jakiej potrzebo wałem. Jesteś stworzona dla mnie. Bawisz mię i zajmujesz,

jak komedya. I cóżbym zyskał na zamianie? Gdybym cię nie kochał, pocóżbym cię łudził? Nie jesteś mi potrzebna do niczego innego, to przecież jasne jak słońce.

— Więc kochasz mię, Henryku? — zapytała czule. — Kochasz mię rzeczywiście?

— Mówię ci, że cię kocham. Po mojej własnej osobie, ty jesteś mi najdroższą... Gdybym cię stracił nagle, nie wiedziałbym, co z sobą począć.

Hrabina popatrzała na niego uważnie.

— Dobrze, — odparła, składając rozkaz Serafiny i starannie wsuwając go za stanik—chcę ci wierzyć. Należę do spisku. Licz na mnie. O północy, mówisz? I Gordon ma to wykonać? Bardzo dobrze: jego nic nie powstrzyma.

Gondremark patrzył na nią podejrzliwym wzrokiem.

— Dlaczego bierzesz ten papier? — zapytał. — Oddaj mi go.

— Nie — odparła. — Pozostanie u mnie. Ja ci przygotowuję wszystko. Możesz być pewny, że beze mnie nie poszłoby ci to gładko, a ja przecież bez tego nic zrobić nie mogę. Powiedz mi: gdzie mam szukać Gordona? Czy o każdej porze go znajdę?

Mówiła niby chłodno, ale w tonie głosu brzmiało gorączkowe podniecenie.

Gondremark patrzył na nią i gryzł usta: człowiek wesoły zniknął; gniew, podejrzliwość, chytryść zmieniły do niepoznania jego rysy.

— Po raz ostatni, Anno, — zaczął znowu—żądam, wymagam: oddaj mi ten papier! Raz — dwa — trzy!

— Strzeż się, Henryku!—odparła kobieta, patrząc mu prosto w oczy wzrokiem wyzywającym. — Zapomniałeś, że nie znoszę, aby mi rozkazywano!

Mierzyli się spojrzeniem, i chwila niebezpiecznej ciszy trwała dość długo. Przerwała ją hrabina Rosen wybuchem wesołego i szczerego śmiechu.

— Nie bądźże dzieckiem! — rzekła najswobodniejszym tonem. — Doprawdy, dziwić się muszę. Jeśli to wszystko prawda, co mi powiedziałeś, nie masz mi żadnego powodu nie ufać, ani ja zdradzać ciebie. Więc o cóż nam chodzi? Cała trudność polega na tem, żeby księcia bez skandalu wywabić z pałacu. To nie brylant, który można schować w kieszeń, i rozumiesz, że najbliższa okoliczność może zgubić ciebie i wszystko. Jeden krzyk! Służba jest mu wierna, a co większa — przywiązana; szambelan jest prawdziwym jego niewolnikiem.

Gondremark z natężeniem śledził jej myśli.

— Muszę go pochwyć znienacka — rzekł wreszcie — i zniknąć z nim razem bez śladu.

— Z nim i twymi planami! — zaśmiała się piękna kobieta. — Przecież kiedy wybiera się na polowanie, bierze z sobą swoich ludzi? Dziecko jedynie mogło wymyślić coś podobnego. Plan jest głupi; poznaję w nim głowę Ratafi. Ja ci poradzę lepiej; słuchaj tylko: czy wiesz, że mię książe uwielbia?

— A czyż mogę nie widzieć? Biedny Książe Piórko! I w tem nawet pokrzyżuję jego plany!

— Więc słuchaj — powtórzyła: — cóżbyś powiedział na to, gdybym go o północy wywabiła z pałacu w jakie miejsce ustronne parku, czy ogrodu, np. na ławeczkę u stóp Merkurgo?.. Gordon mógłby czekać w krzakach, a powóz za Świątynią... I wszystko cicho. Ani krzyku, ani walki, ani szamotania. Książe zniknął, nic więcej. — A co? Jaki ze mnie spiskowiec? Zdadzą się na co moje piękne oczy? O Henryku, wierz mi, twoja Anna wiele może, nie wyrzekaj się tego skarbu!

Uderzyła małą dłonią o kominek i uśmiechała się wyzywająco.

— Czarodziejko! — rzekł baron. — W całej Europie nie znalazłbym równej tobie!.. Czy się zdadzą na co twoje piękne

oczy!... Ależ popłyniemy, — widzę, jak po maśle, gdy ty weźmiesz tę sprawę w swoje rączki!

— Więc mnie uściskaj, i śpieszę do dzieła. Muszę przecież złapać jeszcze Księcia Piórko.

— Czekaj, czekaj!.. Chwileczkę... Chciałbym ci zaufać, jak mi życie miłe, ale—czy ja cię nie znam?.. czy nie wiem, żeś szalona?.. I do jakiego stopnia? Nie śmiem, Anno, nie śmiem, powierzyć się twojemu kaprynowi... Nie, nie, — to niepodobna!

— Nie ufasz mi, Henryku?

— Hm, nie ufam? To nie jest wyraz odpowiedni... Znam cię. Skoro cię raz stracę z oczu z tym papierem w kieszeni, nie mogę być pewnym, jaki zrobisz z niego użytek... Ty sama tego nie wiesz. Bo widzisz — rzekł, po ojcowsku biorąc ją za rękę i patrząc w oczy — tyś przecie złośliwa jak małpa.

— Przysięgam ci — zawołała — na zbawienie duszy!

— Nie przysięgaj. To mię nie zaciekawia. Dopiero mi tłómaczyłaś rozdział o przysięgach.

— Więc mię uważasz za kobietę bez religii? pozbawioną wszelkiego poczucia honoru? To dobrze. Słuchaj: spierać się z tobą nie będę, ale co ci zapowiem, to wykonam. Zostaw rozkaz w moich rękach— a będziesz miał księcia; odbierz go— a zobaczysz, jak cię zaszachuję! Ufaj mi, albo nie wierz— jak ci się podoba.

I podała mu papier.

Baron się zawahał, stał niezdecydowany, porównywając naprędce oba niebezpieczeństwa. Wyciągnął rękę, lecz cofnął ją znowu.

— Niech tak będzie,— rzekł wreszcie— skoro to nazywasz zaufaniem.

— Ani słowa więcej! — przerwała. — Nie psuj własnego położenia. Teraz, kiedyś okazał się dobrym kolegą i przyjąłeś propozycję moją, nie nie wiedząc, zgadzam się na wyjaśnienie. Prosto od ciebie idę do Gordona, aby z nim

rzecz ułożyć. A jakże zrobiłabym to bez jej rozkazu? Przecież nie śmiałabym odezwać się z podobną rzeczą, A muszę mieć z jego strony posłuszeństwo ślepe, bo np. jakże mogę przewidzieć dokładnie godzinę? Może ta katastrofa wypaść o północy, ale może tak samo zdarzyć się o zmroku... Rzecz przypadku. Aby działać, muszę mieć swobodę działania, muszę mieć cugle w ręku. A teraz uciekam... Uściskaj swego giermka!

I z uśmiechem otworzyła mu ramiona.

Gondremark objął ją silnemi dłońmi.

— Każdy ma swego bzika—rzekł po długim uścisku;— zdaje się, że mój jeszcze nie najgorszy. Idź... Powierzyłem bombę dzieciakowi.

ROZDZIAŁ XII.

Rola hrabiny Rosen. Akt drugi. Książę uwiadowiczny.

Pierwszą myślą pani Rosen po opuszczeniu willi Gondremarka było wrócić do siebie dla uzupełnienia i przeglądu swej toalety. Cokolwiekby zajść mogło, miała silne postanowienie złożenia dziś wizyty Serafinie, i nic dziwnego, że wobec kobiety, którą uważała za swoją rywalkę, pragnęła stanąć w pełnem uzbrojeniu i nie okazać się pod żadnym względem słabszą lub niższą.

Była to zresztą dla niej kwestya kilku minut, gdyż sprawy toaletowe pani Rosen rozstrzygała rzutem oka. Nie należała ona do tych kobiet, które wahają się godzinami wśród stosu gałganków, ażeby w rezultacie wyglądać możliwie, lub karykaturalnie. Dla niej wystarczyło jedno spojrzenie w lustro, zręcznie dodana kokarda, drobny, artystyczny nieład w uczesaniu, trafnie umieszczona róża herbaciana wśród koronek stanika...

Raz jeszcze objęła się wzrokiem, badawczym.

— Nic więcej nie potrzeba — szepnęła do siebie.

Rozkazała, by jej powóz czekał na nią za pół godziny przed pałacem księcia, i udała się w drogę.

Noc zapadła zwolna. Wzdłuż ulic stolicy, wysadzanych drzewami, polyskiwać zaczęły oświetlone wystawy sklepów; część pałacu książęcego, w której się mieściły apartamenty Serafiny, także po części już jaśniała światłem.

Do tego celu zmierzała hrabina, wesola i rozpromieniona. Radość i zapał unosiły ją, niby skrzydła; czuła się młodą, piękną i pełną uroku — szczęśliwą. Z przyjemnością przystanęła przed sklepem jubilerskim, oceniając okiem znawcy wystawione klejnoty; w oknie modystki zwrócił jej uwagę kostium gustowny i oryginalny, a skoro się znalazła w szerokiej, topolowej alei, zwykłym miejscu wieczornych przechadzek mieszkańców Mittwalden, gdy się uczuła otoczoną tłumem strojnym, wesołym, flirtującym i rozbawionym pod osłoną letniego zmierzchu, sama usiadła na małej ławeczce, aby wziąć udział w tym miłym nastroju. Chłodno już było, lecz nie czuła tego, gdyż w jej krwi płonął ogień. Wśród zmroku jej jasne myśli świeciły jak drogie kamienie z wystawy jubilera; odgłos kroków i szmer rozmów zlewały się dla niej w łagodną i upajającą muzykę.

Co teraz zrobić? Miała w ręku klucz od wszystkiego. Otton, Ratafia, baron, państwo całe spoczywały na wadze, lżejszej, niż mgła; dotknięcie jej małego palca przeważyc mogło szalę w tę lub inną stronę.

I śmiała się cichutko na myśl o swej potędze, a głośno, obliczając, ile szaleństw może popełnić, dzięki talizmanowi, który zdobyła tak niespodziewanie. Poczucie władzy mąciło jej w głowie, chwilami doznawała zawrotu. „Jakiż świat cały głupi i szalony!” — mówiła sobie, i znów upojona własnym tryumfem, wybuchala śmiechem.

Ubogie dziecko z palcem w buzi stało o kilka kroków od niej i ciekawie przyglądało się pani, która śmiała się

sama. Hrabina je spostrzegła i skinęła ręką, ale dziecko się zawahało. Wtedy opanowała ją chęć nieprzeparta postawienia na swoim, przewyciężenia napotkanego oporu. I wkrótce dziecko znalazło się na jej kolanach, dotykało zegarka i patrzyło na nią szeroko otwartemi, nieco trwożnemi oczyma.

— Słuchaj, mały, — rzekła do niego hrabina — gdybyś miał dwie zabawki: glinianego niedźwiedzia i małpę z porcelany, którą wolałbyś stłuc pierwszej?

— Kiedy ja nie mam małpy, ani niedźwiedzia — odpowiedział malec.

— Słuchaj, masz tutaj pieniądz, piękny, nowy pieniądz, za który możesz kupić małpę i niedźwiedzia, ale odpowiedz: którego wpierw stłuczysz?.. No, którego?.. Glinianego niedźwiedzia, czy małpę porcelanową?

Ale bosa wyrocznia zdawała się nie słyszeć wcale, patrząc tylko wielkiemi oczyma na pieniądz. Odpowiedzi nie było.

Hrabina zrezygnowała z niej nakoniec; zsadziła malca z kolan, pocałowała go w powietrzu i lekkim krokiem poszła w dalszą drogę.

— A ja którą rozbiję z dwóch zabawek?.. — szepnęła, z rozkoszą przesuwając ręką po swych miękkich włosach. — Którą?

Spojrzała w niebo, jakby czekając natchnienia.

— Czy kocham ich obydwu, czy żadnego? Trochę? Bardzo? Wcale?.. Obydwu? Żadnego?.. Myślę, że obydwu trochę... Lecz Ratafię w każdym razie muszę urządzić dobrze!

Nim weszła na wielki taras pałacowy, noc zapadła zupełnie; okna tylko jaśniały w ciemności, jak żywe, czuwające źrenice, droga do pałacu także była oświetlona lampionami, niebo gwiazdziste, ciemne; tylko na zachodzie dogasały złoto-zielonawe blaski, zwolna, w milczeniu.

Hrabina przystanęła, patrząc na nie.

— I pomyśleć tylko, — szepnęła do siebie — że jestem tu w tej chwili wcielonym przeznaczeniem, Opatrznością, Parką!.. A to najciekawsze, że nie mogę zgadnąć, po czyjej stronie stanę!.. Inna na mojem miejscu uważałaby się prawdopodobnie za związaną i wybraną, — lecz ja nie mam uprzedzeń. Jestem sprawiedliwą.

Spojrzała w okna księcia, które jaśniały także, i w jej wzroku odbiło się tkliwe współczucie.

— Jakich uczuć doznaje człowiek opuszczony? — szepnęła cicho. — Biedny mój szaleńcze!.. Ona zasłużyła, abyś zobaczył jej rozkaz.

I nie ociągając się dłużej, weszła do pałacu i zażądała prywatnej audyencji u księcia.

Odpowiedziano jej wszakże, iż księżę jest w swoich pokojach i żądał, aby mu nie przeszkadzano. Posłała mu swój bilet, lecz szambelan powrócił z odpowiedzią, iż księżę przeprasza najmocniej, ale widzieć w tej chwili nie może nikogo.

— Napiszę — rzekła.

I na kawałku papieru nakreśliła kilka wyrazów, zaznaczając, iż chodzi o śmierć, albo życie. „Ratuj mię, księżę! W twoich ręku moje ocalenie” — zakończyła patetycznie.

Tym razem wysłaniec powrócił natychmiast i prosił, by hrabina raczyła iść za nim.

Otton siedział w wysokim krześle przed kominkiem, w pokoju, w którym mieścił się zbiór broni; w blachach pancerzy, w drogich rękojeściach i klingach szabel błyski ognia grały tysiącem światła. Księżę siedział zgnębiony; na twarzy, noszącej ślady lecz świeżych, malowała się gorycz i smutek; nie podniósł się z miejsca, by powitać gościa.

Ten obraz niemego bólu i słabości prawie bezwładnej żywo wzruszył hrabinę, skłonną do wrażeń tkliwych; natychmiast też przejęła się głęboko rolą pocieszycielki, i zaledwie zostali sami, zbliżyła się do niego krokiem patetycznym.

— Powstań, księżę! — wyrzekła głosem uroczystym.

Lecz Otton nie uśmiechnął się nawet.

— Odwołałaś się pani do mnie wielkiem słowem—rzekł smutnie:—mówisz, że chodzi o życie. Czyje? Komu i z czyjej ręki zagraża niebezpieczeństwo? Kto jest tak nieszczyśliwy, że się odwołuje do pomocy Ottona z Grunewaldu?

— Dowiedz się, książę, pierwej imion tych, którzy nam grożą — odparła pani Rosen, nie zmieniając tonu. — Spisek uknuli: księżna i baron Gondremark... Czy nie zgadujesz reszty?

Otton milczał z głową zwieszoną na piersi.

— Wiedz zatem, książę,—zawołała po chwili hrabina, wskazując go gestem patetycznym — że ty masz paść ofiarą ich zdrady i przewrotności. Zdrajcy porozumieli się, aby cię zgubić. Nie obliczyli jednak sił moich, ani twoich. Zatańczymy więc we czworo kontredansa, Mości Książę, w miłości i w polityce to bardzo dobra liczba. Oni położyli asa, a my zabijemy go atutem. Wszak zgoda, mój partnerze?

— Wytlómacz mi to pani, — rzekł Otton łagodnie — gdyż napróżno usiłuję cię zrozumieć.

— Więc czytaj, książę.

I podała mu pismo Serafiny.

Otton wziął papier, rozłożył i uważnie zaczął czytać; zadrżał jednak po pierwszych wyrazach, a następnie w milczeniu ukrył twarz w dłonie i płakał.

— Jakto, książę?—zawołała zdumiona hrabina—więc w ten sposób przyjmujesz podobną nowinę? Rozpacz nic nie pomoże. W tem suchem sercu nie znajdziesz miłości, ani sprawiedliwości, to daremnie. Ocknij się z marzeń i raz bądź człowiekiem. Wszak bajka mówi, że mysz uwolniła lwa z groźnej sieci, ja chcę być tą myszą, lecz więcej zrobić mogę przy twojej pomocy. Zechciej tylko. Odwagi! Wczoraj miałaś jej tyle, kiedy chodziło o nic, o pustotę i chwilę zabawy, to przecież więcej warte, co ci dziś przyniosłam... To już walka o życie... to porywa!

Podniósł się z wolna z krzesła i zagasłym wzrokiem patrzył na strojną i piękną kobietę; lekki rumieniec oblał mu blade policzki, twarz miała wyraz spokojnego postanowienia.

— Nie nazwij mię, hrabino, niewdzięcznym — rzekł cicho — i nie sądz, że mi wszystko obojętne, że czuć nie umiem. W tem, coś uczyniła, widzę nowy dowód twojej życzliwości i umiem go ocenić, — muszę jednakże rozwiązać twe złudzenia. Pani oczekujesz po mnie nowego wysiłku energii, żądasz, bym stawiał opór temu, co jest gwałtem i bezprawiem, — ale po co? Po co mam się opierać? Cóż mogę zyskać na tem? Nic w gruncie rzeczy, a z chwilą, gdy treść tego papieru zburzyła ostatni promyk nadziei, ostatni punkt oparcia moich marzeń — cóż mi jeszcze pozostało do stracenia? Otton, książę Grunewaldu, to dziś dla mnie dźwięk pusty, bez znaczenia. Nie mam stronnictwa, nie mam polityki, ani drogi, ani dumy, ani ambicyi, ani zdolności, ani energii, ani serca — nic... nic własnego. Więc po co? Czego mam bronić? W imię czego walczyć? Czy wolałabyś mię widzieć szarpiącego się i gryzącego, jak mysz w pułapce? Nie, pani. Powiedz tym, którzy cię przysłali, że jestem gotów jechać. Pragnę przedewszystkiem uniknąć skandalu.

— Pragniesz jechać? — zawołała z oburzeniem hrabina. — Pojedziesz z własnej woli?

— Ścisłe się wyrażając, tak powiedzieć nie mogę, ale pojedę bez oporu. Dawno pragnąłem zmiany i tę przynajmniej znajdę. Aby spokojnie, bez śmieszności. Dzięki Bogu, nie jestem tak ograniczony, abym podobną farsę choć na mgnienie oka brał za tragedję.

Uśmiechnął się gorzko i końcem palca trącił rozkaz Serafyny, rzucony na stół.

— Tak, szanowna pani, możesz oznajmić tam, że jestem gotów — dodał wyniośle.

— O, nie złudzisz mię, książę! — zawołała hrabina. — Widzę, że gniew twój większy, niż to chcesz okazać.

— Gniew? — powtórzył z ironią. — Mylisz się, pani, zupełnie. O cóż miałbym się gniewać? Ze wszystkich stron slysze o swoich błędach, słabości, niezdolności prowadzenia interesów państwa, niedołęstwie. Jestem do niczego, hrabino, wiem o tem; książę bez władzy, człowiek wątpliwej wartości... Sama zresztą, pomimo swego pobłażania, sama dwukrotnie mogłaś się przekonać, jak jestem lekkomyślny. Więc skąd prawo do gniewu? Mogę cierpieć, widząc, w jaki sposób najbliżsi uznali za stosowne postąpić z moją osobą, lecz rozsądek i uczciwość pozwalają mi jeszcze ocenić rzeczywiste i słuszne przyczyny tego zamachu stanu.

— Co to znaczy? — zawołała, cofając się pani Rosen. — Kto mógł podobne myśli nasunąć ci, książę? Ty nie umiesz postępować? Ty źle postępujesz? Ależ, książę, gdybyś nie był tak piękny i młody, nienawidziłabym cię za twoje cnoty! Posuwasz się pod tym względem aż do pospolitości. Nie, Mości Książę, i taka niewdzięczność...

— Zechciej mię zrozumieć, hrabino, przez litość — odparł Otton pośpiesznie, rumieniąc się lekko. — Nie chodzi tu o niewdzięczność, lecz o dumę. Zostałaś pani wmieszana — nie wiem, w jaki sposób, lecz przypuszczam, iż przez szczególną życzliwość dla mnie — zostałaś więc pani wmieszana w sprawy moje czysto rodzinne, w które, rzecz naturalna, nie możesz być wtajemniczoną dostatecznie. Skąd np. możesz pani sądzić o tem, co przeszła i wycierpiała moja żona, a twoja monarchini, nim się zdecydowała na skreślenie tych kilku wyrazów? I dlatego nie masz pani najmniejszego prawa, ani ja nawet, potępiać jej za to. Co do mnie, w zupełności uznaję swoje błędy — a zresztą, czyż to nie śmieszne mówić o miłości, a nie być dla niej zdolnym do drobnego upokorzenia? Wszak powtarzamy wszyscy i na wszystkie tony, że dla damy swego serca przed śmiercią nawet cofać się niewolno... a tutaj chodzi tylko o proste zamknięcie!..

Otton mówił spokojnie, z uśmiechem nawpół ironicznym, w połowie smutnym, ale hrabina oczy utkwiała w suficie i rozłożyła ręce, jakby mury i sprzęty obecne wzywała na świadki.

— Miłości! — powtórzyła. — Ależ w jaki sposób miłość ci nakazuje pozwolić się rzucić do lochu? Miłości! Ależ ja wiem, panie, co to miłość! Dla mnie to życie samo. Lecz przyznaję, że nie rozumiem — zwłaszcza ze strony mężczyzny — podobnego uczucia bez wzajemności... Co to jest?.. Obląd, złudzenie, czy prosta nedorzecznosc?

— Wybacz, pani, — rzekł Otton — jakkolwiek nie wątpię, że umiesz kochać i żyjesz uczuciem, pozwalam sobie twierdzić, iż moje męskie serce ma prawo czuć inaczej i bardziej bezwzględnie... Ale po co to wszystko? Nie jesteśmy przecież trubadurami, by się bawić układaniem hymnów na cześć miłości wzajemnej lub niewzajemnej.

— W każdym razie o jednym zapomniałeś, książę — rzekła wyzywająco pani Rosen: — kobieta, która knuje spiski z Gondremarkiem na twoją wolność, może równie podstępnie sięgnąć po twój honor.

— Mój honor? Ty przemawiasz do mnie w taki sposób?.. ty, hrabino?.. kobieta?.. Doprawdy wyjść nie mogę z podziwienia. Jeżeli nie umiałem zdobyć jej miłości, ani utrzymać się na stanowisku męża — jakież mam do niej prawo? Nie umiałem wypełnić swoich obowiązków, więc gdzież mój honor? Nie mogę go dostrzedz po takiej klęsce. Jestem dla niej obcym. Nie kocha mię, a więc idę chętnie do więzienia, ponieważ tego żąda... A jeżeli rzeczywiście kocha innego, gdzież dla mnie właściwsze miejsce?.. I kto winien wszystkiemu? Ja sam tylko. Ty, hrabino, nie przemawiasz dzisiaj jak kobieta, lecz używasz argumentów, którymi wojują mężczyźni, lecz ja — ja, gdybym był uległ pokusie — a Bogu tylko wiadomo, jak tego byłem blizki, — ja byłbym drzał, a jednak z promykiem nadziei błagał jej o przebaczenie. Wobec miłości byłoby to zdradą, a przecież... pani, —

zawołał z gniewem wzrastającym—gdy mąż wyczerpie cierpliwość kobiety, nikt oprócz niego nie ma prawa jej potępiać, nie ma prawa jej sądzić. Dano mi skarb i nie umiałem go zachować,—więc go już nie posiadam, nie mam do niego prawa. Ona jest wolną. Ja tylko okazałem się jej niegodnym.

— Ponieważ cię nie kocha?! Jak gdybyś nie wiedział, że nie jest zdolną do tego uczucia!

— Powiedz pani raczej, że ja nie jestem zdolny zbudzić go w kobiecie.

Pani Rosen wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Szalony!—zawołała.—Ależ ksiązę, ja jestem w tobie zakochana, ja we własnej osobie!

— O, pani jesteś zbyt wyrozumiałą! — z uśmiechem odparł ksiązę. — Ale bawimy się bardzo wesołą rozmową, a nie czas na to. Jestem zdecydowany i wiem, co uczynić powinienem; powiem nawet — ażeby dorównać ci, pani, pod względem otwartości — że w tym wypadku widzę i korzyść dla siebie. Przygoda niepowszednia ma zawsze dla mnie pewien urok,—jestem w tej chwili w położeniu fałszywem... i widzi to nie tylko moje blizkie otoczenie. Czyż więc dziwi cię, pani, że podobne wyjście uważam za rzecz pożądaną i pomyślną?

Pani Rosen wymownie wzruszyła ramionami.

— Skoro zdecydowałeś się, ksiązę,—rzekła z wymuszonym spokojem — nie mam prawa walczyć z twym postanowieniem. Przyznaję zresztą, że to dla mnie lepiej. Jedź więc, ksiązę, i zabierz z sobą moje serce i więcej myśli mojej, niżbym ci sama dać chciała. Nie zasną dzisiaj w nocy, myśląc o tobie i twojem nieszczęściu. Ale się nie bój, nie stanę więcej na twojej drodze. Uczyń, jak powiedziałeś, bohaaterski szaleńcze!

— Niestety,—szepnął Otton—te nieszczęsne pieniądze. Nie powinienem był ich przyjmować, ale masz pani taki

dziwny sposób nalegania... Na szczęście, dzięki Bogu, jestem przynajmniej w możności zapewnienia ci do nich prawa.

Zbliżył się do kominka i wziął leżące na nim papiery.

— Oto są dokumenty, nadające ci, pani, prawo do tej ziemi—rzekł, podając je pani Rosen.—W mojem przyszłym schronieniu nie mogą mieć dla mnie wartości żadnej, a nie mam już dziś nadziei znalezienia innego sposobu, któryby mi pozwolił wywdzięczyć ci się za twą dobroć. Wczoraj słuchałaś tylko głosu swego serca, i stałem się twym dłużnikiem, nie dopełniwszy nawet najprostszych formalności; dziś role się zmieniły: słońce moje gaśnie, i nie wątpię, znając twą szlachetność, pani, iż ze względu na moje położenie, raz jeszcze odłożyć zechcesz na bok ceremonie i przyjmiesz to, co jedynie ofiarować ci mogę w tej chwili. Myśl, że ten zacny starzec nie będzie zmuszony opuścić przed śmiercią swego rodzinnego kąta, i że szlachetna moja przyjaciółka nie poniesie straty z mojego powodu—będzie osłoda w mem osamotnieniu.

— To okropne!—zawołała ze wstrętem hrabina.—Czyż nie pojmujesz, księżę, w jakim mię stawiasz położeniu? Podstawą mej fortuny ma być twoja zguba? Czyż możesz tego żądać?

— Wiem, pani, że pragnęłaś nakłonić mię do oporu i że nie masz odwagi wyrzec się tej myśli. Ale przyjmijmy rzeczy jako niecofnione i chciejmy się przystosować do rzeczywistości. W żadnym razie nie zmieni ona naszego stosunku, ani wzajemnej przyjaźni. Ponieważ zaś naturalne życzenie i prośba moja przykrość ci sprawia, hrabino, użyję po raz ostatni przysługującego mi jeszcze prawa rozkazu. Rozkazuję ci, pani, przyjąć te dokumenta, w których przelewam na ciebie prawo własności zakupionej ziemi.

I z powagą księcia podał jej papiery.

— Samo dotknięcie ich wstręt we mnie budzi!—zawołała hrabina.

Przez chwilę milczeli oboje.

— O której godzinie — spytał wreszcie Otton — mam być aresztowany, jeśli to pani wiadomo?

— O której się spodoba Waszej Księżęcej Mości. Nigdy—jeżeli raczysz rozedrzeć ten papier!

— Wolalbym, żeby skończono z tem wkrótce. Pragnę tylko napisać jeszcze list do księżny.

— W takim razie... książe, — szczerze, serdecznie ra-
dziłam ci walczyć, bronić się, — skoro jednak niewzruszenie
chcesz pozwolić ująć się w sidła bez krzyku, muszę po-
myśleć o przykrych szczegółach tego wypadku. Podjęłam
się tego, — dodała z widocznem wahaniem — podjęłam się
w nadziei, że tym sposobem łatwiej będę ci mogła oddać
przyjacielską usługę... Wszak nie wątpisz o tem? Nie, nie
wyrządziłbyś mi podobnej krzywdy. A więc, gdy nie chcesz
korzystać z moich propozycji, pomóż mi się wywiązać z moich
zobowiązań: gdy będziesz gotów, o której sam zechcesz,
przyjdź znowu do wzlatującego Merkurego, gdzie widzieliśmy
się tej nocy. Dla ciebie to wszystko jedno, a mówiąc otwar-
cie, dla nas to o wiele dogodniej.

— Ależ rozumie się, kochana hrabino! Z całą ochotą
spełnię twe życzenie. Skoro się zdecydowałem na złe główne,
szczegóły nie mają dla mnie żadnego znaczenia. Rozkazuj
więc, hrabino, i urządzaj, jak sobie życzysz, a ja napiszę
tylko kilka słów pożegnania i pośpieszę na schadzkę, którą
mi naznaczyłaś. Załuję jedynie, — dodał z uśmiechem pełnym
galanterji — że nie spotka mię tam dzisiaj tak niebezpieczny
młodzieniec.

Po odejściu pani Rosen, książe pozostał przez chwilę
nieruchomy i posepny, usiłując odzyskać zimną krew i równo-
wagę umysłową. Wobec okoliczności nieprzyjaznych pragnął
zachować swoją godność. W głównej kwestyi nie miał ża-
dnych wątpliwości, wahania lub obawy; po rozmowie z Gott-
holdem czuł się tak upokorzonym, tak złamanym, podepta-
nym i bezsilnym, że prawie z przyjemnością myślał o wię-
zieniu: tam go przynajmniej nikt nie będzie sądził, ani po-

tępiął. To zresztą dla niego najprostsze wyjście ze wszystkich trudności.

Usiadł, aby napisać kilka słów do Serafiny, ale w tej chwili objął go znowu żal wielki. Cała jego wyrozumiałość i dobroć stanęła mu w pamięci, przybierając niemal potworne rozmiary. On pozwalał, pobrażał, dawał... A z drugiej strony potworniejsze jeszcze kształty przybierał chłód, egoizm, okrucieństwo kobiety, które potrzebowały tego pobrażania i bez skrupułów i bez granic żadnych korzystały z niego do ostatniej chwili. I pod wpływem tych wspomnień pióro drżało mu w ręce, spokojna rezygnacya pierzchła gdzieś bez śladu i daremnie usiłował zdobyć się na nią powtórnie.

A trzeba było skończyć.

W kilku gorących słowach pożegnał wreszcie Serafinę, gniew i żal swój nazywając przebaczeniem, rozpacz—miłością. Następnie jednym szybkim rzutem oka pożegnał mury, wśród których płynęło mu dotąd życie i wyszedł pośpiesznie, zdając sobie sprawę, iż jest niewolnikiem własnej dumy i miłości.

Minął korytarz, który przebiegał tak często w różnych okolicznościach i nastrojach ducha. Stary odźwierny otworzył drzwi przed nim, i Otton po raz ostatni przestąpił próg swojego pałacu. Powitała go noc chłodna i cicha i czysty blask gwiazd na ciemnym, lecz przejrzystym niebie. Spojrzał wokoło i z rozkoszą, głęboko odetchnął świeżą, zdrową wonią ziemi. Następnie podniósł oczy ku sklepieniu nieba, i widok nieskończonej i cichej przestrzeni ukoił go łagodnie. Czemże był on wobec wielkości wszechświata? I życie własne, wzruszenia, uczucia zmalały do istotnych swych rozmiarów, i sam siebie się wydał pyłkiem nieskończone małym wśród nocy uroczystej, pod czystym sklepieniem.

I pod wpływem takich wrażeń, urazy i żale rozplywały się w nicłość; ożywcze tchnienie nocy i spokój natury ukolysały dziwnym śpiewem jego serce.

— Tak, — szepnął — przebaczyłem. Jeśli to istotnie może się przydać na co... przebaczam jej..

I szybkim, energicznym krokiem mijał ścieżki ogrodu, wszedł w ciemne i ciche aleje parku, kierując się w stronę greckiego bożka.

Ciemna sylwetka podniosła się w cieniu i zarysowała jasno na tle białego posągu. Lekki krok dał się słyszeć; ktoś ze strony przeciwnej zbliżał się ku niemu.

— Wybacz pan, jeśli się mylę, biorąc cię za księcia Ottona — odezwał się głos znany. — Powiedziano mi jednak, iż mam czekać tutaj na spotkanie umówione z Waszą Księżką Mością.

— Pan Gordon? — spytał ksiązę.

— Pułkownik Gordon — poprawił oficer. — Nie jest to rzeczą miłą być wplątany w sprawę podobną, to też z prawdziwą ulgą widzę, iż rzeczywiście wszystko się jeszcze układa dość gładko. Powóz czeka w pobliżu. Czy Wasza Księżka Mość rozkaże, bym mu towarzyszył?

— Pułkowniku, — rzekł ksiązę — sam wiesz, iż dożyłem tej niezwykle szczęśliwej chwili, w której wolno mi tylko odbierać rozkazy.

— Uwaga filozoficzna, Mości Ksiązę, i zastosowana znakomicie! To mogłoby być z Plutarcha. Jestem tu zupełnie obcym w tym kraju, Mości Ksiązę, i wyznaję, iż to ułatwia mi spełnienie obowiązku, który w innych warunkach byłby stokroć przykrzejszym. Lecz ponieważ tak jest, i ponieważ ja ze swojej strony czuję się w sumieniu spokojnym, a w uczuciach zupełnie zdrowym, Wasza Księżka Mość zdaje się także brać rzeczy z dobrej strony, więc — mam nadzieję i zaczynam wierzyć, że czas będzie nam wspólnie upływał przyjemnie. Wspaniale nawet, Mości Ksiązę! W gruncie rzeczy dozorca jest towarzyszem więźnia, a różnica między nimi dość subtelna.

— Czy mogę cię zapytać jednak, panie Gordon, — przemówił ksiązę — co skłoniło cię do przyjęcia obowiązku tak niebezpiecznego i śmiem powiedzieć — niewdzięcznego?

— Rzecz bardzo prosta—odparł oficer spokojnie:—żołd mój podwyższono.

— Rozumiem, i nie śmiałbym krytykować przyczyny tak racjonalnej ze strony cudzoziemca. Ale otóż i powóz.

Istotnie w pobliżu na przecięciu dwóch głównych alei parku widać było powóz, zaprzężony w cztery konie i zaopatrzone w latarnie. Nieco dalej pod drzewami rysowały się zbrojne postacie ułanów.

ROZDZIAŁ XIII.

Rola hrabiny Rosen. Akt trzeci. W pokoju Serafyny.

Pożegnawszy księcia, pani Rosen pośpieszyła odszukać pułkownika Gordona. Była w tym stopniu przejęta swą rolą, iż jej nie wystarczało osobiste układanie szczegółów i przygotowań do mającego nastąpić wypadku, lecz pragnęła towarzyszyć wybranemu oficerowi na oznaczone miejsce, ażeby być naocznym świadkiem całej sprawy.

Pułkownik podał jej ramię, i szli oboje wśród ciemności krokiem pewnym i spokojnym, prowadząc ożywioną i wesołą rozmowę. Hrabina odzyskała już całą swobodę, czuła się upojoną wrażeniami niezwykłemi, ważnością swojej roli, własną egzaltacją; usta jej nie zamykały się prawie, oczy błyszczały, nerwowe rumieńce ożywiały twarz zwykle bladą. Czuła swą wyższość, czuła swą potęgę, — nie wątpiła, iż chwila jeszcze, a pułkownik Gordon znalazłby się u nóg jej, pokonany siłą uczucia. Nie pożądała tego i pogardziłaby podobną myślą, gdyby stała się pragnieniem, lecz jako przekonanie była jej przyjemną.

W pobliżu Merkurego, za krzewami, ukryta piękna pani z zajęciem i życzliwym współczuciem śledziła szczegóły areztowania Ottona, wysłuchiwała jego rozmowy z Gordonem, która ucichła wreszcie w oddaleniu, a wkrótce potem turkot

kół i tętent koni oznajmiły jej wyraźnie, że plan już spełniony. Jeszcze chwila, i wszystko znikło w oddaleniu, rozplynęło się w ciszy.

Książę był porwany.

Pani Rosen spojrzała na zegarek: było jeszcze dość czasu na wieczorny przysmak, którym chciała ukoronować rozkoszne wrażenia dnia dzisiejszego, więc nie zwlekając, pośpieszyła do pałacu. Myśl, że Gondremark zjawi się tam lada chwila, dodawała jej skrzydeł: musiała go przecież wyprzedzić.

Przez damę dyżurującą prosić kazała księżny o przyjęcie; wiedziała jednak, iż własne jedynie nazwisko napewno nie utworzyłoby przed nią upragnionych podwojów, to też wystąpiła bez namysłu w charakterze wysłańca barona i była niezwłocznie wezwaną do sali jadalnej.

Serafina siedziała sama jedna przy stole, udając, że je obiad. Pani Rosen zauważyła natychmiast, iż była uróżowaną, lecz oczy miała zagasłe, zmęczone; widocznie od dnia wczorajszego nie jadła i nie spała, toaleta jej nawet była zaniedbaną. Zgnębienie biło z jej całej postaci; moralnie i fizycznie była wykojejoną.

Hrabina oceniła to jednym rzutem oka, i własna piękność i siła wobec tego opuszczenia dodały jej pewności siebie.

— Przychodzisz pani w imieniu barona Gondremarka— spytała księżna głosem cichym i zmęczonym.— Proszę, siądź pani. Co masz mi do powiedzenia?

— Do powiedzenia!— powtórzyła pani Rosen, wznosząc oczy do góry.— O, wiele, wiele rzeczy!.. Wiele rzeczy, o których wolałabym milczeć, i wiele takich, które pragnęłabym wypowiedzieć otwarcie, choć zamilczeć muszę. Bo ja, księżno, jak święty Paweł — zawsze pragnę tego, co mi jest wzbronione. Jednym słowem, wyrażając się krótko i jasno, kategorycznie... tak, to będzie najwłaściwszy wyraz— a więc twój rozkaz, pani, doręczyłam księciu. Nie wierzył swoim oczom. „Droga pani Rosen, to niepodobna, to nieprawdo-

podobne! — mówił. — Ja nie wierzę; chcę usłyszeć to z ust jej własnych! Żona moja jest dzieckiem, które ma złego doradcę... Bywa lekkomyślną, lecz nie jest okrutną!" — „Panie, — odpowiedziałam — dzieci bywają zwykle okrutne; mordują muchy, gdy nikogo więcej zamordować nie mogą." Ale trudno mu było zrozumieć tę prawdę.

— Kto panią przysłał tutaj, pani Rosen? — odezwała się księżna spokojnie, choć widoczne wzruszenie twarzy jej okryło rumieńcem. — Kto przysłał cię i w jakim celu? Racz się wytłómaczyć.

— O księżno, ani wątpię, iż rozumiesz mię doskonale — odparła pani Rosen. — Jestem tego pewną. Ale ja nie posiadam twojej filozofii, serce noszę na dłoni... więc wybaczw otwartość, która cię razić może. To takie proste serce. . zresztą nie mieszam się zwykle do niczego.

— Czy chcesz pani powiedzieć, że ksiązę jest już aresztowany? — zapytała, wstając, Serafina.

— Kiedy ty, pani, spokojnie siedziałaś przy stole! — odpowiedziała hrabina, niedbale, lecz z wdziękiem opierając się o poręcz krzesła.

— To dobrze. Spełniłaś pani swoje polecenie. Dłużej cię nie zatrzymuję.

— O, nie, pani! Nie skończyłam jeszcze, jeśli łaska. Za wiele wycierpiałam dziś wieczorem, służąc ci, pani. Tak jest, cierpiałam bardzo. Cierpiałam, służąc tobie!..

Mówiąc to, poruszała spokojnie wachlarzem. Jego powolne ruchy nie zdradzały wcale szybkości pulsu właści cielki, i tylko olśniewający blask ogromnych oczu, świeżość cery nerwowa i prawie zuchwałe, wyzywające spojrzenie hrabiny zdradzały gorączkowe jej wzruszenie.

I cóż dziwnego: wszak to godzina obrachunku. Po między temi dwiema kobietami stały całe szeregi palących i drażniących wspomnień — tak przynajmniej przekonaną była pani Rosen. A teraz uderzyła godzina zwycięstwa, tryumfu na całej linii!

— O ile mi wiadomo, — rzekła Serafina — nigdy pani nie zaliczałam do osób, które mi służą w ten lub inny sposób.

— To prawda, pani — żywo odparła hrabina; — obie jednak — wiesz dobrze — służymy jednemu panu. A może nie wiesz o tem? W takim razie z przyjemnością mogę cię poinformować w tej kwestyi. Wistocie, postępowanie twoje, księżno, było tak lekkomyślne... tak lekkomyślne... — powtarzała przeciągle i niby z wahaniem, podnosząc nieco wachlarz i poruszając nim subtelnie — tak lekkomyślne, iż można przypuszczać, że sama go nie rozumiałaś.

Zsunęła nagle wachlarz i stanowczym ruchem położyła go na kolanach. Jednocześnie przybrała pozę mniej zaniedbaną i poważniejszy wyraz twarzy.

— Tak jest, księżno — ciągnęła tonem życzliwości; — każda młoda kobieta w twojem położeniu zasługiwałaby na szczere współczucie. Cóż dziwnego, że nie mogę oprzeć się przykrości, kiedy na ciebie patrzę? Wstępowałaś w życie tak uposażona, — urodzenie, majątek, świetne stanowisko. znakomite małżeństwo... uroda nawet, nie można zaprzeczyć — i oto dokąd doszłaś! Biedne dziecko, nie mogę myśleć o tem! Ale rzecz wiadoma, nic na świecie nie rodzi tylu klęsk i nieszczęść, co brak zastanowienia, lekkomyślność — dokończyła z westchnieniem, tonem smutnej wymówki, prostując się na krześle.

Rozwinęła zarazem wachlarz i chłodziła się z afektacją.

— Co to znaczy? — zawołała Serafina, odurzona w pierwszej chwili tem zuchwalstwem. — Jak pani śmiesz?.. Zabraniam ci przemawiać do mnie! Zabraniam zapominać się w ten sposób!.. Nie! ona oszalała?..

— Oszalała... Nie, księżno. Mam zmysły zupełnie zdrowe i najsilniejsze przekonanie, iż nie poważysz się targnąć na mnie dziś wieczorem. Z tego pragnę skorzystać, oto wszystko. Widziałam księcia mego, kochanego, pięknego księcia, gorącemi łzami oplakującego swoje stracone cacko,

lalkę gumową. Niestety, księżno, ja mam serce tkliwe i kocham księcia, szlachetnego, pięknego księcia. Ty tego nie zrozumiesz, a ja umieram z pragnienia zwrócenia mu zabawki, którą tak ukochał. I niczego nie pragnę szczerzej i goręcej, niż osuszyć z tych drogich oczu łzy rozpacz, oddać mu jego lalkę, oddać mu szczęście stracone... Ale ty wcale tego nie rozumiesz, zimna, bezmyślna, bezduszna istoto! pozytywko, nakręcana ręką mistrza!..

Podniosła się wzburzona, wyciągając zamknięty wachlarz w stronę księżny. Ręce drżały jej lekko, twarz płonęła, oczy rzucały błyskawice gniewu i pogardy.

— Lalko woskowa! — zawołała nagle. — Czyż niema w tobie krwi, serca, wnętrzości, temperamentu, duszy? Czyż nie czujesz, nie rozumiesz, że ten człowiek cię kocha, dzieciaku głupi? Kocha! O, możesz być pewną, że ci się to nie zdarzy po raz drugi w życiu! Miłości nie znajdują się na drodze, jak zgubionej podkowy. Ileż to kobiet pięknych, rozumnych i zręcznych pożąda jej i szuka nadaremnie! A ty, zarozumiała, nędzny niedorostku, śmiesz ją deptać bezkarnie?.. zaślepiona próżnością, nie rozumiejąca własnego położenia, własnej roli! Nim się ośmieliłaś rządzić państwem, trzeba było nauczyć się postępować w państwie serca swego, przy ognisku rodzinnem. To królestwo kobiety!

Zatrzymała się na chwilę i po krótkim milczeniu niespodziewanie wybuchnęła śmiechem, przyciszonym, dziwnym śmiechem.

— Powiem ci coś, — zaczęła — powiem coś takiego, czego ci powiedzieć nie chciałam... ta Rosenowa, moja księżno, więcej trochę warta od ciebie, choć nie podniesiesz się nigdy do tej przykrej wysokości, aby sobie z tego zdać sprawę. A teraz słuchaj: kiedy mu podałam twój rozkaz, kiedy ujrzałam jego twarz zmienioną, o, wtedy w głębi duszy uczułam wzruszenie. I mówię ci otwarcie: tu, na mojem

sercu dać mu pragnęłam chwilę wypoczynku, słodkiego zapomnienia!

Otworzyła ramiona i wspaniałym ruchem postąpiła krok naprzód.

Serafina cofnęła się przed nią z pośpiechem.

— O, nie lękaj się, pani! — zawołała hrabina z krótkim, nerwowym śmiechem — nie dla ciebie to schronienie przed burzami życia. Na świecie całym jeden tylko człowiek chętnie ofiarowałby ci coś podobnego... ale go odepchnęłaś. „Dla niej gotów jestem zostać męczennikiem, całować ciernie” — powiedział mi, kiedy — przyznaję — błagałam go, aby stawił ci opór, i oddałam papier w jego ręce... Ty, pani, bez skrupułu zdradzałaś małżonka i pana swego; teraz zapewne zdradzisz mnie przed Gondremarkiem, ale on, książe, nie chciał nikogo zdradzić. Pojmij to, pani: tylko jego dobrej woli zawdzięczasz, że znajdujesz się tu jeszcze, że cieszysz się złudzeniem władzy. Od niego tylko zależało (środku mu podałam), by zmienił z tobą role. Nie chciał; pozwolił się wrzucić do więzienia, zamiast ciebie w niem zamknąć!

Wyzywająco patrzyła na księżnę, która z widocznym i przykrem wzruszeniem zaczęła mówić cicho:

— Gwałtowność twoja, pani, obraża mię i boli, lecz gniewać się nie mogę o uczucia, które — pomimo wszystko zaszczyt ci przynoszą... Powinnam była zresztą wiedzieć o tem wszystkiem. To słuszne. Zstąpię nawet przed tobą z mojej wysokości aż do wyznania, że po ciężkiej walce i z głęboką boleścią widziałam się jednak zmuszoną do tego kroku. I ja oceniam księcia... Pod wielu względami cenię go i szanuję... I nieszczęście nasze wspólnem jest, — chętnie biorę na siebie część winy — nie jesteśmy dobrani. Jego przynioty osobiste, wielkie — i dla mnie mają urok... Znam je, nie sądzę, że ich nie widzę. Gdybyśmy nie byli tem, czem jesteśmy dla siebie, czułabym i myślała, jak ty, pani. Istnieją jednak względy wyższe, względy stanu, przed którymi ustąpić musi nawet serce: i taki obowiązek nakazał

mi czyn, przed którym cofnąć się nie miałam prawa—mimo wstętu. Lecz skoro minie groza, która mię zmusiła dla ocalenia państwa być okrutną i zimną — książę będzie uwolniony natychmiast. Bądź pani pewną,—przysięgam ci to uroczyście. Inna na mojem miejscu—prawie każda—byłaby obrażoną na ciebie albo przestraszoną, onieśmieloną, — lecz ja cię pojmuję, hrabino, i usprawiedliwiam, dlatego ze spokojem przyjęłam niewłaściwe twoje uniesienie. Nie jestem tak okrutną i nieludzką, jak pani przypuszczasz — dodała z wyrazem twarzy, który miał prawdopodobnie oznaczać spokój i poczucie swej godności, lecz który mógł jedynie wzbudzić dla niej trochę współczucia.

Pani Rosen uśmiechnęła się wzgardliwie i potrząsnęła głową.

— Ale ja nie rozumiem cię, pani—odparła.—Suchymi względami stanu równoważyć miłość człowieka! Ależ to niedorzeczne!

Teraz Serafina wyprostowała się dumnie w poczuciu swej wyższości moralnej.

— Suche względy stanu to kwestya życia lub śmierci wielu osób, pani, — odezwała się z wyniosłym spokojem — może samego księcia i każdej z nas między innymi. Jakkolwiek młodą jestem, przeszłam twardą szkołę na swoim stanowisku, nim uznałam tę prawdę, że uczucia moje osobiste wobec spraw państwa nie mają prawa do istnienia i nie mogą być nigdy brane pod uwagę.

— O piskłęca niewinności! — zaśmiała się ironicznie pani Rosen. — Czyż podobna, abyś pani nie domyślała się nawet, jaką intrygą jesteś otoczona! Pomimo wszystko, mam litość nad tobą, widząc, jak naiwnie odgrywasz tę śmiesznią rolę, którą ci narzucono bez twojej wiedzy. Bądź co bądź, obie przecież jesteśmy kobietami.. Biedne dziecko, biedne dziecko!.. Być kobietą to znaczy urodzić się po to, aby być oszukiwaną. Nienawidzę i gardzę kobietami, ale twój obłąd litość we mnie budzi... dlatego ci przebaczam.

Podniosła się i złożyła przed księżną ukłon głęboki.

— Wasza Książęca Mość! — zaczęła znowu innym już tonem, rozkładając wachlarz. — Wasza Książęca Mość zechce pozwolić, iż ją znieważę przez to, co uczynię teraz, zdradzając człowieka, który jest moim kochankiem. Masz władzę, możesz mścić się, zgubić mnie i zburzyć całą moją przyszłość, — nie waham się jednak.. A, cóż to za prawdziwie francuska komedia!.. oszukuję, oszukujesz, oszukuje, oszukujemy i t. d. bez końca. Lecz zaczynam swoją rolę. Oto list, Mościa Książno. Bez listu nie obejdzie się żadna komedia. A ten — racz spojrzeć: autentyczny i nietknięty; pieczętka nienaruszona, adres ręką znaną. Oddaję ci go takim, jakim go znalazłam dzisiaj rano przy łóżku. Nie przeczytałam go sama, bo nie miałam humoru, a przytem nazbyt często spotyka mnie ta przyjemność. Przez miłość samej siebie, w imię miłości najszlachetniejszego z książąt, o pani, wzywam cię i proszę, przez myśl o bezpieczeństwie tego kraju, które ciąży na twem sumieniu — otwórz ten list i czytaj!

— Czy chcesz, pani, powiedzieć przez to, że ten list mnie dotyczy pod jakimkolwiek względem? — spytała Serafina.

— Nie czytałam go, pani; wszak widzisz pieczętkę? Ale należy do mnie, i proszę cię, zróbmy próbę.

— Nie chcę i nie mam prawa czytać go pierwsza, hrabino. To list prywatny; mogą być w nim kwestye, o których wiedzieć nie powinnam.

Hrabina rozerwała pośpiesznie kopertę, przebiegła okiem kilka skreślonych wyrazów i rzuciła list księżnie. Serafina poznała pismo Gondremarka, wzięła kartkę do ręki i czytała:

„Droga Anno! Przyjdź natychmiast. Ratafia się do-rznęła: zamykamy jej małżonka. To odda mi tę maryonetkę w moc zupełną. Kość rzucona. Będzie tańczyła teraz, jak rozkażę. Jest o czem pomówić. Przychodź prędzej.

Henryk.”

— Uspokój się, książno! — zawołała nagle przestraszona pani Rosen, widząc straszliwą bladość Serafiny. — Nie myśl

z nim walczyć. To daremnie. Gondremark ma władzę w rękę, a źródła jej są potężniejsze od twej łaski lub niełaski. Może cię zgubić jutro jednym słowem. Wierz mi. Czy sądzisz, że bez tej pewności zdradziłabym go w taki sposób? Lecz ja o niego drzeć nie potrzebuję: Henryk to mężczyzna, to siła. . . Bawił się tobą, jak każdą inną maryonetką, której potrzebował przez chwilę. Dziś to zbyt szybkie. A ty wiesz przynajmniej, dla kogo poświęciłaś księcia. Kropelkę wina, księżno? Widzę, iż byłam okrutną!

— Okrutną? Nie, hrabino; byłaś tylko lekarzem — odparła Serafina z uśmiechem widma. — Dziękuję. Nic mi nie potrzeba. Odurzyło mię na chwilę zadziwienie. Lecz to minie — wkrótce. Muszę pomyśleć o tem.

Ścisnęła rękoma skronie i czas jakiś stała tak nieruchoma, pogrążona w rozpatrywaniu burzy własnych myśli i uczuć.

— W każdym razie, — rzekła wreszcie głosem spokojnym, choć cichym — wiadomość tę przyniosłaś mi, hrabino, w chwili, kiedy potrzebowałam jej najbardziej. O, rada jestem! Nie postąpiłabym sama nigdy w ten sposób, jak ty postąpiłaś, ale — jestem ci wdzięczną szczerze... i dziękuję. Zawiodłam się okropnie na baronie Gondremarku.

— Dajże mi pokój, księżno, i myśl o własnym mężu! — zawołała pani Rosen niecierpliwie.

— Przemawiasz, pani, znowu w imię uczuć osobistych, — rzekła Serafina — ale nie ganię ci tego... Myśli mi się płaczą... Jednakże ponieważ uważam cię za szczerą przyjaciółkę mego... ponieważ uważam panią za osobę szczerze życzliwą Ottonowi, powierzę ci natychmiast rozkaz przywrócenia mu wolności. Podaj mi, proszę, pióro i atrament.

Usiadła przy stoliku, i oparłszy rękę, która drżała jej mocno, pośpiesznie nakreśliła nowe rozporządzenie.

— Oto jest — rzekła, podając papier pani Rosen; — nie zapomnij jednak, hrabino, iż na razie niewolno ci robić z tego żadnego użytku. Ani mówić o nim! Dopóki się nie zobaczę

z baronem, każdy krok nierozważny... Ach, gubię się w myślach! To odkrycie niespodziewane pozbawiło mię równowagi i spokoju.

— Przyrzekam ci chętnie, księżno, iż przed otrzymaniem od ciebie rozkazu żadnego użytku z tego papieru nie zrobię. I nie wspomnę o nim nikomu, choć byłoby pożądanem, aby książę jak najprędzej rozgrzał swe biedne serce tą nowiną. Ach, zapomniałam: książę zostawił list do ciebie, pani. Pozwól, że ci go przyniosę. To drzwi — zdaje mi się do jego pokoju?

I nacisnęła kłanekę.

— Zasunięte z tamtej strony — rzekła, rumieniąc się mocno, Serafina.

— O!.. — zauważyła ze zdziwieniem pani Rosen.

Nastąpiła chwila przykrego milczenia.

— Sama pójdę — odezwała się księżna nakoniec. — A tymczasem pozwól mi, pani, zostać samą. Proszę cię o to. Dziękuję ci za wszystko, lecz jak o łaskę proszę: pozostaw mię samą!

Hrabina Rosen z godnością złożyła swej monarchini ukłon głęboki i oddaliła się w milczeniu.

ROZDZIAŁ XIV.

W którym się dowiadujemy o przyczynie wybuchu rewolucyi.

Serafina niewątpliwie należała do kobiet silnych i inteligentnych, do kobiet, które nie drżą przed niebezpieczeństwem, a jednak, zostawszy samą, zmuszoną była szukać mocnego oparcia, by nie upaść na ziemię. Czuliła się obywatelką i złamaną; grunt zapadał się pod jej stopami; świat jej cały, gmach, który z takim trudem budowała, walił się jej na głowę.

Prawda, że w gruncie rzeczy nie lubiła nigdy Gondremarka i nigdy nie ufała mu zupełnie,—instynktownie bardzo często posądzała go o obłudę, a fałsz w jego uczuciach uważała zawsze za rzecz prawdopodobną i możliwą. Ale to co innego. Niechby mu zostały choć te wielkie zalety prawdziwego męża stanu, które w nim tak cenila! niechby mogła wierzyć w uczciwość jego dążeń politycznych!.. Ale intrygant, który jej używał za narzędzie dla swoich celów osobistych, szydząc z jej naiwności... O, to oszaleć można! Można dostać zawrotu głowy.

Czuła, że spada z szaloną szybkością w jakąś przepaść bez końca, — otaczał ją chaos, — myśl jasna była dla niej udręczeniem, — gdzież ucieczka? Chwilami ogarniała ją ciemność zupełna, to znowu światła jakieś błyskały w jej mózgu; nie chciała wierzyć i znowu wierzyła... Męczarnia.

Machinalnie wyciągnęła rękę, by raz jeszcze odczytać bilet pani Rosen. Ale nie było już kartki na stole.

Nic dziwnego: hrabina należała zawsze do kobiet doświadczonych i przezornych, to też wzruszenie nawet zaostrzało raczej, nigdy zaś nie tłumilo w niej głosu rozsądku.

Ale ta okoliczność przypomniała księżnie o liście, pozostawionym przez Ottona. Zapragnęła go dostać z taką gwałtownością, że zerwała się z miejsca i nawpół przytomna pobiegła przez korytarz i znane komnaty do zbrojowni, którą odwiedzała tak niedawno.

W bibliotece stary szambelan znajdował się na stanowisku; jego widok obudził w duszy Serafyny gniew i niechęć: oto nowy świadek jej upokorzenia. I krew wzburzona uderzyła jej do głowy.

— Wyjdź pan! — zawołała gniewnie w dzieciennem jakimś uniesieniu.

Ale gdy starzec skierował się ku drzwiom, odwołała go znowu.

— Zostań pan — przemówiła spokojniej. — Gdy baron Gondremark przyjdzie, wezwać go tu do mnie natychmiast.

— Niezwłocznie wydam rozkaz — rzekł szambelan.

— Był list do ranie...—zaczęła niepewnym głosem Serafina.

— Wasza Książęca Mość znajdzie list w zbrojowni na stole. Tam był pozostawiony. Nie otrzymałem żadnego rozkazu, gdyż inaczej byłbym oszczędził Waszej Książęcej Mości tego trudu.

— Nie, nie!—zawołała Serafina, widząc, iż szambelan chce jej towarzyszyć — sama go znajdě. Chcę być tutaj samą.

I znów doznała ulgi, znalazłszy się samą w pokoju. Pochwyciła list śpiesznie. Ale czy mogła go czytać, rozumieć? Umysł jej pogrążony był jeszcze chwilami w ciemności, którą rozjaśniały tylko krótkie błyski, niby światło księżyca po burzy, na niebie, zasnutem jeszcze ciężkimi chmurami.

List jednak nie był długi.

„Serafino! Ani jedna litera tego listu nie będzie dla ciebie wyrzutem: widziałem rozkaz twój i odjeżdżam. Cóż mógłbym innego uczynić? Zmarnowałem skarb uczucia i zostałem nędzarzem. Nic nie mam i nic mię nie czeka w przyszłości. Nie potrzebuję pisać, że nie obwiniam cię o to; przebaczam wszystko. Teraz przynajmniej rozłączeni jesteśmy na zawsze. Ty sama zerwałaś więzy, którymi się własnowolnie skrępowawałem. Bez oporu pozwałam zamknąć się w więzieniu: oto ostatnie słowo miłości i gniewu, jakie usłyszysz ode mnie. Usuwam się z twego życia. Odetchnij swobodnie: uwolnioną jesteś od małżonka, który pozwolił sobą wzgardzić, od księcia, który złożył władzę w twoje ręce, od męża kochającego, który był dumnym, osłaniając cię swoją osobą przed każdym wrogiem tchnieniem. Czem zapłaciłaś mu za to? Własne serce odpowie ci głośniejszym, wymowniej, niż słowa moje; przyjdzie dzień, w którym twoje złudne marzenia rozproszą się, jak chmury, i zostaniesz samą i uczujesz się smutną i osamotnioną. Wówczas wspomnienia złączą cię znowu z Ottonem.”

Czytała z przerażeniem, z zapartym oddechem: ależ ten dzień już nadszedł! Czyż nie była samą? I jak samotną!

Wyrzuty sumienia obudziły się nagle z siłą niepojętą: czyż nie była okrutną? nieuczciwą? podstępną?

Wtem drgnęła nowa struna: próżność,—miłość własna zdeptana i upokorzona. Być tak oszukaną... zwodzoną!.. O, wstydzie! I gdzież jej moc i władza?.. Zdradzać siebie, usiłując zdradzić męża,—żyć lat tyle pochlebstwem, karmić się niem jak niemowlę, bezkrytycznie, głupio, śmiesznie, -- połykać co dzień te pigułki, przyprawiane przez zuchwałego intryganta—i wierzyć—i dać się prowadzić, nie wiedząc dokąd...

Jej bystry, przenikliwy umysł ocknął się nagle i zrozumiał wszystkie nieuniknione a groźne następstwa własnych jej czynów: widziała przed sobą zgubę, niechęć powszechną, nienawiść, pogardę i wstyd i rozgłos tego smutnego upadku, rozbrzmiewający daleko, daleko, po całej Europie. A po twarz, którą gardziła do dzisiaj, stanęła przed nią teraz straszna, wstrętna i groźna. I już nie miała siły zmierzyć się z nią dumnie. Uchodzić w oczach ludzkich za kochankę tego człowieka—to za wiele, doprawdy! A kto wie, czy to właśnie nie będzie przyczyną...

Zamknęła oczy. Nie, nie miała siły, nie mogła patrzeć w przeszłość. Uciec! Dokąd?

Jak myśl szybko, pochwyliła nagle błyszczący sztylet, który pośród broni połyskiwał na ścianie.

Oto jest ucieczka! Jedyne wyjście z okropnego położenia, jedyna niezawodna i pewna ochrona od tych szeptów i śmiechów, tych spojrzeń złośliwych i rąk krwawych, które widziała przecuciem wyciągnięte ku sobie groźnie i brutalnie. Nie, nie,—nie chce już oglądać nikogo,—wstręt ma do ludzi, boi się ich twarzy, ich okropnego śmiechu.

Przymknęła powieki, blade jej usta szepnęły kilka słów modlitwy, a obie ręce mocno i namiętnie przycisnęły do łona jasne ostrze stali.

Skutek był szybki, lecz nieprzewidziany: uczucie bólu wyrwało z jej piersi okrzyk przestachu — zbudziło myśl trzeźwą z szalu gorączki. Była ocaloną. Kropla krwi na staniku została jedynym i drobnym śladem tej chwili rozpaczy. Chęć samobójstwa zniknęła bez śladu wobec rozbu-
dzonej na nowo energii.

Bystry jej słuch rozróżnił nagle w korytarzu krok dobrze znany, równy, nieco ciężki: baron nadchodził. Wszystkie krew gwałtownie spłynęła jej do serca, które uderzać zaczęło głośno i mocno, niby wezwanie do walki. Szybkim ruchem ukryła sztylet w fałdach sukni, i prostując się w całej swojej wysokości, stanęła dumna, groźna, gniewem palająca.

Szambelan cichym głosem wymienił nazwisko barona, który też wszedł natychmiast. Wszedł wezwany do kobiety, z którą stosunek zawsze był dla niego ciężką i nudną panszczyzną. Znosił go z konieczności cierpliwie do czasu, lecz Serafina była tem dla niego, czem dla ucznia klasyczna lacińska poezya, której ani ocenić jeszcze nie umie, ani jej nie pragnie poznać.

W tej chwili jednakże, ujrawszy ją wzburzoną, palającą gniewem, wspaniałą w blasku podnieconych uczuć, doznał nowego, miłego wrażenia: — zbudziła w nim szczerą podziw, iskłę uwielbienia. Uczucia te powitał z prawdziwą radością: wszak to broń nowa, nowe środki w jego ręku.

„Gdybym teraz był zmuszony grać rolę zakochanego, — pomyślał, a ta troska dręczyła go niejednokrotnie — zdaje mi się, że mógłbym wlać w nią trochę duszy!”

Jednocześnie z właściwym mu ociężałym wdziękiem składał ukłon głęboki i pełen szacunku.

— Postanowiłam — rzekła Serafina głosem mocno zmienionym — zwrócić księciu wolność i zrzec się zamiaru rozpoczęcia wojny.

— Wiedziałem... przewidywałem to, księżno — rzekł baron. — Nie wątpiłem, iż przykre środki, do których zmuszeni

byliśmy się uciec, zbyt boleśnie zranią twoje szlachetne serce. Tak, pani, wierz mi, nie jestem niegodny być twoim sprzymierzeńcem: rozumiem cię i oceniam, — wiem, ile skarbów posiada twoja dusza, i uważam je za najcenniejsze klejnoty naszego przymierza. Przewrotność monarchini nie zatarła w tobie cech kobiety: tkliwości i dobroci; masz łzę dla cierpienia, uśmiech zachęty, nagrody dla mężnych. O, znam cię, pani! Ja umiem tylko rozkazywać, jestem od groźby, lecz ty, księżno!.. A jednak—masz odwagę zapanować nad własną słabością, nad słabością, która jest kwiatem twego serca. Na głos rozumu umiesz swe własne przymioty zdeptać, skrepić wolę i poczuciem wyższego obowiązku. Alboż raz to podziwiałem, w twojej nawet obecności — tak, w twojej obecności—powtórzył wzruszonym głosem, jakby się rozkoszował jakimś drogiem wspomnieniem.— Dziś wszakże...

— Dzisiaj jednak, baronie Gondremark, — przerwała Serafina — nie czas na komplementa. Chcę wiedzieć jasno: jesteś mi wiernym, czy zdrajcą? Spójrz w serce swoje i odpowiedz. Żądam. Chcę poznać dzisiaj twoje serce.

„Uhm — pomyślał Gondremark — rozumiem!“

— O pani, — odparł głośno, cofając się niby z obawą, chociaż uczucie dumy i radości zarumieniło mu śniade oblicze. — Pani... ty, księżno, każesz mi... ośmielasz spojrzeć we własne serce?

— Przypuszczasz, iż się lękam?—zapytała z błyszczącym wzrokiem i uśmiechem, który spłoszył ostatnie wątpliwości Gondremarka.

— Pani!—wybuchnął, padając przed nią na kolana.— Serafino! Pozwalasz? Pozwalasz naprawdę? Czyś przeniknęła moją tajemnicę?.. A więc —tak jest—to prawda... Z wiarą i radością oddaję ci me życie. Władaj mną, rozkazuj! Kocham cię, pani, księżno, kocham cię z całym zapalem, jak równą, jak władczynię i kochankę, jak przyjaciela, jak kobietę ubóstwianą, upragnioną, słodką... O małżonko mego ducha i mych zmysłów — litości!.. litości dla mego uczucia!

Serafina wyprostowana, w tył nieco przegięta, słuchała ze zdumieniem, które zmieniło się szybko w szal gniewu i pogardy. Czuła, iż każde słowo jest dla niej zniewagą, uderza ją jak policzek, i patrząc na tarzającego się przed nią człowieka, który wstręt tylko mógł wzbudzić w jej duszy, wybuchnęła nerwowym, spazmatycznym śmiechem, śmiechem nawpół przytomnym, jak we śnie.

— Wstydl!.. Wstrętne!.. brudne!.. O, coby hrabina na to powiedziała!.. — wyjąkała z odrazą i szyderstwem.

Baron klęczał nieruchomy. Śmiech Serafiny spadł nań jak maczuga; przez chwilę doznał wrażenia, że ściany wałą mu się na głowę, — potem... w najzaciętszym wrogu mógł litość wzbudzić stanem^o swojego umysłu... Zraniona próżność w piersi tej herkulesowej zamieniła się we wściekłość, pełną trującego jadu... Ach, cofnąć, cofnąć wymówione słowa!.. głupie słowa!.. choć kilka!.. Gdyby nie użył przynajmniej tego wyrazu: małżonka!.. Ten najgłośniejszym miał mu w uszach, kiedy przebiegał w pamięci tak nieogłędne i śmieszne wyznanie. Cofnąć je, cofnąć!..

Chwiejąc się, wstał nakoniec, lecz w tej samej chwili niema i głucha wściekłość zawrzała w nim z siłą brutalną i wybuchnęła w słowach, w których zdradzały się wszystkie niskie instynkta tej grubej natury. Zaślepiiony jadem złości i upokorzenia, rzucił zuchwały wyraz, za który następnie długo i gorzko musiał pokutować.

— Hrabina! — zaśmiał się głosem szyderczym. — Aa! teraz zrozumiałem niezwykle wzruszenie Waszej Księżęcej Mości!

Ton jego głosu poparł silniej jeszcze tę zniewagę. Serafinie nagle pociemniało w oczach, jakiś huragan podniósł się w jej piersi, zaćmił jej rozum, odebrał przytomność. Płomień gorący buchnął jej do twarzy... a kiedy się ocknęła, ujrzała przed sobą krwawy sztylet we własnej ręce. Gondremark blady, dłonią przyciskając ranę, patrzył na nią dziko i strasznie. Odrzuciła broń z uczuciem odrazy, ale w tej

samej chwili z przekleństwem na ustach baron rzucił się na nią i niepewną ręką chwycił za szyję. Ostatnim wysiłkiem w najwyższej trwodze zdołała się wyrwać i odepchnąć od siebie ciężkie, chwiejące się ciało, które z łoskotem padło na podłogę.

Wszystko to zaszło w jednym mgnieniu oka: uderzenie sztyletu, opamiętanie, wściekłość Gondremarka, napad i upadek. Baron raz jeszcze podniósł się wsparty na łokciu, — oczy miał błędne, rękę i pierś krwawą. Serafina, kredowo blada, patrzyła nań z przerażeniem.

— Anno! Anno! Ratunku... — szepnął konający.

Wtem zabrakło mu siły, głowa opadła bezwładnie, powieki się przymknęły...

Serafina zasłoniła oczy dłonią. Ogarnął ją strach najwyższy, trwoga, dochodząca do szalu. Nic już nie rozumiała i nic nie wiedziała, pragnęła tylko uciec, obudzić się z tego snu okropnego. Wydała krzyk, i łamiąc ręce w przerażeniu, biegła po pokoju, głośno wzywając pomocy.

Stanęła nagle: ktoś zapukał do drzwi. Z szybkością błyskawicy objęła całe położenie, lecz nie straciła teraz przytomności: strach siły jej podwoił. Jak zranione zwierzę, rzuciła się ku drzwiom i oparła o nie z szalonym wysiłkiem, zdyszana, blada, drżącymi palcami usiłując spuścić zasuwkę.

Gdy jej się to udało, uczuła się uspokojoną cokolwiek. Odstąpiła od progu, ażeby przytomniej spojrzeć na swą ofiarę. Stukanie do drzwi stawało się coraz gwałtowniejsze, a tu trup... Niepodobna o tem wątpić. Nie żyje! Zabiła go. Ostatniem słowem na tej ziemi wzywał hrabiny. Czy jej kto wzywać będzie w podobnej godzinie?.. Zabiła go... Ta ręka, zaledwie dość silna, by wytoczyć jedną kroplę krwi z własnego łona, ta sama ręka znalazła dość siły, by jednym uderzeniem obalić olbrzyma!..

Pukanie do drzwi stawało się groźnem, połączone z licznymi głosami dworzan i osób, zebranych za progiem.

Jeszcze chwila, a skandal stanie się publicznym. Co począć? Jak uniknąć następstw własnych czynów?

Serafina nie miała dzisiaj dość odwagi, by śmiało stać im czoło. Głosy za drzwiami wołały ją już po imieniu. Co odpowiedzieć? Nagle zdało jej się, iż poznaje między nimi głos kanclerza. On, czy kto inny, zrozumiała jednak, że ktoś tutaj wejść musi. Zdecydowała się szybko.

— Czy pan Greisengesang jest tam?—zapytała, zbliżając usta do drzwi.

— Jestem, księżno—odparł głos znany.—Usłyszeliśmy krzyki i upadek. Czy się co stało?

— Nic, nic — rzekła Serafina. — Lecz chcę pomówić z panem. Odeślij innych.

Chwila stanowcza nadeszła, nie było rady. Ale umysł Serafiny pozostał teraz jasnym. Tylko wielkie oczy, sinym cieniem okrążone, i twarz kredowo blada świadczyły o wstrząśnieniu, które przeszła. Spuściła śpiesznie ciężką, fałdzistą portyerę i dopiero wtedy odsunęła rygiel, zabezpieczona przed wzrokiem ciekawych. Kanclerz wsunął się z niskimi ukłony i obłudnym wyrazem, a zaraz za nim zasuwka zapadła na nowo.

Kanclerz stanął na krótką chwilę przed portyerą, pograżony w ciemności, dopóki ręka księżny nie odsunęła przed nim tej zasłony.

Wówczas wydał krzyk trwogi, podobny do głosu ptaka.

— Boże wielki! pan baron!

— Zabiłam go! — szepnęła drżącym głosem Serafina.

— Wielki Boże! — powtórzył starzec — rzecz niepojęta, niesłychana... nieszczęście. Kłótnia miłosna—dodał, żałośnie potrząsając głową — redintegratio...

Umilkł i okrągłe oczy, pełne trwogi, podniósł na księżnę.

— Na miłość Boską, pani, cóż teraz poczniemy?—zawołał innym tonem. — To rzecz strasznie poważna. Biorąc z punktu moralnego, to okropne. Ośmielam się przemawiać do Waszej Książęcej Mości, jak do córki... jak do córki,

którą kocham, a jednakże z całym szacunkiem... Chcę powiedzieć, iż niepodobna zaprzeczyć, że z punktu moralnego cały ten wypadek stawia cię, księżno, w świetle bardzo nieprzyjemnem, bardzo nieokreślonem... A przytem... Boże wielki, co począć z tym trupem?

Serafina nie spuszczała oczu z mówiącego, i jej nadzieja zmieniła się prędko w pogardę. Lecz widok niedołęstwa i słabości powrócił jej energię.

— Zobacz pan, czy nie żyje! — rzekła sucho i wyniosłe.

Ani słowa obrony albo wyjaśnienia: uważałyby za niegodne siebie usprawiedliwiać się przed tym człowiekiem. „Zobacz pan, czy nie żyje” — oto wszystko.

Z wyrazem skruchy i obawy kanclerz zbliżył się do Gondremarka, który w tej samej chwili błysnął białkami oczu.

— Żyje! — krzyknął stary dworak w uniesieniu, zwracając się do Serafiny. — Żyje jeszcze, księżno!

— Więc zajmij się nim, kanclerzu — odparła chłodno, nie poruszając się z miejsca. — Przewiąż mu ranę.

— Ależ, księżno, — szepnął starzec z przerażeniem — ja nie mam czem...

— Nie masz pan chustki od nosa, krawata, czegokolwiek zresztą? — spytała oburzona.

Jednocześnie szarpnęła silnie za falbanę od lekkiej sukni, oddarła ją i wgardliwie rzuciła na podłogę.

— Weź pan to na bandaż — rzekła, zwracając się do ministra.

Po raz pierwszy znaleźli się naprzeciw siebie. Greisen gesang wydał nagle słaby okrzyk, podniósł ręce do góry z wyrazem zgorznienia, i przymykając oczy, zwolna odwrócił głowę: szarpnięcie upadającego barona rozerwało na piersi lekki stanik Serafiny.

— Wasza Książęca Mość, — szepnął kanclerz słabym głosem — ten nieład w toalecie...

— Weź pan tę falbanę i przewiąż go — rozkazała. — Człowiek może umrzeć.

Drżąc widocznie, minister zbliżył się do rannego i niezręcznie, nieumiejętnie zaczął opatrywać mu ranę.

— Oddycha jeszcze — powtarzał zarazem. — Nie skonał jeszcze.. jeszcze nie wszystko skończone.

— Jeżeli pan nic więcej pomódz tu nie możesz, odejdz teraz — rzekła księżna. — Idź, sprowadź ludzi, trzeba go natychmiast przenieść do jego mieszkania.

— Ależ pani! — zawołał przerażony kanclerz — jeżeli ludzie z miasta wejdą tutaj, jeśli zobaczą ten okropny obraz... o nieba! państwo runie... — westchnął, przymykając oczy.

— Jest lektyka w pałacu — zauważyła Serafina. — Pańskim obowiązkiem przedewszystkiem jest przenieść tego człowieka w bezpieczne i właściwe miejsce. Rozkazuję ci to, kanclerzu, i czynię cię odpowiedzialnym za spełnienie mego rozkazu.

— Widzę to — bąknął kanclerz. — Wasza Księżęca Mość... Rozumiem... Ale jak? Kogo użyć? Kogo znaleźć?.. Ha! ludzie księcia... tak... Ci są życzliwi. Ci może będą wierni.

— Nie, nie! Nie ci! — przerwała nagle Serafina. — Weź mego służącego, Sabrę; temu ufam.

— Sabra? Wielki mason! — zawołał przestraszony kanclerz. — Niech Bóg Najwyższy broni! Gdyby wiedział, co się stało, uderzyłby natychmiast w wielki dzwon na trwogę, i w mgnieniu oka bylibyśmy wszyscy wymordowani!

Serafina uśmiechnęła się z goryczą: każde słowo mawiało jej dokładnie położenie, z którego dotąd nie zdawała sobie sprawy.

— Więc bierz, kogo chcesz, kogo możesz, — rzekła — i sprowadź tu lektykę.

Pozostawszy sama w pokoju, zbliżyła się znów do barona, i walcząc ze wzrastającym wstrętem, usiłowała za po-

mocą silniejszego przewiązania powstrzymać wpływ krwi z rany. Ale każde dotknięcie ciała szarlatana przenikało ją dreszczem odrazy. W jej oczach niedoświadczonych rana wydawała się śmiertelną i przerażała ją swoim widokiem. Pokonała jednakże wstręt i przerażenie i w każdym razie zreczniej od kanclerza zbandażowała krwawiącą się ranę.

Dla oczu nie zaślepionych nienawiścią baron zemdlony wyglądał wspaniale. Ogromne jego muskularne ciało budziło podziw proporcjonalnością, rozmiarami i kształtem: potężna i piękna machina, nagle wstrzymana w ruchu. Nawet rysy jego twarzy, uwolnione w omdleniu od wyrazu gniewu i obłudy, mogły budzić podziw czystością i pięknocią linii.

Lecz Serafina tego nie widziała. Jej ofiara, nieruchoma, drgająca kiedy niekiedy, z odkrytą szeroką pierśią, odrażała ją właśnie ogromem i brzydotą. I po raz pierwszy od dawnego czasu dusza jej z utęsknieniem zwróciła się ku Ottonowi.

W pałacu tymczasem powstał ruch i wrzawa, wzrastająca niemal z każdą chwilą; szybkie kroki rozlegały się w różnych kierunkach; tu i owdzie podniesione, niespokojne głosy, szepty i nawoływania; na głównych schodach ruch panował ożywiony.

Nakoniec w długiej galeryi rozległy się ciężkie stapania: to kanclerz wracał do księżny, prowadząc czterech ludzi Ottona, niosących lektykę. Wszedłszy do gabinetu, słudzy stanęli u progu, ze zdumieniem patrząc na swą monarchinię z włosami w nieładzie, w podartej sukni, i na sztywne ciało rannego, rozciągnięte na podłodze. Nie wolno im było mówić, lecz myśli podejrzliwe i zuchwałe malowały się na ich twarzach. Pod dyrekcją kanclerza umieszczono dość ostrożnie barona w lektyce, zapuszczono firankę, czterech silnych tragarzy podniosło ją zgodnym ruchem, i pod przewodnictwem bladego Greisengesanga cała gromadka opuściła pokój.

Serafina pobiegła do okna i przycisnęła do wilgotnej szyby czoło suche i rozpalone. Widzieć stąd mogła oświe-

tlony taras i drogę wyznaczoną dwoma rzędami latarni, wiodącą ku miastu. A nad wszystkim noc ciemna i niebo gwiazdziste.

I ujrzała po chwili drobny, ciemny orszak, wychodzący z przedsionka i posuwający się pośród ciemności oświetloną aleją. Blask latarni kolejno przesuwiał się po nim, lektyka kołysała się łagodnie, unoszona przez czterech ludzi; kanclerz zamykał pochód.

Gromadka oddalała się zwolna, w milczeniu, i zniknęła w ciemnościach nocy. Serafina przeprowadzała ją wzrokiem i myślą, pełna niezwykłych uczuć, z niepokojem i bólem patrząc okiem duszy na ruinę swych dążeń, celów i ambicyj. Cóż się stało w przeciągu tych godzin kilku z jej życiem, z nią samą?.. Komu zaufać teraz? Komu wierzyć?.. Nikomu. Nie widziała wkoło siebie ani jednego człowieka, na którego prawości w najmniejszej drobnostce ośmieliłaby się odtąd polegać. A wierność! Rozumiała, że z upadkiem Gondremarka, upadło całe jej drobne stronnictwo — jeśli istniało kiedykolwiek.

Stała tak oparta o wilgotną szybę, wstrząsana lekkim dreszczem nerwowej gorączki i chłodu nocy, od którego lekka, rozerwana suknia zabezpieczyć jej nie mogła. I czuła, że ogarnia ją znowu bezwładność, gorycz, zwątpienie, rozpacz.

Tymczasem nieprzerwany łańcuch konsekwencji rozwijał się sam przez się i jak przeznaczenie wiódł do następstw nieuniknionych i groźnych: wśród ciemności już błyskał krwawy płomień buntu, chwiały się mury gmachu, który miał paść w ruinę.

Lektyka przebyła wkrótce bramę pałacową i zniknęła w ulicach miasta, oświetlonych słabo niepewnym blaskiem dość rzadkich latarni. Tu jednak napotkała ruch niezwykły. Jakim cudem niepokojąca i nieokreślona wieść przeniknęła mury pałacowe? jaki wiatr tajemniczy rozniósł ją po mieście? Odgadnąć trudno, nawet niepodobna. A jednak miasto od czuło wstrząśnienie. Coś płynęło z powietrzem i w sercach

ludności budziło echa trwogi, ciekawości i głuchego wzburzenia. Mieszkańcy wychodzili z domów, sami nie wiedząc dlaczego, gromadzili się na ulicach, w Topolowej Alei tworzyli liczne grupy. Szeptano, opowiadano, pytano. Tu i owdzie tłum czarny zapełniał ulicę.

I nagle oczom tych wyczekujących i niespokojnych tłumów ukazał się nieliczny i milczący orszak: czterech ludzi książęcych niosło zamkniętą lektykę; za nimi postępował wielki dygnitarz państwa, kanclerz Greisengesang.

Tłum przepuszczał go, milcząc i śledząc spojrzeniem, — ale po przejściu, szmer wzmagął się za nim szybko, następowało wrzenie. Grupy się dzieliły, rozpraszały, skupiały, szły naprzód, i wkrótce zwarta procesya ciemnych i groźnych postaci postępowała za lektyką.

Milczące zrazu masy stawały się coraz głośniejsze, ten i ów, śmielszy, następował bliżej, zwracał się do ministra z zapytaniem. Inni wyczekiwali słowa odpowiedzi.

Nigdy dotąd kanclerz nie miał takiej sposobności spożytkowania swej zręcznej obłudny i talentu kłamstwa, w którym całe życie ćwiczył się z najpomyślniejszym dla swej tuszy rezultatem. W tej pięknej chwili jednak potknął się, niestety: zdradził go strach—jego słabość kardynalna. Zarzucany pytaniami, stracił przytomność umysłu, zmieszał się. Jednocześnie z potraconej lektyki rozległ się jęk bolesny. Było to uderzenie dzwonu, oczekiwane hasło.

Jedno uczucie, niby powiew wiatru, który pochyla lasy, wstrząsnęło tłumem. Kanclerz je odczuł także, potęgą przeżalenia zrozumiał natychmiast, że wybiła godzina... Na sekundę jednak zapomniał w tej ostateczności o sobie—niech mu za to przebaczone będą ciężkie grzechy! Pociągnął mocno za rękaw jednego z niosących lektykę i szepnął mu do ucha:

— Biegnij do księżny, powiedz: niech ucieka! Wszystko stracone!

W następnej chwili walczył już o własne życie, przemawiając do tłumu, usiłując wzbudzić w nim zaufanie, wytargować dla siebie bezpieczeństwo.

Tymczasem pokojowiec księcia wpadł zdyszany do zbrojowni.

— Wszystko stracone! — zawołał na progu. — Kanclerz kazał powiedzieć, że trzeba uciekać!

Jednocześnie wrzawa wzburzonego miasta uderzyła o mury pałacowe; przez okno widać było już tłum czarny, zbliżający się od bramy ku jasno oświetlonym tarasom.

— Dziękuję ci, Grzegorzu — rzekła Serafina. — Wyjdź stąd prędzej. Ratuju się.

Lecz człowiek się wahał: nie śmiał jej tak opuszczać.

— Uciekaj! — powtórzyła z naleganiem. — Proszę cię o to. Skryj się.

Tym sposobem w kilka godzin po wyjeździe księcia Amelia Serafina, ostatnia księżna Grunewaldu, tą samą drogą, przez ten sam korytarz i boczne wyjście opuściła pałac książęcy, aby już do niego nie powrócić.

KSIEGA TRZECIA.

SZCZĘŚCIE W NIESZCZĘŚCIU.

ROZDZIAŁ I.

Księżna-Kopciuszek.

Wzmagający się hałas sprowadził widocznie ze stanowiska odzwiernego księcia, któremu powierzono straż boczego wejścia: furtka stała otwarta pośród ciemnej nocy, i Serafina wymknęła się niepostrzeżona. A kiedy, jak cień lekka, bez szelestu przesuwiała się pomiędzy drzewami, zstępując coraz niżej po tarasach, — od strony miasta zbliżał się tłum groźny, ryczący niby fala, a głuche i ciężkie stąpania miarowym szmerem napełniały powietrze. Zdawało przypominało to pochód konnicy. Brzęk tłuczonych latarni kiedy niekiedy ostrym trzaskiem wyróżniał się od wrzawy głosów, a nad tem wszystkim, jak echo przeciągłe, rozlegało się długim, dzikim krzykiem nienawistne imię Serafiny. Od strony koszar ozwała się trąbka, padł strzał, krzyk tłumu dosięgnął potęgi, i szturmująca masa ze wściekłością żywiołu rzuciła się na pałac.

Ścigana odgłosami tej burzy, księżna biegła przez ogród, niby ptak spłoszony, zaledwie stopą dotykając ziemi. Minęła park, z trudnością rozpoznając drogę przy blasku gwiazd, wśród sieci ścieżek i alei, i znalazła się pod schronieniem

lasu. Tym sposobem, w przeciągu chwil kilku zaledwie, z wysokości książęcej potęgi i uciech dworskiego życia spadała w tę puszcę dziką, bezbronna, strwożona, obdarta, nędzna i samotna, księżna-kopciuszek.

Szła szybko wprost przed siebie, kierując się z początku ku jaśniejszym miejscom, jakie tworzyły regularne poręby lub naturalne polanki; widok gwiazdzistego sklepienia był jedynym jej przewodnikiem. Wkrótce jednak otoczyła ją ciemność zupełna; proste, wysokie świerki stały przed nią zwartym i czarnym szeregiem, przyjęły ją w swą głębię, osłoniły zwieszonymi gałęziami, niby namiot olbrzymi.

Noc była dziwnie cicha w tej gęstwinie; najlżejszy wietrzyk nie poruszał lekkich igieł żywicznych, drzewa stały nieruchome. Lecz wśród tej martwej ciszy i ciemności, której nie rozjaśniał najbledszy promyk, ogarnęła ją trwoga nocy, podobna do przecucia rzeczy tajemniczych, które nas otaczają niewidzialne i potężne. Z kroplami potu zimnego na skroni i zapartym oddechem, posuwała się naprzód po omacku, rękoma szukając drogi w nieprzejrzanym mroku, wpadając na pnie twarde, zaczepiając suknią o kolące krzaki, tracąc chwilami siły i nadzieję wydobycia się z tej gęstwiny, to znów przystając i z sercem bijącym nasłuchując, czy nie ścigają jej krzyki rozszalałego tłumu.

Grunt się podnosił zwolna, ale ciągle, i to jej dodawało odwagi: była pewną, że idzie wciąż w jednym kierunku; jakoż istotnie, po długiej i męczącej drodze, znalazła się na szczycie skalistego wzgórza, panującego nad tem morzem lasów.

Tu jaśniej było. Nad sobą ujrzała znowu błękitne, gwiazdziste sklepienie, a dokoła bądź ostre i sterczące skały, bądź faliste i ciemne szczyty lasów sosnowych, osłaniające stoki łagodne pagórków, bądź wreszcie czarne zupełnie otchłanie dolin, przegradzających wyniosłości. A w dali nieskończony, już szary na wschodzie horyzont i profil gór dalekich.

Wieczne źródło uspokojenia, powaga i głębia natury, koło zwolna swoim wpływem dobroczynnym wstrząśniętą i znużoną duszę Serafiny. Usiadła na odłamie wystającym skały i wysłała wzrok w przestrzeń, zanurzając go w dali przejrzystej, jak rękę rozpaloną w chłodnem źródle,—i w tem subtelnem zetknięciu z naturą odzyskiwała spokój.

Wspaniałe słońce, krążąc w błękitnem przestworzu, które przesyca złotem swych promieni, jaśnieje w wysokości hasłem dla milionów, ale z jednostką ludzką nie ma nic wspólnego; srebrzysty księżyc, niby ojciec dobrotliwy, spogląda na nas smutnie lub łagodnie; lecz tylko jasne, migające gwiazdy przemawiają do nas, niby przyjaciółki: cicho, poufale, serdecznie; jak wróżki, pełne odwiecznej mądrości i wyrozumienia bez granic, słuchają one z łagodnym uśmiechem skarg naszych i opowiadań o nędzy przeznaczenia ludzkiego, a ruchem swoim, tak miłym dla oka, a mówiącym do wyobraźni, wskazują nieskończoność i całą różnicę między wiecznością nieśmiertelnej w całości swojej natury, a znikomem przeznaczeniem ludzkiego żywota.

Na twardym odłamie skały nad przepaścią siedziała Serafina, czerpiąc nadziemską pociechę w tem obcowaniu z myślą nieśmiertelną Stwórcy, ujętą w formy nieśmiertelnych światów. I zwolna w jej pamięci budzić się zaczęły wspomnienia, pełne dźwięków i obrazów, i niby mgły wieczorne nad wilgotną łąką, podnosiły się zwolna, lekkie i przejrzyste, zmieniały barwy, kształty, i jak panorama przesuwają się przed jej wyobraźnią. I widziała hrabinę piękną i zuchwałą, z wachlarzem w ręku — jej ruchy, jej słowa, wyraz jej twarzy; wielkiego barona na kolanach, z oczyma ku niej wzniesionemi... krew na podłodze; słyszała uderzenia we drzwi; tam znów ludzie księcia niosą lektykę, z tarasu pałacowego, aleją, wiodącą ku miastu; ktoś wchodzi—to posłaniec od kanclerza: „Uciekaj!..” — krzyk z pospólstwa—strzały i groźny, wzrastający hałas...

Wszystko to jednak płynęło gdzieś w dali, niby widać, a jednocześnie miała rozkoszną świadomość bezpieczeństwa i ciszy tej nocy gwiazdzistej, krzepiącej ducha swoim potężnym spokojem.

Zwolna zwróciła oczy ku Mittwalden: po za wzgórzami, które widok zasłaniały, krwawy blask nieba zwiastował pożogę. Tem lepiej... Wolała upaść tragicznie, wśród burzy, w blasku płonących pałaców i w gruzy walącej się wielkości.

Gondremark?.. Ten nie budził w niej politowania — był jej tak obojętnym, jak los Grunewaldu. Ten okres życia jej był już zamknięty, pogrzebany na zawsze. Jedy-
nem wspomnieniem zostało jej uczucie dotkliwego bólu zranionej miłości własnej.

Zresztą—jedną tylko miała myśl trzeźwą i jasną: uciekać. I drugą, mniej wyraźną, nawpół odpychaną, a jednakże rosnącą w siłę przekonania: uciekać w stronę Felsenburga. Wszak miała tam obowiązek do spełnienia: czyż nie powinna była jak najprędzej uwolnić z pod zamknięcia Ottona? Rozum powiedział jej to trzeźwo i spokojnie, a serce dziwnie ciepło przyjęło ten rozkaz—ręka jej pożałowała uścisku przyjaźni, życzliwego dotknięcia.

Podniosła się nagle, gdyż to wspomnienie wstrząsnęło ją dreszczem, i z nerwowym pośpiechem utonęła znowu w ponurym gąszczu leśnym. Schodziła teraz z wysokiego wzgórza stronę przeciwną, bór przyjął ją w milczeniu pod swoją osłonę i, niby otchłań czarna, zamknął ją w swoim objęciu. I znów zaczęła błądzić gorączkowo w nieprzejrzałej ciemności, bez kierunku i przewodnika. Tu i owdzie jedynie kiedy niekiedy błysnęło blade światło przez rzadsze gałęzie; tu i owdzie pień drzewa jaśniejszym konturem zarysował się na tle ciemnej masy; tu i owdzie jednakże cień zdawał się zgęszczać, mienić zwodniczem światłem, by za chwilę znowu większą jeszcze czarnością przerażał żrenicę. Cisza i ciemność stawały się jakieś kamienne, ciężkie, duszące; księżnę ogarniało rozpaczne poczucie własnej niemocy,

nicości i trwogi; zatrzymywała się nagle, nasłuchując w ciszy najbliższego szelestu; ale wówczas cisza zdawała się powiększać, stawała się martwą, otaczała ją jakimś murem niewidzialnym a nieprzebytym, strasznym; chwyciła za gardło, dusiła ją... Z krzykiem zamarłym na ustach Serafina zrywała się znów do ucieczki, uderzając o drzewa, upadając czasem, lecz zrywając się szybko, aby śpieszyć dalej.

Wkrótce las cały zaczął biedz z nią razem, chwiać się i skakać. Echo jej kroków w tej ciszy okropnej rozlegało się dziwnie, przeraźliwie, tysiącem głosów, które podwajały, potęgowały jej rosnącą trwogę. Strach ją ścigał. Ujrzała go między drzewami, gdzie czyhał na nią, chwytając zdradziecko za suknię, za włosy, kalecząc ręce; ciemność nieprzejrzana ożywiła się nagle, pełna tajemniczych kształtów, sił tajemniczych. Księżna uciekała; tchu już jej brakło, ale ostatnim wysiłkiem uciekała przed własną trwogą.

Wprawdzie w głębi jej mózgu, niezgasłe światelko błyskało czasem jasną, trzeźwą myślą, ale strach i ciemność tłumili ją znowu. Pojmowała jednakże, choć nie była w stanie iść za tym głosem wiedzy, pojmowała jednak, że trzeba się zatrzymać, odetchnąć, ochłonąć — ale nie mogła i biegła wciąż dalej.

Wiedziała prawie, że szła ją ogarnia, że zginać musi... Wtem przed nią przestrzeń wolna, choć niewielka: jakieś cienie i światła, jakieś dźwięki nowe — krok jeszcze — i zabrakło jej gruntu pod stopą. Spadła gdzieś w przepaść, ale się zerwała jeszcze o własnej sile, by natychmiast potem stracić przytomność i upaść nanowo.

Kiedy przyszła do siebie, leżała na wilgotnej skale, nad szemrzącym strumieniem, który obmywał jej stopy; woda, staczająca się po pochyłości, pryskała na nią chłodnemi kroplami; włosy jej były mokre, suknie przejęte wilgocią.

Podniosła się z trudnością; dreszcze wstrząsały jej ciałem, chłód ją przenikał; lecz przed sobą widziała jasną wstęgę wody i drżące gwiazdy, które się w niej przeglądały,

białą pianę na skałach i sosny wysokie po obu brzegach spadzistych potoku.

Ten prosty widok powrócił jej spokój; przez chwilę z upajającym wrażeniem rozkosznego spoczynku wsłuchiwała się w cichy szmer tej górskiej strugi. To była rzeczywistość, głos istniejący, prawda — nie złudzenie.

Drżąca z zimna, z trudem czepiając się mszystych kamieni, Serafina usiłowała iść naprzód z biegiem strumienia. Ruch tylko mógł ją rozgrzać i ocalić. Wiedziała teraz, iż byłoby zgubą, szaleńcem z jej strony zapuszczać się znowu w czarną głąb lasu, lecz w tej dolince, rozjaśnionej blaskiem gwiazd migotliwych, ożywionej pluskiem wody bieżącej, zamkniętej i cichej, a nie grobowej, nie martwej i nie czarnej, tu — czuła się bezpieczną i była gotową czekać spokojnie na świt nowej zorzy.

Strumień łagodnie toczył się po pochyłości, jak wąż olbrzymi wijąc się wśród lasu; łożysko jego, chwilami ściśnione, rozszerzało się znowu, a tu i owdzie słały się po brzegu wilgotne, bujną trawą pokryte polanki. Jedną z nich Serafina obrała sobie za schronienie na resztę nocy. Cień drzew posępny osłaniał jej brzegi, lecz była dość rozległą, aby na jasnej przestrzeni przechadzać się swobodnie po miękkiej murawie. Zaczęła krążyć wkoło, przecinać ją wpoprzek, wzdłuż, wszerz. Pod wpływem myśli przyśpieszała kroku, to znów zwalniała. Kiedy niekiedy nie myślała o niczem; jej umysł znużony znajdował wypoczynek, patrząc na obraz niezwykły, który ją dziś otaczał. Tam z wysokiego wzgórza setką drobnych wodospadów spływał spieniony potok, podążając ku niej; tu wśród łagodnych brzegów płynął spokojnie i cicho, odzyskując przejrzystość fali, a ponad nim wznosiło się jasne sklepienie, pełne ogni niebieskich.

Chłodny wieczór zmienił się zwolna w noc ciepłą; wietrzyk ucichł zupełnie, a z ciemności lasu płynęło ciepłe, balsamiczne tchnienie, niby łagodny oddech żyjącej istoty;

rosa spadła obficie na bujne mchy leśne, wysokie trawy i igły sosnowe.

Pierwszą noc w życiu księżna spędzała w ten sposób, sama, pod otwartem niebem, wobec natury,—i teraz, kiedy ocknęła się z trwogi, czuła w duszy głęboką i spokojną radość, wielkie wzruszenie wobec tego majestatu spokoju i prostoty. Jakiż kontrast ze sztucznem i pełnem drobiazgowym życiem człowieka, z przewrotnością intryg i walką sprzecznych uczuć! Tu gwiazdy odwieczne dobrotliwie patrzyły z wysokiego nieba, a czysty strumień krzepił ją swym głosem, który był prawdą samą.

Nagle z bijącym sercem spostrzegła, że staje się wkoło niej światłość, — a chociaż w tej chwili było to raczej poblednięcie mroku, jej przecieź to przeczucie jasności wydało się wspanialszem od łuny jaskrawej płonącego pałacu. I natura cała odczuła tchnienie dnia pierwsze: wszystko dokoła zdawało się zmieniać, przeistaczać, ożywiać; sosny stały się wyższe, uroczystsze; skały, trawa na łączce i wody strumienia zmieniły barwę, zdały się rozumieć zbliżanie wielkiej chwili.

Serafina patrzyła na to w zamyśleniu, z sercem wzruszonym nieznaną radością, przeczuciem rzeczy wielkich. Jakaś tajemnicza i nieuchwytna łączność spoiła ją z nieznaną jej dotąd przyrodą — uczuła się jej częstką. Spojrzała na niebo: gwiazdy pogasły na niem, kilka już tylko błyszczało światłem zamglonem, niepewnem i drżącym, gotowe zniknąć za chwilę, jak inne. I kolor nieba zmienił się zupełnie: zbladł szafir nocy, przesycony światłem bladorożowo-złotem, które poprzedza jutrzeńkę,

— Świt! — zawołała Serafina głosem, drżącym z radosnego wzruszenia.

Zręcznym i lekkim ruchem przeskoczyła strumień i zaczęła się wdzierać na szczyt najbliższego wzgórza. „Jasno! jasno! dzień! światło!”—śpiewało jej w duszy, a w odpowiedzi chór stokroć piękniejszy rozbrzmiewał dokoła: chór dro-

bnego ptactwa w gniazdkach, ukrytych wśród leśnej gęstwiny, w nędznych, słabych lepiankach, opartych o stare, silne konary. Głos ich, piękniejszy nad tony muzyki, tysiącem lekkich fal wstrząsał powietrze, tysiące drobnych i błyszczących oczu świeciły wśród zieleni, tysiące serc małych biły radosnem biciem na powitanie słońca i dnia wschodzącego. Serce Serafiny wyrывało się do tych powietrznych śpiewaków, przytulonych do siebie parami w gniazdeczkach i ze zdziwieniem rzucających bystre, baczne spojrzenia na księżną kopciuszką w poszarpanej odzieży, lekkim, szybkim krokiem przesuwającą się po mchów kobiercu.

Wreszcie znalazła się na szczycie wzgórza, skąd mogła objąć okiem horyzont szeroki i podziwiać wspaniałość cudnego zjawiska. Od wschodu ciemność cofała się drżąca, mdlejąca w świetle; ostatnie gwiazdy gasły na błękitnie, jak nocne światła ludzkich siedzib gasną, zbyteczne przy dnia blasku. Szara białość sklepienia stawała się srebrną, ciepłe tchnienie blask srebrny zabarwiło złotem, złoto rozgrzało się w płomień różowy, a zaraz potem jasne czoło wschodu zapłonęło purpurą. Pierwsze dnia tchnienie przemknęło po ziemi, jasne, chłodne, spokojne, — przeniknęło nawskroś jej płaszcz roślinny i jej wód głębiny; ostatnie ślady nocy pierzchnęły, drzewa zadrżały cichem, głębokiem westchnieniem — i zamilkło wszystko. W tej samej chwili jednym potężnym ruchem słońce wypłynęło z pod horyzontu. Serafina spotkała pierwsze jego strzały okiem pełnem zachwyty, lecz olśniona blaskiem, spuścić musiała powieki. Spłoszone cienie przypadły do ziemi, rozplływając się w nicość. Dzień był. Dzień panował jasny, olśniewający, blasków pełen. Po sklepieniu czystem zwycięskie słońce płynęło powoli, wznosząc się coraz wyżej, królewskie i majestatyczne.

Serafina, oparta o pień starej sosny, upojona cudownym widokiem, na chwilę uczuła, że ją siły opuszczają: tak wiele szczęścia objąć nie mogło jej serce. I tyle wrażeń! Wszy-

stkie odżyły na nowo wspomnieniem: noc, las i trwoga, — pierwszy brzask jutrzeńki, radość—i dzień znów jasny, długi..

Dlaczegoż z nim razem zbudził się w niej niepokój? Z westchnieniem spojrzała dokoła. Słup dymu, podnoszący się gdzieś z głębi puszczy wzrok jej zatrzymał: oto schronienie człowieka — tam, niedaleko. Jakaś istota ludzka grzeje się przy ognisku. Wątpić o tem nie można. Ludzkie ręce złożyły stos suchych gałęzi, ludzkie tchnienie rozniecilo pośród nich płomienie, które gorącym i czerwonym blaskiem padają teraz na twarz twórcy swego.

I ten obraz tak żywo stanął przed jej myślą, iż uczuła się znowu samą, opuszczoną, zziębłą, słabą. Blask i majestat słońca, powaga natury i piękno puszczy nużyć ją zaczęły i onieśmielać. Jakimże atomem wobec nich była! I osłonięte zacisze domowe, pokój wygodny, ciepłe i jasne ognisko i komfort—w innym zupełnie kierunku zwróciły jej pragnienie. W tej chwili nic bardziej pociągać jej nie mogło: łóżko, stół nakryty, krzesło wygodne — jakież to rozkosze!

Kolumna dymu, tchnieniem wiatru zgięta, zwróciła się w jej stronę, niby gościnnie przewodnik, i zaledwie zdając sobie z tego sprawę, młoda kobieta, instynktem wiedziona, powstała i zwróciła się w gęstwinę lasu, w kierunku pożądanego ogniska.

Opuszczając szczyt wzgórza i schodząc w gąszcz leśny, Serafina rozstała się znów z blaskiem dziennym; tu pod sklepieniem zielonem panował chłód, wilgoć rosy przejmująca i błękitnawy odcień porannego światła. Tylko wierzchołki sosen kąpały się w blasku, który się wlewał miejscami w gęstwinę szeroką, złotą smugą.

Serafina szła ścieżką, krokiem pewnym, przyspieszonym. Dym stracił tu z oczu, lecz usiłowała kierować się podług słońca. Wkrótce nowe znaki za pewniejszych posłużyć mogły przewodników, i ślady rąk ludzkich stawały się bardziej widoczne na każdym prawie kroku: tutaj pień zrąbany, tam drzazgi i odpadki drzewa już usuniętego, tu stos gałęzi,

tam drwa ułożone. Kierując się drogowskazami takimi, wyszła nakoniec na małą polankę, którą jej w pierwszej chwili zasłonił słup dymu. Za chwilę jednak ujrzała w kaskadach spadający potoczek i chatę na brzegu. Przed chatą siedział drwal z twarzą surową, ogorzałą od słońca, i ręce założywszy z tyłu, patrzył na niebo.

Serafina zbliżała się prosto ku niemu, z oczyma palającymi jak gwiazdy, cudownie piękna w nieładzie księżeczego stroju, w łachmanach szat kosztownych. Gwiazdy dyamentów jaśniały w jej uszach, rozdarty stanik i lekka koronka nie osłaniały jej szyi i ramion, suknia w strzępach spływała z jej smukłej postaci. O wschodzie słońca podobne zjawisko w gęstwinie lasu nie było rzeczą naturalną, nic też dziwnego, że surowy prostak cofnął się przed niem z zabobonną trwogą.

Lecz Serafina przemówiła głosem spokojnym:

— Jestem znużoną i zziębłą, pozwól mi odpocząć w swej chacie.

Drwal nic nie odpowiedział; trwoga i pomieszanie malowały się na jego twarzy.

— Zapłacę wam — dodała młoda kobieta niebacznie, a choć pożałowała natychmiast wyrazów, spostrzegłszy iskrę chciwości w spojrzeniu wieśniaka, nie czas było ich cofać. Zresztą, w jej usposobieniu przeszkody i niebezpieczeństwa podniecały tylko energię, — więc nie czekając dłużej na odpowiedź, minęła gospodarza i weszła do chaty.

Wstał i wszedł za nią prawie machinalnie, wciąż jeszcze pogrążony w zabobonnej trwodze.

Wnętrze chaty przedstawiało widok posępny i twardy, ale na kamieniu, który służył za ognisko, ~~ścisła~~ suchych drzazeg i świeżych gałęzi płonął wesoło, napełniając izbę migotliwym blaskiem żywego płomienia. Dla Serafiny było to wystarczającym, nie widziała nic więcej i z dreszczem rozkoszy umieściła się najbliżej ogniska, wyciągając do niego ręce,

grzejąc mokre stopy, zachwycając oko grą jasnych płomieni albo fajerwerkami strzelających iskier.

Drwał, milcząc, patrzył na nią, posępne spojrzenie przesuwiał po kosztownych, choć zniszczonych sukniach, nagiej szyi, rozdartej koronce, klejnotach. Ale nic nie mówił.

— Daj mi co jeść — rzekła księżna. — Przynieś mi tu, do ogniska.

Spojrzał jej w twarz, a potem bez jednego słowa postawił przy niej na ziemi dzban lichego wina, położył kawał chleba, sera i garść surowej cebuli. Chleb był kwaśny i twardy, ser suchy jak kamień, a surowa cebula nie może być także policzoną między książęce potrawy. Lecz Serafina jadła to, co jej podano, odważnie i stanowczo. Głód zaspokoila i piła z dzbanka kwaśne, ciepłe wino. Nie widziała jeszcze dotychczas tak nędznego pożywienia, nie piła z nikim jeszcze z jednej szklanki, lecz kobieta w okolicznościach niezwykle często więcej miewa stanowczości i odwagi od najdzielniejszego mężczyzny.

A przez ten czas drwał nie odwracał od niej wzroku, w którym coraz wyraźniej czytać można było walkę chciwości z zabobonną trwogą.

Serafina w tym wzroku czytała myśl jego i zrozumiała, że czas się oddalić.

Podniosła się, i podając mu florena, rzekła:

— Wszak to wystarczy?

W oczach wieśniaka błysnęło coś dziko, odzyskał nagle mowę.

— Więcej mi się należy — rzekł grubo i szorstko.

— Nic więcej nie mam — odparła spokojnie i przeszła obok niego, nie podnosząc głowy, nie odwracając się, aby nań spojrzeć.

A przecież w duszy miała strach śmiertelny, bo spostrzegła ruch ręki, którym pragnął ją zatrzymać, i ukośne spojrzenie, rzucone zniecka na siekiere u progu.

Szła jednak prosto, krokiem równym i spokojnym, zieloną ścieżką ku stronie zachodniej, dopóki pierwszy zakręt nie skrył jej przed okiem groźnego gospodarza. Tu odechnęła: wydawało się jej, że chciwe oko śledzić jej dalej nie może, i pośpiesznie zwróciwszy w gęstwinę na prawo, biegła co tchu, bez drogi, pomiędzy drzewami, dopóki nie uczuła się zarazem bezpieczną i wyczerpaną.

Słońce podniosło się już dość wysoko, i przez zielone igły złociste promienie przenikały gęstwinę, rzucając czerwone, ogniste plamy na żywiczną korę pni starych i zielone, błyszczące od rosy kobierce mchu i murawy. Silna woń żywiczna napełniła powietrze cudownym balsamem; na pniach sosnowych krople ogniste stały błyszczące, wonne, rozgrzane od słońca. Wiatr zrywał się chwilami i kołysał zlekka blaski i cienie w jakimś tańcu napowietrznym, szybszym niż ruch jaskółki,—i ucichał znowu, czy uciekał gdzieś dalej.

Serafina szła naprzód, nie zatrzymując się wcale, schodząc po pochyłościach, lub wstępując na nie, idąc w słońcu lub w cieniu; czasem stromą ścieżką przesuwiała się pomiędzy skałami, pełznąć po ziemi, niby żmija lub jaszczurka, to przedzierała się bez żadnej drogi przez gąszcz drzew młodych, to w jasnej, odkrytej dolinie kąpała się w blaskach słońca, to ze szczytu wzgórza ogarniała spojrzeniem sąsiednie pagórki, i horyzont szeroki, i kręgi rozległe, które pod jasnym niebem zataczały ptaki.

Niekiedy spostrzegała w dali chatę niską, albo leśną osadę, pośród drzew ukrytą, lecz wtedy śpiesznie zwracała swe kroki w stronę przeciwną. To znowu biała smuga mgły przezroczystej i szmer jednostajny wskazywały bieg potoku u stóp jej, w pobliżu; tu i owdzie przejrzyste i chłodne źródelka biły z pośród kamieni, cienką, srebrną nitką sącząc się po zielonym mchu i niskiej trawie. W dolinkach całe sieci tych potoczków łączyły się, zlewały i szumiały głośno, spadając po kamieniach, albo rozlewając się miniaturowem,

zielono-błękitnem jeziorkiem, albo z wierzchołka skały spadając szeroka, w mgłę stubarwną rozpryskującą się kaskadą.

Serafina, mijając te cuda natury, widziane po raz pierwszy, poła się niemi z pełnym zachwytem podziwem. Tyle wrażeń niezwykłych, nowych i nieznanych odświeżało jej duszę, niby nowe życie, karmiło wszystkie zmysły subtelną rozkoszą, roztaczało przed nią niezbadane światy. A nad pięknnością dziewiczą tej ziemi niebo bez chmurki i słońce złociste.

Kraina piękna!

Znużona wreszcie drogą, pośpiesznie przebytą, zatrzymać się musiała nad wodą, szeroko, chociaż płytko rozlaną na obszernej łące. Duże kamienie, niby wyspy karłów, leżały na tem niezwykłym jeziorze, krzaki zielone ocieniały brzegi, dno mech zaścierał i korzenie sosen, odbijających w tem jasnem zwierciadle swe zielone konary. Serafina lekko pochyliła się także nad powierzchnią i ze zdziwieniem patrzyła w swój obraz. To była ona!.. to zjawisko blade, o wielkich, ogniem błyszczących źrenicach i stroju fantastycznym z książęcych łachmanów... To była ona!

Wiatr lekki, drobną falą marszcząc wód powierzchnię, zmieniał jej rysy; uśmiechnęła się do tego widoku, i obraz, fantastycznie ożywiony ruchem lekko wzburzonej fali, przesłał jej nawzajem uśmiech dobrotliwy i pełen wyrazu.

Długo tak stała, kąpiąc się w promieniach słońca i litując nad sobą, nad nieładem stroju, nagością ramion, podrapanych w biegu, poranionych w upadku; była powalana, brudną i obdartą i nie miała możności, a nawet nadziei doprowadzenia wkrótce do porządku braków swej toalety!

Z uśmiechem i westchnieniem zapragnęła wreszcie skorzystać z naturalnego zwierciadła i zatrzeć chociaż trochę na swej fizygnomii ślady nocnej przeprawy. Umyła twarz i ręce, wyjęła z uszu brylantowe kolce i zawinęła je w cienką chusteczkę, poprawiła cokolwiek nieład swojej sukni i rozpuściła włosy, które osłoniły ciemnym i gęstym płaszczem jej

ramiona i szyję. Przejrzała się w tym stroju, dość zadowolona z pomysłu swego. Przypomniało się jej, że Otton utrzymywał niegdyś, iż jej włosy wydają woń fiołków; chciała przekonać się o tem, lecz potrząsnęła głową ze smutnym uśmiechem i zaśmiała się cicho.

Śmiech dziecięcy odpowiedział jej, jak echo. Podniosła głowę i spostrzegła o kilka kroków, u pnia starej sosny, nad brzegiem wody, dwoje dzieci, dziewczynkę i chłopca, drobnych jak dwie zabawki, śmiejących się z figlarną trwogą. Serafina nie lubiła dzieci, i na widok tej parki uczuła w sercu urazę.

— Kto jesteście? — zapytała głosem dosyć szorstkim.

Dzieci drgnęły i przytuliły się do siebie. Przestraszyła je widocznie, i wyrzucała sobie, że spłoszyła wesołość istot tak drobnych i słabych, a jednakże czujących. Mimoswolnie porównała je do ptaków,—objęła je spojrzeniem: były większe, prawda, lecz o ileż niewinniejsze i nieudolniejsze? Na ich otwartych i jasnych twarzyczkach czytała teraz bojaźń, w oczach, przejrzystych jak woda jeziora, przeglądała myśl każda.

W najlepszych zamiarach księżna postąpiła ku nim.

— Nie bójcie się mnie,—rzekła — chodźcie tutaj!

Ale niestety, w tej samej sekundzie coś mignęło pod sosną, coś się poruszyło, zachwiały się gałązki kilku młodych świerków — i widzenie zniknęło.

Bez śladu.

Serafina stała, jak zastygła w ruchu, upokorzona, zmieszana, zgnębiona... Poczucie samotności boleśnie ścisnęło jej serce. Dwadzieścia dwa lata, prawie 23 skończone, i nikogo na świecie, ktoby ją kochał prawdziwie,—nikogo prócz Ottona! Ottona?.. Kto wie?.. Kto wie, czy i on teraz zechce jej przebaczyć?..

Nagle uczuła taką rozpaczliwą trwogę, iż zrozumiała, że teraz, wśród lasu, oddać się dobrowolnie na pastwę tym myślom—to śmierć albo szaleństwo. Prędeej, uciec od nich!

Odczuła tę myśl raczej, jak dotknięcie rozpalonego żelaza, niż zdała sobie sprawę jasno i wyraźnie; wiedziała tylko, że uciekać trzeba, śpieszyć się, dalej, dalej, byle nie rozmyślać.

I z pośpiechem zwinęła rozpuszczone włosy, stłumiła ból odważnie, i myśląc jedynie o kierunku swej drogi, ruszyła dalej krokiem szybkim i stanowczym.

Było już po dziesiątej, gdy ujrzała wreszcie szeroką szosę, niby rzekę światła, płynącą między dwoma ciemnymi lasami.

Ogarnęło ją szczególne wrażenie, jak gdyby się znalazła u celu podróży, a zarazem teraz dopiero odczuła całe śmiertelne, fizyczne znużenie, całą niemoc i wyczerpanie ostateczne. Jasna, słoneczna droga, ręką ludzką bita, jak nić cywilizacyi łączyła ją znowu ze światem, pokrzepiała otuchą, i jak żyjąca istota, zdawała się udzielać jej opieki. I strudzona, bezsilna, nie myśląc o niczem, położyła się na miękkiej murawie, pod cieniem młodej, rozłożystej sosny, pod strażą bitej drogi. Uczuła, że zapada w sen ciężki i twardy, sen, który spada na nią niby wróg zwycięski, podobny do omdlenia, ale słodki i rozkoszny z chwilą, gdy mu się przestała opierać ostatnim, instynktownym wysiłkiem.

To była najpewniejsza, zupełna ucieczka, przynajmniej na czas jakiś, przed bólem, znużeniem, troską i niepokojem, spoczynek na ojcowskim łonie. Bezwładne ciało w książęcych łachmanach leżało koło drogi pod osłoną sosny, a zadziwione ptactwo, spoglądając na nie, wykrzykiwało głośno swe uwagi z powodu gościa tak niezwyčajnego.

Słońce tymczasem, zwykłą przebywając drogę, coraz wyżej podnosiło się nad horyzontem, granice cienia stawały się krótsze; już złociste promienie objęły swym ciepłym uściskiem nogi uśpionej i zwolna a cicho posuwały się dalej, aby ogarnąć ją całą, kiedy płochliwe ptaki rzuciły wieść nową o zbliżającym się drogą powozie.

W tem miejscu spadek drogi był dość znaczny, to też powóz widocznie posuwał się zwolna, konie z trudnością ciągnęły go w górę, i turkot słyhać było jeszcze dość daleko. W kilka minut jednakże ukazał się człowiek, idący brzegiem szosy. Szedł zwolna, spokojnie, rozglądając się po okolicy, zatrzymując się czasem, aby w notesie, który trzymał w ręku, zanotować jakąś uwagę. Ktoś niewidzialny, śledzący go zblizka, przekonałby się wtedy, że człowiek ów coś mówił do siebie półgłosem, skandując jakieś słowa z rytmicznym akcentem.

Powóz tymczasem słyhać było wciąż zdaleka, — widocznie podróżujący znacznie go wyprzedził.

Był prawie obok śpiącej Serafiny, kiedy spostrzegł ją nareszcie. W wyrazie jego twarzy odmalowało się wielkie zdziwienie; postąpił krok jeszcze z wyciągniętą szyją, z głową naprzód schyloną, machinalnie usiłując jednocześnie wsunąć do kieszeni swój notatnik. Ale po chwili zwykły, obojętny spokój osiadł znów na jego chłodnej fizyognomii. Obok księżny leżał kamień ze znakiem granicznym; nieznajomy usiadł na nim i zaczął uważnie przypatrywać się śpiącej.

Serafina leżała na boku, skulona, prawie zwinięta w kłębek, z czołem opartem na nagim ramieniu; druga ręka spływała bezwładnie wzdłuż ciała. Wyglądała jak przedmiot, rzucony niedbale na ziemię, gdyż nie dawała prawie znaku życia, nie widać było nawet śladów jej oddechu. Cała jej martwa, bezwładna istota była jednym wyrazem śmiertelnego znużenia, tak wymownym, iż nie potrzebował objaśnienia.

Obcy człowiek uśmiechnął się chłodnym uśmiechem, rozpatrywał ją, niby piękny posąg, i prawie mimowolnie, obok wad rysunku czy kolorytu, odkrywać zaczął niedostrzeżone odrazu, a przecież niepospolite zalety tego dzieła Stwórcy. I sumując z matematyczną ścisłością usterki i powaby młodego ciała, ze zdziwieniem spostrzegł, iż rezultat niespodziewanie wypadł na korzyść księżny. Odczuł wdzięk nieuchwytny tej bezbronnej postaci, przypominającej mu złamaną

różę, jeszcze niezupełnie rozwiniętą z pączka — i poruszył się na swoim kamieniu.

— Słowo honoru, anibym uwierzył, że jest tak ładną... — szepnął półgłosem do siebie. — I pomyśleć, że mi nie wolno wspominać o niej ani słowa!

Odetchnął głębiej z wyrazem niezadowolenia i lekko dotknął księżny swoją laską.

Ocknęła się natychmiast i z lekkim okrzykiem, z błędnem spojrzeniem usiadła na ziemi.

Nieznajomy skinął głową w sposób nieokreślony.

— Sądzę, że Wasza Książęca Mość spała przyjemnie? — zapytał z powagą.

Dźwięk głuchy, nieokreślony był całą odpowiedzią księżny.

— Uspokój się, pani, przedewszystkiem — zauważył obcy, własnym przykładem dając jej wzór doskonałej zimnej krwi i panowania nad sobą. — Powóz mój nadjedzie wkrótce, i zdaje się, iż będę miał rzadką przyjemność porwania i uwięzienia panującej księżny.

— Sir John! — zawołała Serafina.

— Na rozkazy Waszej Książęcej Mości.

Zerwała się ruchem szybkim i stanęła przed nim.

— Czy jedziesz pan z Mittwalden? — zapytała.

— Wyjechałem stamtąd dziś rano, i sądzą, iż jestem jedynym człowiekiem, który mniej od ciebie, księżno, może mieć nadzieję powrotu do tego miasta.

— Baron... — zaczęła Serafina szybko, ale umilkła nagle.

— Pani... przyznaję ci zupełną słuszność. — byłaś nową Judytą; jednakże... przypuszczam, iż po upływie tych kilku godzin miło ci będzie usłyszeć, że twa ofiara żyje. Przed wyjazdem dowiadywałem się o jego zdrowie. Powiedziano mi, iż ma się nieźle, ale cierpi bardzo. Tak, tak... w drugim pokoju słyhać jego jęki.

— A książę? Co mówią o nim? Czy wiedzą cokolwiek?

— Słyszałem,—odparł tonem obojętnym, ale z dziwnym wyrazem — iż pod tym względem ty, księżno, sama wiesz najwięcej.

Serafina drgnęła widocznie.

— Czy zechcesz pan być tak wspaniałomyślnym, aby mi na czas jakiś użyczyć powozu?—zapytała z żywym wzruszeniem. — Potrzebuję być w Felsenburgu w sprawie najwyższej wagi. Czy zawieziesz mię tam, sir Johnie?

— Niema rzeczy, której mógłbym odmówić ci, pani—odparł stary gentleman, tym razem z zupełną powagą. — Cokolwiek mogę uczynić dla ciebie, uczynię z całą przyjemnością. Powóz mój, który nadjedzie za chwilę, jest na rozkazy twoje. Ale—dodał po chwili dawnym lekkim tonem—co to znaczy, że nie pytasz mię pani o pałac?

— A cóż on mię obchodzi?—zawołała księżna.—Zdaje się, że go spalono.

— „Zdaje się!” To wspaniałe! — zawołał baronet. — Strata czterdziestu kosztownych toalet nie wzrusza cię, pani, wcale? W istocie, księżno, podziwiam siłę twego charakteru. A państwo? W chwili, kiedy opuszczałem stolicę, ogłaszano stan oblężenia. Nowy rząd już się utworzył tymczasowo, a imiona dwóch przynajmniej urzędników nie są pani obce: jeden z nich—Sabra, zdaje się, iż miał szczęście należeć do twojej służby osobistej... lokaj, jeśli się nie mylę? Jest tam i przyjaciel nasz stary, kanclerz Greisengesang, choć zajmuje podrzędniejsze nieco stanowisko. Ale trudno się dziwić: w podobnych przewrotach pierwsi stają się zwykle ostatnimi, a ostatni pierwszymi—jak mówi Pismo Święte.

— Sir John,—przorwała księżna z wyrazem szczerości—nie wątpię, że to mówisz w najlepszym zamiarze, ale mnie już te sprawy nie obchodzą wcale.

Baronet spojrział na nią ze zdziwieniem, a nie wiedząc na razie, co ma odpowiedzieć, rad był, iż ukazanie się powozu na nowy przedmiot skierowało ich uwagę. Zaproponował, aby pośpieszyli naprzeciwko, co też uczynili oboje

niezwłocznie. Z prawdziwie dworską uprzejmością Anglik pomógł wsiąść księżnie, a następnie zajął sam miejsce obok. Konie ruszyły. Teraz, niby gospodarz uprzejmy, wyjmować zaczął z kryjówek i skrytek, w które wygodny i obszerny powóz hojnie był zaopatrzony,—wyjmować zaczął przeróżne zapasy: owoce, mięso zimne, ciasto, butelkę wina, całą zastawę stołu, zdolną zadowolić smak wybredniejszy. Z ojcowską powagą i dobrotliwym a szczerym uśmiechem grał swoją rolę: zapraszał, zachęcał, usługiwał, podawał, i ulegając może prawom gościnności, pozbył się na tę chwilę śladu złośliwej ironii w całym obejściu. Życzliwość jego zdawała się tak naturalną, iż wzruszyła Serafinę, która zapragnęła wyrazić mu swą wdzięczność.

— Wiem,—rzekła—iż w gruncie rzeczy nie cierpisz mię, baronecie; powiedz mi zatem, dlaczego jesteś dziś tak prawdziwie dobrym dla mnie?

— Szanowna pani, — odparł, nie przecząc jej wcale — jestem wielkim i szczerym przyjacielem twego męża, a do pewnego stopnia jego wielbicielem.

— Pan?! — zawołała. — A mnie powiedziano, że napisałeś o nas straszne rzeczy, o mnie i o Ottonie.

— W istocie, tą dziwną drogą nastąpiło nasze zbliżenie — odrzekł spokojnie Anglik. — Napisałem rzeczywiście „straszne rzeczy” (jeśli to jest wyraz właściwy), dotyczące szczególnie twojej osoby, pani. Mąż twój je czytał i—zwrócił mi wolność, dał pasport, powóz zaopatrzony we wszystko, czego w podróży potrzebować można, a następnie z prawdziwie młodzieńczym zapałem wyzwał mię na pojedynek. Znając cokolwiek jego domowe stosunki, przyznaję, iż byłem pokonany tą szlachetnością, tą prawością bez granic. „Nie lękaj się — rzekł do mnie: — jeśli mię zabijesz, nikt tego nie zauważy tak prędko..” Zdaje się, że ty, księżno, podzielasz to zdanie? Lecz oddalam się od przedmiotu. Otóż starałem się mu wytłómaczyć, że nie mogę przyjąć jego propozycji i że się bić nie będę. „Choćbym

cię spoliczkował?” — zapytał mię wtedy. Znakomite! I nie mogę pomieścić tego w pamiętniku! Jednem słowem, byłem pokonany: podarłem swój skandaliczny rękopis i otworzyłem serce dla człowieka, którego można sądzić, lecz niepodobna nie kochać. Księżciu zatem zawdzięczasz pani, że umilkłem.

Serafina milczała także krótką chwilę. Nigdy nie dbała o to, ażeby być zrozumianą przez tłum, przez ludzi, którymi gardziła; nie czuła tak, jak Otton, tej ciągłej potrzeby pochwał, uznania, hołdów i zachęty; do obranego celu szła prosto i dumnie, z czołem wzniesionem. Lecz przed tym człowiekiem, po tem, co jej powiedział, przed przyjacielem męża — gotową była, pragnęła zniżyć się do wyjaśnień.

— Co myślisz pan o mnie? — spytała nagle.

— To już pani powiedziałem — odparł sir John uprzejmie: — myślę, że powinnaś jeszcze wypić szklaneczkę wina.

— To odpowiedź niegodna pana, baronecie — rzekła stanowczym tonem; — wszak nie masz zwyczaju lękać się wypowiedzania swych myśli? Nazywasz się przyjacielem mego męża, więc w imię tej przyjaźni proszę cię i żądam: mów pan otwarcie!

— Podziwiam twą odwagę, księżno — rzekł baronet; — po za tem jednak, przyznaję, odgadłaś słusznie, iż mało między nami jest sympatyj. Zbyt różnymi się usposobieniem i upodobaniami.

— Czy masz na myśli skandal, baronecie? Czy istotnie był skandal?

— Dostateczny, księżno.

— I pan wierzyłeś temu?

— O pani!.. co za pytanie!

— Dziękuję ci za tę odpowiedź, sir Johnie! — zawołała gorąco Serafina. — A teraz ci przysięgam na honor, na duszę, na wszystko, co jest świętem, że wbrew wszelkim skandalom i opinii całego świata, byłam i jestem uczciwą kobietą.

— Nie wiem jeszcze, czy zgadzamy się, księżno, w pojmowaniu tego wyrazu: uczciwość—zauważył sir John spokojnie.

— Ach! — zawołała z lekkim drżeniem w głosie — względem Ottona byłam niegodziwą, sama wiem o tem i nie to miałam na myśli. Pragnę tylko, abyś pan wiedział, pan, przyjaciel mego męża, chcę, abyś mię zrozumiał: mogę mu spojrzeć w oczy zawsze czystem okiem.

— Być może, księżno; nie chcę o tem sądzić, nie mam żadnego prawa.

— Pan nie chcesz mi wierzyć! — zawołała gwałtownie. — Masz mię za żonę występłą? Sądzisz, że ten człowiek był moim kochankiem!

— Pani, — odparł baronet chłodno i spokojnie — rozdierając pamiętnik, dałem słowo mężowi twemu, iż waszemi sprawami zajmować się już nie będę; przyjmij więc po raz ostatni szczere zapewnienie, że nie pragnę cię sądzić.

— Bo nie chcesz rozgrzeszyć. Rozumiem cię, baroncie. Ale on — on przebaczy, on będzie mi wierzył — on zna mię lepiej!

Sir John uśmiechnął się zlekka, dyskretnie.

— Moje cierpienie bawi pana? — zapytała z nietajoną goryczą.

— Nie cierpienie, księżno, lecz twoja pewność siebie. Mężczyzna nie miałby tyle odwagi tyle wiary w siłę swoich argumentów... Jest to może zresztą bardzo naturalne, i nie wątpię, że słuszne; jednak — jeżeli mówimy poważnie, jeżeli żądasz, księżno, ażebym był szczerym — oto co myślę i czuję w tej chwili: nie mam dla ciebie szczerzego współczucia, ani nawet litości. To, co nazywasz cierpieniem, jest tylko nieuniknioną konsekwencją twych własnych czynów, karą zasłużoną. Byłaś tak doskonałą egoistką w szczęściu, iż w złej doli powinnaś mieć odwagę i siłę pożywania owoców tych, jakie posiadałaś. Gdybyś wcześniej myślała niekiedy o mężu, nie zaś wyłącznie i zawsze o sobie — nie byłabyś dziś samą, opuszczoną, bezsilną, ze śladami krwi na ciele, bezbronną.

skazaną na słuchanie słów gorzkich z ust starego dziwaka i prawd dotkliwszych może, niżeli złorzeczenia.

— Dziękuję panu—rzekła drżącym głosem Serafina.— Masz zupełną słuszność. Proszę, każ zatrzymać powóz.

— Nie, moje dziecko, nie zostawię cię samej na drodze, póki nie będziesz zupełnie spokojną i panią siebie.

Nastąpiło milczenie; powóz toczył się po drodze, wśród skał i lasów. Po niejakim czasie Serafina odezwała się spokojnie:

— Sądzę, iż jestem teraz panią siebie, i wymagam od pana, jak od człowieka honoru, abyś mi pozwolił wysiąść.

— Nie przyznaję słuszności żądaniu twemu, księżno, i proszę cię usilnie, racz korzystać z powozu, który jest na twe usługi.

— Sir Johnie,—rzekła Serafina dumnie—gdybym wiedziała, że na pierwszym kroku śmierć mię czeka na drodze, wysiadłabym bez wahania. Nie mam do ciebie urazy, dziękuję ci za szczerość. Wiem tylko teraz jasno, co ludzie myślą o mnie. Ale oddychać tem samem powietrzem, co ktoś, kto ma o mnie podobną opinię, o!...

Głosu jej zabrakło.

Sir John zatrzymał powóz, wysiadł pierwszy i chciał jej pomóc, ale nie przyjęła jego ręki.

Droga w tem miejscu przestała płynąć po równinie i wspięła się do wysokości, z której dokładnie można było objąć okiem urwisty kant północnej granicy Grunewaldu. Serafina znalazła się na nagiej prawie, wysokiej skale, uwieńczonej kilku nędznemi sosnami, które szął wichrów pogiął i poskręcał. U stóp jej, nisko, błękitniała przestrzeń, zlewająca się w dali na zachodzie z błękitem nieba; przed nią bita droga pięła się coraz wyżej, spadała w doliny i wznosiła się znowu aż do wysokości, na której w oddaleniu widzieć można było samotną, panującą swojem stanowiskiem nad okolicą, wieżę Felsenburga.

Baronet ręką wskazał ją Serafinie.

— Oto cel twej podróży, Felsenburg, księżno! Żałuję, bardzo, iż nie mogę być ci dłużej użytecznym. Przyjmij życzenie szczęśliwej podróży.

Wsiadł znowu do powozu, dał znak, konie ruszyły, i wkrótce ekwipaż jego zniknął z oczu księżny.

Serafina, zostawszy samą na szczycie skały, stała przez długą chwilę nieruchoma, patrząc przed siebie, ale nic nie widząc. Sir John już zniknął z jej myśli bez śladu; nienawidziła go: to wystarczało, by przestał istnieć dla niej; było to cechą jej stanowczej natury, iż czego nienawidziła, albo czem gardziła, przybierało natychmiast rozmiary tak drobne, tak niegodne uwagi, iż zajmować jej dłużej nie mogło.

Inne zresztą wrażenia opanowały jej umysł zupełnie: wspomnienie ostatniego widzenia się z Ottonem stanęło przed nią żywo i plastycznie, ze szczegółami intonacyi głosu, wyrazu twarzy... I cała rozmowa, której mu dotychczas jeszcze przebaczyć nie mogła, ukazała się nagle w innem oświetleniu. Więc tak... On przyszedł do niej pod świeżem wrażeniem odebranej zniewagi, wzburzony i drżący, wprost od sir Johna, z którym stoczył walkę o nią, o cześć jej. Teraz rozumiała. Jakże inne znaczenie nadawała teraz jego wyrazom! O, tak, on ją kochał!.. To było odwagą i męstwem z jego strony, nie słabością.

A ona? Czy była zdolną kochać?.. Mogła wątpić o tem, niestety!..

I hamując łzy, które cisnęły się jej do oczu, stała się nagle jednym gorącym pragnieniem ujrzenia znów Ottona, aby mu wyjaśnić wszystko, by na kolanach błagać go o przebaczenie i zwrócić mu przynajmniej wolność osobistą, której go tak okrutnie pozbawiła.

I pod wpływem tych uczuć, pokrzepiona, silna, szybko ruszyła w drogę, zstępując w doliny, wdzierając się na wzgórze, krążąc i zbaczając od głównego kierunku razem z sze-

roka szosą, dla złagodzenia stromych pochyłości, tracąc z oczu cel główny i widząc go znowu w sieniej dali, samotny, dziki i odosobniony.

ROZDZIAŁ II.

O pewnej cnocie chrześcijańskiej.

Wchodząc do ruchomego swojego więzienia, Otton zauważył, iż nie było puste: w kącie karety, skulona i drobna, siedziała jakaś postać. Światła wewnątrz nie było, a zresztą towarzysz tej przymusowej drogi miał twarz ukrytą w podniesionym kołnierzu podróżnego płaszcza, iż niepodobna było nic odgadnąć z tej sylwetki człowieka.

Pułkownik Gordon usiadł na przednim siedzeniu, zatrzasnął drzwiczki, i w tej samej chwili konie ruszyły z miejsca szybkim kłusem.

Dość długą chwilę trwało zupełne milczenie. Gordon przerwał je pierwszy.

— Doprawdy, panowie, jeśli mamy czas przepędzać w podobny sposób, lepiej było zostać w domu. Na taki zawód, słowem daję, nie liczyłem. Nie wątpię, iż moja rola wydaje się wam niegodną zazdrości, więcej powiem: przykrzejszą, niżli wasza własna; lecz z drugiej strony — rozważcie, panowie, iż jest w tem pewna korzyść, że macie przed sobą człowieka wykształconego, z pewnem wyrobionem zdaniem, który próbował pióra nie bez powodzenia, i którego rozmowa — śmiem sobie pochlebiać — oprzeć się może na gruncie poważnym. W żołnierskiem życiu podobna sposobność, jaka mi się zdarzyła, dzięki waszemu nieszczęściu, nie jest do pogardzenia; przyznaję, iż obiecywałem sobie bardzo wiele; więc błagam was, panowie, nie burzcie mych rozkosznych złudzeń! Mówiłem sobie: wprowadzam

w ciszę i samotność kwiat dworu — prawda, bez płci pięknej, ale trudno — w każdym razie mam uczonego doktora.

— Gotthold!? — zawołał Otton z najwyższem zdumieniem.

— Tak jest—rzekł doktor gorzko.—Zdaje się, iż musimy podróżować razem. Wasza Książęca Mość na to nie był przygotowanym?

— Co to ma znaczyć?—spytał Otton zdziwiony.—Czyś doszedł do przekonania, że z mego rozkazu jesteś aresztowany?

— Wniosek jest zupełnie prosty.

— Pułkowniku, — rzekł książę — bądź łaskaw wyjaśnić tę sprawę doktorowi Hohenstockwitz!

— Obaj panowie jesteście aresztowani na podstawie tego samego rozkazu, własnoręcznego rozkazu księżny Serafiny, datowanego przedwczoraj w południe, potwierdzonego pieczęcią i podpisem pierwszego ministra, barona Gondremarka. Jak widzicie, panowie, odsłaniam przed wami tajemnicę więzienia.

— Przebacz mi, Ottonie... przebacz niesprawiedliwe moje podejrzenia—prosił żałośnie Gotthold.

— Nie wiem, czy zdobędę się na to, Gottholdzie. Nie wiem, czy będę mógł.

— A ja—przerwał Gordon—jestem pewien, iż Wasza Książęca Mość uczyni to wspaniałomyślnie. Niech mi jednak będzie wolno wtrącić w tej sprawie słówko. W ojczyźnie mojej religia, którą wyznajemy, naucza, iż „łaska” różnemi drogami zstępuje w duszę ludzką; otóż chcę zaproponować panom jedną drogę.

To powiedziawszy, zapalił latarkę, umieszczoną w rogu karety, a następnie ostrożnie wyjął z pod siedzenia mały koszyczek miłej powierzchowności, z którego wysuwała się ciekawie szyjka najpowabniejszej pod słońcem butelki.

— Tu spem reducis!..—zawołał wesolo.—Panie doktorze, proszę dokończyć tego ustępu. Panowie,—ciągnął dalej—

w przekonaniu własnem czuję się i uważam do pewnego stopnia za gospodarza domu, mającego zaszczyt przyjmować najdostojniejszych gości: sądzę jednak, panowie, iż pojmujecie obaj całą trudność i drażliwość mojej roli, i jako ludzie delikatni, więcej nawet: subtelni, nie zechcecie mi jej utrudniać, odmawiając zaszczytu uznania się za moich gości. Nie wątpiąc o tem ani na jedną sekundę, ośmielam się wznieść zdrowie księcia!

— Na honor, pułkowniku, przekonywam się w tej chwili, — odparł uprzejmie Otton — iż los dał nam przynajmniej najweselszego gospodarza. Wznoszę nawzajem zdrowie pułkownika Gordona!

I po raz wtóry wypróżnili szklanki. W tej samej chwili turkot kół oznajmił, iż karetą wjechała na bity gości-niec i z podwójną szybkością podążać zaczęła do celu.

Nie psuło to humoru podróżnym. Wesołość zagościła trwale między nimi. Wewnątrz karety — ciepło, jasno, gwaro, brzęk szkła, śmiech, przedzrowia, ożywiona rozmowa, migotliwy blask lampy, nocny powiew wiatru, niosący zapach rosy, wilgoci i lasu. Przez otwarte okna, przy blasku gwiazd, widać przesuwające się wzdłuż drogi plamy pól jasnych, mglistych i ciemnych, balsamicznych lasów; turkot kół, uderzenia podków o grunt twardy i tętent koni, w pewnem oddaleniu biegnących za karetą, mieszały się z gwarem wesołych głosów ludzkich. Wino ożywiło barwą rumieńca nawet bladą twarz Gottholda, kieliszki krążyły żywo i wesoło, zmieniały się toasty, życzenia, grzeczne i uprzejme słówka.

Po pewnym czasie jednak gwar zaczął przycichać, coraz częściej i dłużej po głośnym wybuchu następowało milczenie i spokój, przerywany śmiechem lub szeptem poufnym.

— Ottonie, — przerwał Gotthold jedną z tych chwil — wiem teraz, że nie mam prawa prosić cię o przebaczenie. Nie proszę o nie. Ja na twojem miejscu nie umiałbym przebaczyć!

— Tak się to mówi — odparł z cichem westchnieniem książę. — Przebaczyłem ci zresztą, chociaż słowa twoje i podejrzenia utkwily mi w sercu. I nie w mojej mocy usunąć je stamtąd. Czy tylko twoje?.. Daremnie byłoby wobec rozkazu, który spełniasz, pułkowniku, ukrywać i osłaniać domowe rozterki. Nie ja wydałem je na pastwę tłumy. A więc, panowie, czy zdaniem waszem mogę przebaczyć własnej żonie? Przebaczam jej, jednakże... przebaczenie nie jest jeszcze zapomnieniem. I wina przebaczona nie zawsze być może usuniętą bez śladu. Przebaczyłem jej, prawda, nie myślę o zemście, ale nie w mojej mocy, aby ta kobieta pozostała dla mnie tem samym, czem była.

— Wasza Książęca Mość zechce pozwolić mi wtrącić słówko — podjął pułkownik. — Wszak się nie mylę, sądząc, iż mam do czynienia z chrześcijanami? A na zasadzie tej Boskiej nauki, którą wszyscy wyznajemy, czyż każdy z nas nie jest słabym i nędznym grzesznikiem?

— Mów za siebie, pułkowniku! — przerwał gorąco Gott-hold. — Co do mnie, dzięki kropli szlachetnego wina, które wróciło sprężystość mej myśli, nie poddaję się podobnemu wyrokowi. Odrzucam twą zasadę, pułkowniku.

— Jakto? — zapytał Gordon. — A więc czujesz się doktorze, bez winy? A jednakże przed chwilą prosiłeś o przebaczenie? Prosiłeś towarzysza własnej twej niedoli, nie Boga, Pana światów!

— Na to nie mam odpowiedzi... poddaję się — rzekł doktor. — Widzę, iż dysputa jest niebezpieczną z panem; masz cały zapas argumentów, z którymi walczyć trudno.

— Pochlebiasz mi, doktorze! Chociaż — w swoim czasie — byłem istotnie dosyć mocno uzbrojony w uniwersytecie w Aberdeen. Ale powracając do kwestyi przebaczenia win, ja rozstrzygam ją w ten sposób: czystość zasady, słabość natury ludzkiej. I w tem zawiera się wszystko. Co do was, panowie, zbyt wysoko cenię zasługi wasze, abym mógł stawić was w szeregu ludzi, potrzebujących przebaczenia.

— Trochę sztuczny paradoks — zauważył Gotthold.

— Przepraszam, pułkowniku; teraz mnie pozwól otwarcie wyrazić swoje zdanie—wtrącił ksiązę.—Przyjmuję słowa twoje jako wyraz przekonania, mimo to jednak, ileż w nich okrutnej i gryzącej ironii! Czyż przypuszczasz, że pochwały mniemanych cnót moich mogą mi być przyjemne w chwili, gdy (przyznaję jak ty, z całą szczerością) pokutować muszę za wszystkie winy przeszłości?

— Winy? — powtórzył Gordon. — Przebac, ksiązę, ale mojem zdaniem, żaden z was nie wie nawet, co to wina. Żaden z was nie był wyrzuconym z kursów teologicznych za zaniechanie obowiązku. Żaden z was — a ja byłem wypędzony. Co tu mówić!... Zaniechanie obowiązku — czy wy wiecie, co to znaczy? Prawdę mówiąc, było to po pijanemu. Odtąd nie upijam się nigdy. Wasza Książęca Mość, — ciągnął drżącym nieco głosem, napełniając na nowo swoją szklanke — mogę pić bez końca, ale upić się nie mogę — to wspomnienie mię trzeźwi. Kto nie stracił pamięci, ten pijanym nie jest! Wszak zgodzicie się na to? Tak, panowie, najdosłojniejsi goście moi, kto się przekonał, iż sam własne życie uczynił zwiędłym liściem, marną igraszką losu, ten w kwestyi przebaczenia ma swoje teorye. Być może, iż z chwilą, kiedy wreszcie przebaczę sam sobie, przestanę przebaczać innym — lecz nie prędzej. A co prawda, panowie, dzień taki wydaje mi się jeszcze bardzo odległym. Aleksander Gordon, mój ojciec, sługa świętej Ewangelii, był człowiekiem bez winy... lecz twardym dla bliźnich. Ja złym jestem i słabym — więc muszę być pobłażającym. W tem różnica. I dlatego może, człowiek, który nie umie przebaczać, będzie dla mnie zawsze jedynie młokosem.

— Słyszałem jednak wiele o pańskich pojedynkach — zauważył Gotthold spokojnie.

— To co innego, panie, najzupełniej co innego: wprost kwestya etykiety. Nie przeszkadza mi to wcale do chrześcijańskiej wyrozumiałości.

Oparł głowę o poduszki i po krótkiej chwili zasnął snem mocnym, zdrowym, połączonym z lekkim chrapaniem. Książę i doktor spojrzeli na siebie.

— Śmieszny żołdak — rzekł Gotthold.

— I niezwykle dozorca. Z tem wszystkiem jednak ma wiele słuszności.

— Tak—dodał Gotthold tonem zamyślenia, jakby napół do siebie; — rozpatrzywszy to lepiej, przyznać trzeba, iż słusznie nie mamy prawa przebaczać sobie, skoro tak trudno jest przebaczyć innym.

— Czyż zbyt pobrażliwość nie przynosi ujmy?—zapytał Otton.— Czyż nie kładzie jej granic naturalne poczucie własnej godności?

— Poczucie godności! A znasz ty człowieka, któryby rzeczywiście czuł się godnym szacunku? W oczach takiego oto prostego żołnierza możemy uchodzić za ludzi honoru, ale we własnych?.. Czyż nimi jesteśmy w istocie? Nazewnątrz szyld, jaskrawo, pięknie malowany, ale wewnątrz — deliquium, bezwładność i niemoc.

— Być może...—odparł książę—tak.. co do większości. Lecz ty, Gottholdzie? Ty, pracowniku niestrudzony, poświęcony idei, nauce, jej celom, gardzący rozkazami i pokusami tego świata — gdzież słabość twoja? Nie wiesz, jak ci zazdroszczę i zazdrościłem zawsze!

— Odpowiem ci jednym słowem, ciężkiem, twardem słowem. Niech to upokorzenie okupi me winy. Ja piję, Ottonie. Skrycie jestem pijakiem. Zrozumiałeś? Ten nałóg odrywa mię od pracy, nauki, pozbawia trud mój istotnej wartości i wpływu na otoczenie. Ten nałóg paczy mi charakter. Ta rozmowa, to moje uniesienie nieszczęśne względem ciebie—czy sądzisz, iż płynęło tylko z miłości prawdy? Niestety, nie umiałbym dziś już sam obliczyć, ile w tem było wina, ile przekonania. Tak, Ottonie, jesteśmy tylko grzesznikami, nędznymi ludźmi, jak słusznie powiedział ten biedak, któremu duma moja śmiała przeczyć. Nędzni grze-

sznicy, rzućni na ziemię, znający dobro, szukający złego, nadzy i zawstydzeni przed obliczem Pana.

— Czy podobna? — szepnął Otton przerażony. — Czy podobna? Lecz w takim razie czemuż są najlepsi pomiędzy nami? Najlepsi..

— Najlepszych niema wcale — przerwał Gotthold. — Najlepszego nic nie może być w człowieku. Nie jestem najlepszym z ludzi, lecz prawdopodobnie nie jestem gorszym od ciebie, albo tego śpiocha. Jestem poprostu pozą, pretensją do czegoś i nic więcej. Wiesz teraz, co masz o mnie myśleć, wiesz, co wart jestem.

— I to nie wpływa wcale na zmianę mych uczuć — odparł Otton łagodnie. — Daj szklanekę, Gottholdzie, wypijemy teraz za trwałość ostatniego dobra w tem złem życiu: wypijemy za przyjaźń naszą. A następnie zapomnij o słusznej przyczynie do urazy i żalu i wypij razem ze mną za zdrowie mojej żony; żony mojej, względem której zawiniłem, i która zawiniła wobec mnie nawzajem; żony mojej, którą lekkomyślnie opuściłem w niebezpieczeństwie. Cóż to znaczy, czy jesteśmy złymi czy dobrymi, póki możemy kochać i jesteśmy kochani?

— Brawo, Ottonie! To najlepsza odpowiedź na pesymizm, to najwyższy cud wśród ludzkości! Więc kochasz mię jeszcze? Możesz przebaczyć swej żonie? W takim razie mamy prawo krzyknąć na sumienie, aby milczało — głos jego jest podobny do głosu psa, który szczeka na cień.

Obaj przyjaciele zapadli w milczenie; doktor bębnił palcami po pustej szklaneczce, Otton wyglądał oknem.

Powóz tymczasem wyjechał z doliny i posuwał się płaskim grzbietem wyniosłości, stanowiącej z tej strony granicę Grunewaldu i Gerolsteinu. Na prawo, u stóp lasu, spowity w mgły jasne, spadając tu i owdzie szumiącą kaskadą, toczył się bystry strumień w szeroką równinę, nad którą rozpostarła się noc czarna, nieprzejrzana. Na lewo światło latarni powozu przesuwowało się po skalistej ścianie

lub oświetlało brzeg czarnej przepaści; tu i owdzie niska, karłowata sosna błysnęła nagle wszystkimi igłami, aby za chwilę zniknąć w nocnym mroku. Z pod kół żelaznych sypały się iskry od uderzenia o grunt granitowy. Tu i owdzie na skręcie Otton spostrzegał w pewnem oddaleniu oddział ułanów, eskortujący karetę.

Nakoniec tuż przed nimi, na skale wysokiej, dumnie się wznosząc ku sklepieniu nieba i rysując na niem swym twardym konturem, ukazała się wieża Felsenburga.

— Patrz, Gottholdzie, oto nasze przeznaczenie—rzekł ksiązę głosem spokojnym.

Doktor zbudził się z zadumy.

— Myślałem o tem, — rzekł z cichem westchnieniem — dlaczegoś się dał porwać, wiedząc o niebezpieczeństwie? Mówiono mi, żeś przyjął rozkaz bez oporu. A czy nie powinienś być pozostać, choćby wbrew jej woli, dla niej samej, ażeby jej bronić?

Otton zbladł mocno, ale nic nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ III.

Rola hrabiny Rosen; akt ostatni, w którym znika nam z oczu.

Nie będzie w tem przesady, jeżeli powiemy, że opuszczając pokój Serafiny, pani Rosen uczuła pierwszy dreszcz trwogi śmiertelnej. W korytarzu przystanąła, usiłując zebrać myśli, zdać sobie sprawę z własnych słów i czynów. Wachlarz przybierał znowu wymowne pozycye, lecz ani ruchy jego, ani chłód orzeźwiający nie mogły jej powrócić utraconego spokoju i pogody umysłu.

„Mała straciła głowę—pomyślała wreszcie.—Zdaje mi się jednakże, — dodała po chwili — iż zaszałam zbyt daleko.”

I w mgnieniu oka zdecydowała się ustąpić, na czas jakiś przynajmniej, na pierwszy ogień zniknąć z niebezpiecznej sceny.

W podmiejskim lesie, w zacisznym ustroniu, pani Rosen posiadała własną willę, którą w poetycznym natchnieniu nazwała: „Czar Leśny,” lecz którą ludzie pospolici nazywali poprostu: Mała Struga. Tam postanowiła znaleźć bezpieczne schronienie, póki się nie wyjaśni stosunek jej do Gondre-marka.

Powóz jej oczekiwał; nie zwlekając dłużej, ruszyła w drogę. W pałacowej bramie minęła się z baronem, udając jednakże, iż go nie widzi, a ponieważ Mała Struga położoną była przeszło o dwie mile od stolicy, w głębi niewielkiej, zamkniętej doliny, hrabina przepędziła w niej noc, nic nie wiedząc o zaburzeniach w mieście — las i wzgórza stłumiły wszelkie echa wrzawy i zasłoniły jej widok pożaru.

Mimo to pani Rosen źle spała tej nocy: możliwe lub nieuniknione następstwa wczorajszego tryumfu i wszelkich rozkoszy stawały przed nią w coraz innej formie, a zawsze niepokojące i groźne. Widziała się już skazaną zaocznie na przymusowy pobyt w tej pustelni, na niełatwą i przykrą piśmienną obronę swojej osoby i postępowania, a chwilami wątpiła, czy wrodzona zręczność i tym'razem zapewnić jej zdoła zwycięstwo.

Z nudów, od niechcienia, przejrzała tymczasem papiery, otrzymane od Ottona i przekazujące jej prawo własności kupionego folwarku. Lecz i to nie rozjaśniło jej myśli: w czasach tak niespokojnych folwark nadgraniczny nie nęcił jej bynajmniej, a oprócz tego przekonaną była, iż go przepłacono, i drogą sprzedaży nie mogłaby odzyskać włożonych pieniędzy.

W gorączkowym rozstroju rozkaz uwolnienia księcia poprostu palił ręce intrygantki, podniecał ją, nasuwał jej tysiączne myśli, plany, zamiary, chęci.

Nie mogła doczekać się ranka.

Dzień ujrzał ją na koniu, w długiej amazonce i kapełuszu z dużym rondem, podążającą w stronę Felsenburga. Być może, iż nie miała jeszcze jasnego planu, lecz przede-wszystkiem chciała własnymi oczyma zobaczyć, co się stało, a następnie dać folgę nerwowej potrzebie ruchu, czynu, działania.

Komendant Gordon, wezwany do furty, przyjął wszechpotężną hrabinę z młodzieńczą galanterią, jakkolwiek przy świetle dziennem okazał się człowiekiem nie pierwszej już młodości.

— Mamy niespodziankę, panie komendancie!—zawołała hrabina tajemniczo, skinąwszy głową z pełnym wyrazu spojrzeniem.

— O pani, świat mój kończy się obecnie na tym progu — odparł pułkownik; — pozostaw mię w spokoju z moimi więźniami, chyba iż sama zechcesz dzielić nasze losy. Przyznaję, iż w tym razie byłbym najszcześliwszym z ludzi.

— Psułybyś mię pan, nie prawdaż?

— Usiłowałbym, hrabino — odparł uprzejmie Gordon, podając jej ramię.

Przyjęła je z uśmiechem, zebrała tren długi, i zalotnie przysuwając się do pułkownika, mówiła tonem swobodnym i szczerym:

— Przybyłam, aby zobaczyć się z księciem... Człowieku małej wiary, tylko bez podejrzeń: kwestya stanu i sprawy państwa! Jestem posłem Gondremarka, i jego to wola zrobiła ze mnie w tej chwili kuryera. Czy wyglądam na kuryera, panie Gordon?

I spojrzała mu w oczy swym pałacym wzrokiem.

— Wyglądasz pani na anioła z nieba — odparł komendant z wyszukaną grzecznością.

Ale hrabina wybuchnęła śmiechem.

— Anioł z nieba na koniu!—zawołała wesoło.—Wspaniały widok!

— Zjawiałaś się tu, pani, spojrziałaś i zwyciężyłaś — mówił tymczasem Gordon, podnosząc wymowę swą pięknym gestem, szczerze zachwycony własną swoją osobą i dowcipem. — W drodze piliśmy twoje zdrowie, pani... piliśmy je winem starem, znakomitem... zdrowie najpiękniejszych oczu w Grunewaldzie! Co do mnie, nie widziałem jeszcze takich w życiu... chyba raz jeden, tam, w ojczyźnie mojej, kiedy byłem jeszcze młokosem w kollegium... Nazywała się Tomasina Haig, i słowo daję, jak dwie krople wody podobną była do ciebie, o pani.

— Widzę z tego, że w drodze było wam wesoło — zauważyła hrabina, z wdziękiem tłumiąc ziewanie.

— Tak, na honor! Bawiliśmy się rozmową najprzyjemniejszą w świecie. Zdaje się tylko, iż wypiliśmy więcej, niż książkę jest przyzwyczajony, i zauważyłem dziś rano, iż wygląda na zgnębionego. Ale przed wieczorem humor mu powróci, postaramy się o to... To drzwi księcia Ottona.

— Dobrze — szepnęła; — pozwól mi pan odetchnąć... Nie, nie, nie odchodź. Bądź mi gotów drzwi otworzyć.

I prostując się, niby pod wpływem natchnienia, hrabina swoim pięknym, pełnym głosem zaczęła śpiewać: „Lascia ch'io pianga...” W chwili, gdy z patetyczną deklamacją wybuchnęła potęgą żalu po wolności, drzwi otworzyły się na jej skinienie, i lekka postać, z okiem błyszczącym zapałem, świeża i jasna, niby promień słońca, wbiegła do pokoju księcia. Było to wejście prawdziwie sceniczne i spadło na Ottona, jak zbudzenie ze snu.

— Pani tutaj?—zawołał, śpiesząc naprzeciwko.

Rzuciła na Gordona znaczące spojrzenie, a skoro drzwi zamknęły się za pułkownikiem, padła na szyję księcia.

Zdało się jej wszakże, iż Otton w tym uścisku zesztyniał. Cofnęła się też zaraz.

— Moje biedne dziecko,—rzekła ze współczuciem, obejmując go spojrzeniem — biedne dziecko! Siądź tutaj, przy

mnie, blisko, i opowiedz wszystko. Serce mię boli, gdy patrzę na ciebie. Jakże ci czas upływa?

— Pani, — odparł księżę, odzyskując zwykłą swoją galanteryę — do chwili oddalenia się twego czas zbyt szybko upłynie. Lecz nie o to chodzi. Pragnę zapytać: co nie siesz nowego? Wyrzucam sobie gorzko swoją wczorajszą apatyę. Rada twa dobrą była... dobrą, rozumną, szlachetną. Powiniennem był zostać, powiniennem był stawić opór gwałtowi... Zbłądziłem. Lecz ty, pani, jaśniejesz w mych oczach wszystkimi przymiotami prawdziwego przyjaciela. Masz prawe, szlachetne serce.

— Zlituj się, Ottonie! To za wiele. Ja nie wiem... nie wiem, jakie mam serce. Drogie, biedne me dziecię—ja mam także obowiązki — lecz kiedy ciebie widzę, zapominam o nich — wszystkie najlepsze me postanowienia we mgłę się rozplywają.

— Moje zazwyczaj przychodzą za późno — westchnął Otton ze smutkiem. — Cóżbym dziś dał za to, żebym był wczoraj oparł się przemocy. Cóżbym dziś dał za wolność!

— Za wolność?.. Co dałbyś?—spytała żywo.

Wachlarz rozwinął się szybko i twarz zasłonił, oczy tylko z po za niego błyszczały, jak dwie gwiazdy.

— Ja?.. Co to ma znaczyć? Co chcesz pani powiedzieć? Jaką masz dla mnie nowinę?

— O! o!... — szepnęła z miną tajemniczą.

Księżę upadł jej do nóg.

— Nie żartuj, hrabino, nie igraj tak okrutnie z moim sercem!—błagał.—Powiedz, o, powiedz, droga pani Rosen! Tyś prawa, tyś szlachetna, ty nie masz w naturze okrucieństwa... O, powiedz! Powiedz, co dać mogę? Wiesz, że nic nie mam... Nic! Błagać mogę tylko.

— Nie prosz, Ottonie, to za wiele dla mnie! Znasz moją słabość, zlituj się nade mną; o, bądź wspaniałomyślny!

— Ty, pani, tylko możesz być wspaniałomyślną, ty miej litość!

Kłęczął przed nią, okrywając ręce jej pocałunkami, powtarzając błagania, zaklęcia i prośby. Hrabina z przyjemnością przedłużała ten szturm gorący, wkońcu jednak dała się wzruszyć. Wstała nagle, rozpięła stanik gorączkowo i rozkaz, ciepły jeszcze od zetknięcia z ciałem, rzuciła na podłogę.

— Masz go! — zawołała. — Wydarłam jej! Na moją zgubę zrób z tego użytek!

I odwróciła twarz, jak gdyby chciała ukryć silne wzruszenie.

Otton pochwycił papier i wydał okrzyk radości.

— Niech będzie błogosławiona!.. Dzięki, dzięki, dzięki!..

I ucałował papier.

— Niewdzięczny! — rzekła posepnie hrabina. — Wszak to ja jej wydarłam. Aby to etrzytać, zdradziłam swoich, a ty jej dziękujesz!

— Czy możesz mieć mi to za złe, hrabino? Kocham ją.

— Widzę, niestety... a mnie?

— Ciebie, hrabino? Tyś jest moim przyjacielem, najdroższym i najszlachetniejszym. Byłabyś mi najmiłszą i najbliższą razem, gdybyś nie była tak zachwycającą. Sama wiesz o tem. Wiesz, jaki urok rzucasz. Bawiłaś się nieraz słabością moją, i przyznaję, chętnie brałem wówczas udział w tej miłej zabawie... Lecz dziś nie... Dziś stanęłaś przede mną w innej, wyższej roli, jak przyjaciel prawdziwy, prawy, pewny i poważny, i pozwalasz zapomnieć, że ty jesteś piękną, a ja bywałem słaby. Dziś przyjacielem tylko jesteś dla mnie, któremu dłoń podaję z ufnością, miłością i głębokim szacunkiem.

Wyciągnął rękę, którą uścisnęła szczerze.

— Oczarowałaś mię, książę — szepnęła. — Nie mogę nazwać inaczej wrażenia, jakie rzuciłeś na mnie.

Nagle wybuchnęła śmiechem.

— Otóż złamałam moją łaskę czarnoksiężką! — zawołała wesoło: — nie mam jej! Pozostaje mi jedynie złożyć ci, książę,

moje wysokie uznanie: wywiązałeś się świetnie z trudnego zadania, i przyznać muszę, żeś o tyle zręczny, o ile mnie uważasz za zachwycającą.

Położyła nacisk na ostatni wyraz i uśmiechnęła się przytem wymownie.

— Pani,—rzekł Otton—nie zgadza się z naszą umową, abyś była tak piękną, jak jesteś w tej chwili.

Błagalnie i poważnie patrzył w jej wielkie oczy. Hrabina energicznie potrząsnęła głową.

— To mój ostatni nabój—odparła z westchnieniem.— Teraz jestem bezbronną. To tylko muszę ci jeszcze powiedzieć: jeżeli chcesz opuścić to więzienie, jesteś wolny, a ja — zgubioną. Wybieraj.

— Już wybrałem, hrabino, i jadę natychmiast. Obowiązek mię wzywa, którego Książę Piórko zbyt długo zaniedbywał. Ale się nie lękaj: ty nic na tem nie stracisz. Oddaję ci się dobrowolnie, z władzą nieograniczoną. Prowadź mię do barona, niby wilka w sieci. Nie mam żadnego wstydu i żadnej ambicyi: uczynię wszystko, czego będzie żądał, a za tę cenę pragnę jedynie ocalić żonę moją od grożącego jej niebezpieczeństwa. I bądź pewną, iż zadowolę jego wymagania, choćby był Lewiatanem. Wszyscy więc otrzymamy to, czego pragniemy, dzięki tobie, dobra wróżko tej czarodziejskiej sztuki!

— Zgoda — rzekła hrabina. — Przyjmuję ten układ. Od tej chwili nie istnieje Książę Piórko, jest tylko Książę Solon, Książę Wielki Czarodziej. Jedźmy więc zaraz! Ale—przerwała z żywością — pozwól mi, książę, jeszcze zwrócić sobie te papiery. Tobie się podobał ten piękny folwarczek, ja nigdy go nie widziałam. Ty chciałeś oddać przysługę staremu wieśniakowi... A zresztą, — dokończyła z komicznem zakłopotaniem—prawdę mówiąc, wolę gotówkę.

Roześmieli się oboje.

— Więc jestem znowu gospodarzem wiejskim, — westchnął Otton—i do tego zadłużonym!

Hrabina nacisnęła dzwonek, i komendant stanął na progu.

— Panie komendancie,—rzekła ze spokojną powagą—zabieram z sobą dostojnego więźnia. Rozmowa nasza dowiodła, iż zgadzamy się pod każdym względem, a tem samem zamach stanu już skończony. Oto rozkaz.

Pułkownik Gordon założył na nos srebrne binokle i uważnie odczytał papier.

— Tak...—rzekł—księżna, to dobrze, ale pierwszy rozkaz był podpisany...

— Przez Henryka—dokończyła pani Rosen.—Tak jest, i dlatego właśnie jestem tu osobiście, aby go reprezentować.

— W takim razie—z ukłonem odezwał się Gordon—pozostaje mi tylko życzyć księciu panu wszelkich przyjemności, których ja zostałem pozbawionym. Piękność zdobyła cię, Mości Książę, a ja pozostanę tu sam, aby nad tem ubolewać ze względu na samego siebie. Na szczęście, pozostawiono mi jeszcze doktora: probus, doctus, lepidus, jucundus... autor, człowiek uczony.

— To prawda,—zawołał książę—w rozkazie nie wspomniano wcale o Gottholdzie.

— Na pociechę dla komendanta. Czyż chciałbyś go, książę, zostawić tu samego?

— Wasza Książęca Mość pozwoli jeszcze — wtrącił Gordon — zapytać, czy mam prawo powiedzieć sobie, iż w czasie tego krótkiego zaćmienia słonecznej tarczy Waszej Książęcej Mości spełniłem rolę swoją z należnym szacunkiem, dodałbym: z pewnym, taktem? Wesołość moja była przybraną rozmyślnie. Sądziłem, że dobre wino i swobodny humor to najlepsi towarzysze i pocieszyciele.

— Towarzystwo twoje, pułkowniku, było wystarczającym i najlepszym pocieszycielem — rzekł Otton, wyciągając

rekę do komendanta. — Dziękuję ci nietylko za twój dobry humor, lecz i za twoją lekcję filozofii, której potrzebowałem do pewnego stopnia. Mam też nadzieję, że to nie ostatnie nasze spotkanie; tymczasem na pamiątkę chwil razem spędzonych pozwól ofiarować sobie ten drobny wierszyk, nad którym pracowałem w chwili przybycia hrabiny. Lichym jestem poetą, a krata więzienna nie sprzyjała natchnieniu, które wolność kocha; lecz zachowaj go jako osobliwość.

Na twarzy komendanta odmalowała się radość promienna, z pośpiechem włożył na nos swe srebrne binokle i przysunął papier do oczu.

— Aleksandryny! — zawołał z zapalem. — Miara tragiczna... Miłościwy książę, pamiątka ta stanie się dla mnie relikwią... Nie powinienem może mówić tego o sobie, a jednak jest to prawdą, iż nie mogłeś wybrać dla mnie właściwszego daru.

„Boże przestrzeni wielkich i rozległych lasów...” — czytał półgłosem.

„...i od dozorczy przyjmować naukę!..”

— Ależ to nieporównane!

— Bardzo piękne, komendancie; ale przeczytasz te wiersze, skoro ruszymy w drogę, a tymczasem, proszę, otwórz nam bramy naszego więzienia. Czekają na nas! — zapewniała pani Rosen.

— Przepraszam tysiąc razy! Ale wiersz ten dla człowieka mego usposobienia, moich upodobań... I ta aluzya do naszej rozmowy... wzruszyła mię głęboko. Czy mam dać eskortę?

— Nie, nie! — zawołała z pośpiechem hrabina — opuścimy to miejsce incognito, tak, jak znaleźliśmy się tutaj. Pojedziemy oboje konno. Pośpiech i tajemnica — oto wszystko, czego pragniemy i żądamy od ciebie, komendancie.

I niecierpliwie pośpieszyła naprzód.

Lecz Otton musiał jeszcze pożegnać się z Gottholdem, a komendant z papierem w ręku i binoklami na nosie, dzielił się swą radością i wzruszeniem z każdym napotkanym po drodze podwładnym, odczytując mu stosowne ustępy i wyrażając o nich swoje zdanie. I z każdym nowym wierszem zapał jego wzrastał.

— Słowo honoru!—zawołał nakoniec tonem człowieka, który odkrył wielką tajemnicę — słowo honoru, ten wiersz przypomina znakomite utwory Burnsa!

Wszystko jednakże kończy się na świecie, i książę znalazł się nakoniec obok hrabiny Rosen, przechadzającej się tam i napowrót dosyć nerwowym, niecierpliwym krokiem po murawie przed zamkiem. Tuż obok służący oprowadzał dwa konie, gotowe do drogi. Dokoła świat szeroki, słońce, lekki wietrzyk, śpiew ptactwa, niebo i przestrzeń bez końca, wolność! A bliżej—skały, szum potoku, jasna zieloność murawy i droga równa, gładka.

Z początku w milczeniu jechali obok siebie, gdyż jakkolwiek Otton pragnął się przygotować do rozmowy z Gondremarkiem, rozkosz swobody i piękność natury pochłaniały go z siłą, której oprzeć się nie umiał. Skoro jednak zjechali ze skalistej wyniosłości, na której wznosiła się wieża Felsenburga, i groźne mury skryły się przed ich oczyma, hrabina odezwała się wesoło:

— A teraz oddamy konie Karolowi i pójdziemy przez las piechotą. Szalenie lubię błędzić po bezdrożach. Zsiadajmy, książę.

Lecz w tej samej chwili na skrócie drogi ukazała się karetka podróżna, obładowana, sunąca powoli po pochyłości drogi. Wyprzedzał ją o kilka kroków podróżny, mężczyzna wysoki, idąc krokiem spokojnym, z notatnikiem w ręku.

— Sir John! — zawołał książę.

Podróżny schował naprzód do kieszeni swój notatnik, potem spojrział przez lornetkę na zbliżającą się parę. Po-

znał ich widać, podniósł łaskę w górę, dając nią jakieś znaki. Książę i pani Rosen przyśpieszyli kroku.

Spotkali się na skrócie, gdzie drobny potoczek białą kaskadą spadał ze skalistej ściany i ginął wśród zarośli. Baronet poważnie i z całą etykietą złożył księciu ukłon, pełen szacunku, ale przed hrabiną pochylił głowę lekko, z wyrazem zdziwienia i nieukrywanej ironii.

— Czy to podobna, — rzekł tonem pytania — abyś pani o niczem dotąd nie wiedziała? Pani?

— O czym mam wiedzieć?

— Rzeczy pierwszorzędnej wagi: rewolucya w Mittwalden, Rzeczypospolita ogłoszona, pałac książęcy w popiołach, Gondremark ciężko ranny...

— Henryk! ciężko ranny?! — krzyknęła hrabina.

— I mocno cierpiący — dodał baronet poważnie. — Jęki jego...

Nie skończył, gdyż w tejsze sekundzie z ust hrabiny padło tak grube przekleństwo, iż w każdej innej chwili słuchacze byliby zadrżeli ze zdumienia. W mgnieniu oka zwinna kobieta znalazła się znów na siodle, i nie troszcząc się o nikogo, w pełnym galopie zniknęła im z oczu.

Dopiero po dłuższej chwili, przyszedłszy do siebie, służący pośpieszył za nią, wszystkimi siłami przynaglając do biegu swojego rumaka. Konie u karety, spłoszone tym nagłym porywem, w bok się rzuciły, i z trudem zdołano powstrzymać je na brzegu znacznej pochyłości. Echo uderzeń podków o skalistą drogę rozlegało się ciągle, równe, szybkie, jednostajne: hrabina jak błyskawica mknęła po słonecznej drodze. Na jednym z nagłych jej skrętów kobieta, idąca pieszo i z trudem pod górę, ledwo zdążyła umknąć jej z drogi, zachwiała i padła o kilka cali od przepaści. Lecz hrabina nie zwróciła na nią żadnej uwagi: w tej chwili życie ludzkie nie miało dla niej wartości, jeden cel tylko widziała przed sobą i śpieszyła wciąż naprzód,

poganiając konia, mijając lotem strzały wzgórze i doliny, szalejąc w biegu.

— Gwałtowna kobieta — zauważył baronet. — Nie myślałem, że ją tak obchodzi...

Ale w tej samej chwili znalazł się w objęciach księcia.

— Moja żona! Gdzie księżna! — błagał przerażony Otton.

— Za mną, na drodze, o dwadzieścia minut... rozstał się właśnie...

Lecz księżę już nie słuchał, biegł we wskazanym kierunku, nie troszcząc się o przyjaciela i szczegóły jego informacji.

ROZDZIAŁ IV.

Odzyskana.

Księżę nie zwalniał biegu, śpieszył naprzeciw żony wszystkimi siłami, ale gwałtowne bicie jego serca zamierało powoli. Tracił odwagę. Nie dlatego, aby los Serafimy był mu obojętnym, aby nie pragnął zobaczyć jej znowu, ale wspomnienie jej chłodu i dumy zbudziło się w nim żywo, wywołując zwykle w jego usposobieniu wahanie, niepewność, brak wiary w siebie.

Gdyby sir John przynajmniej miał czas opowiedzieć mu to, co wiedział, gdyby go uwiadomił, iż księżna śpieszyła w kierunku Felsenburga, byłby z zapałem pragnął oszczędzić jej drogi, dążąc na jej spotkanie. Tymczasem z każdą chwilą widział jaśniej, iż znowu powraca do swej roli urzędowego natręta, i wydawało mu się wstrętą niedelikatnością to narzucanie swojej opieki kobiecie nieszczęśliwej i opuszczonej, która w pomyślności odepchnęła go z pogardą. Zraniona miłość własna stała się nanowo raną palącą,

gniew przybierał formę dumnej i zimnej wspaniałomyślności; tak, bez wątpienia, przebaczy jej wszystko, przebaczy bez zastrzeżeń i wyrzutów, osłoni obojętną i zimną małżonkę najtroskliwszą opieką, będzie usiłował ocalić ją, pocieszyć, — lecz spełni to wszystko z chłodem wyniosłym, z milczącym zaparciem się własnych uczuć, szanując jej niechęć względem swej osoby, jak szanowałby niewinność dziecięcia.

W takim usposobieniu spostrzegł ją nakoniec na pustej drodze, i pragnąc natychmiast okazać jasno, w jakiej występuje roli, zatrzymał się i czekał, czy księżna nie cofnie się przed nim.

Serafina ze swej strony ujrzała go także i w pierwszej chwili z okrzykiem radości rzuciła się ku niemu, — widząc jednakże, iż on się zatrzymał, zwolniła także kroku, i schylając głowę pod ciężarem wyrzutów własnego sumienia, postępowala naprzód nieśmiało, ze skruchą, jak winowajca.

Otton stał nieruchomy, gdy się zbliżyła do niego.

— Wszystko zgubiłam! — szepnęła z pokorą.

— Serafino!..—zawołał nieszczęśliwy książę głosem podobnym do łkania.

Lecz umilkł, nie poruszył się z miejsca, nie wyciągnął ręki. Było to po części następstwem powziętych przez niego postanowień, po części jednakże był odurzony widokiem nieładu w stroju małżonki, jej rąk podrapanych, zmęczonej twarzy.

Gdyby przez chwilę jeszcze milczeli oboje, byłiby niewątpliwie padli sobie w objęcia, lecz Serafina także myślała o blizkiem spotkaniu z mężem i przygotowała sobie wyrazy, które zastąpić nie mogły niemego, gorącego uścisku miłości.

— Wszystko zgubiłam sama, — powtórzyła — lecz mię wysłuchaj przez litość, Ottonie. Nie pragnę usprawiedliwiać się przed tobą, lecz wyznać swoje błędy. Otrzymałam tak straszną, surową naukę, iż musiałam je poznać i z goryczą żalu myśleć o nich, o sobie. Świat zmienił się dla mnie. Inaczej go dziś widzę, niż widziałam wczoraj. Byłam głucha

i ślepa, bez czucia, jak kamień. Wzgardziłam rzeczywistym i prawdziwym szczęściem, a żyłam urojeniem. Lecz kiedy sen pierzchnął, kiedy poznałam, że zdradziłam ciebie, i sądziłam przez chwilę, że jestem mordercą...

Zawahała się nagle, twarz jej bladą oblał rumieniec.

— Sądziłam, iż zabiłam Gondremarka,—rzekła—i znalazłam się wtedy nagle samą, jak mi przepowiedziałeś.

Imię Gondremarka jak ostroga ukłuło dumę i wspaniałomyślność Ottona.

— Moja w tem wina jedynie! — zawołał: — ja tylko zawiniłem. Stać obok ciebie było moim obowiązkiem, bez względu na uczucia, jakie miałaś dla mnie. Podałem się lenistwu i słabości, i łatwiej mi było opuścić cię, zamknąwszy oczy na niebezpieczeństwo, niż walczyć z tobą w imię twego dobra. Nigdy nie umiałem spełnić tego właśnie, co jest najpiękniejszym i najwznioślejszym w miłości: walczyć dla niej samej i o nią. A jednak ona żyła w mojem sercu, miłość prawdziwa!.. Teraz, gdy cacko nasze, państwo nasze, stracone niepowrotnie przez brak zasługi z mojej strony i brak doświadczenia z twojej—teraz, gdyśmy oboje nędzni jak Job i sami, mężczyzna i kobieta, nic więcej, — teraz pozwól mi prosić cię o zapomnienie i przebaczenie moich słabości, o zaufanie moim serdecznym uczuciom. Chciej mię tylko zrozumieć!—zawołał gorąco, widząc, iż Serafina pragnie odpowiedzieć.—Chciej mię zrozumieć! W tej ogniowej próbie i moja miłość zmieniła charakter, została oczyszczoną i uszlachetnioną: dziś ona nic nie żąda i na nic nie liczy, nie pragnie nawet twojej wzajemności. Raz na zawsze z ufnością i wiarą zapomnij, że byłem twoim mężem, skoro w tej roli nieszczęsnej zdobyłem tylko twą niechęć i odrazę; od dziś chcę być twym bratem—wszakże to uczucie wstrętu nie budzi w tobie?

— Jesteś zbyt wspaniałomyślnym, Ottonie — rzekła księżna. — Wiem dobrze, iż na miłość twą nie zasługuję,

ale ofiary przyjąć nie powinnam. Porzuć mię lepiej—odejdz i nie troszcz się o mnie.

— Nie,—odparł książę—muszę przedewszystkiem wyrwać cię z tej przepaści, w którą sam cię sprowadziłem; mój honor tego wymaga. Powiedziałem przed chwilą, żeśmy jak Job ubodzy, jednakże—posiadamy coś na ziemi. Z drugiej strony granicy mam niewielki domek, do którego mogę cię wprowadzić. Książę Otton istnieć przestał; zobaczymy teraz, czego dokazać zdoła Otton Myśliwy. Okaż mi przebaczenie swoje, Serafino, powierzając los swój mej pieczy, i podążmy zgodnie do tego schronienia, jedyne, jakie w tej chwili jest istotną naszą własnością. Powiedziałaś niegdyś, droga przyjaciółko, iż--niemożliwy jako mąż i książę — jako towarzysz mogę być przyjemnym. Nie jestem dzisiaj księciem, ani mężem, możesz więc z całą swobodą korzystać z mojego towarzystwa. Pójdźmy więc, śpieszmy,—byłoby nedorzecznnością pozwolić się ująć wrogom. Czy możesz iść jeszcze? Możesz? Tem lepiej — w drogę!

Szli obok siebie w milczeniu, spokojnie, pochłonięci napozór jedynie pragnieniem szybkiego znalezienia się u celu. Nieco niżej w dolinie droga prowadziła przez most nad bystrym i silnym potokiem, który przepływał pod nim czystą, szumiącą falą w głębi zielonego parowu. Od drogi, w zwiężający się gardziel wąwozu, wiodła, niby nić cienka, wydeptana ścieżka, wijąca się po skałach, czepiająca urwisk, przemykająca pośród wilgotnych zarośli, przecinająca jasne kobierce murawy, fantastyczna, kręta, śmiała, lekka jak dotknięcie myśli. Po pochyłości wzgórzy spływały splątane, białe, szumiące, bystre smugi wód przejrzystych, pracą wieków żłobiące skaliste koryta, aby je zmienić, rzucić, splatać i rozwinać w sieć misterną i sztuczną. Szumiący strumień przyjmował je wszystkie w swe kamienne łóżysko, i wzrastając w siłę, coraz zuchwalej dążył do celów nieznanых. Tu i owdzie, podmyte pracą wód podziemną,

stare, potężne drzewo rzucało swe ciężkie, połamane konary na brzeg przeciwległy, tu rozciągały się łączki kwieciste, kobierce barwne stokrotek, pierwiosnków albo błękitnych niezapominajek. A między nimi, jak małe zwierciadła, połyskiwały jeziorka niewielkie, migocąc w blasku słońca przejrzystym kryształem wód srebrno błękitnawych.

W tę ustronń wonną, odludną i piękną księżę sprowadził z bitego gościńca odzyskaną małżonkę. Fantastyczna ścieżka jedynym miała odtąd być ich przewodnikiem; więcej jej ufał, niż mierzonej drodze. Sam szedł naprzód, torując przejście Serafinie, w trudniejszych miejscach podawał jej rękę, a ile razy stawał i zwracał się do niej, twarz księżny rozpromieniała się pod jego wzrokiem, a jej ogromne i wymowne oczy zdawały się przemawiać do niego miłośnie.

Otton to widział, ale nie śmiał wierzyć, nie śmiał rozumieć.— „Nie kocha mię,—powtarzał sobie uporczywie—to wyrzuty sumienia... to wdzięczność z jej strony... nie godzi się korzystać z chwilowej słabości, nie godzi się nadużywać położenia...”

Szli tak blisko godzinę, kiedy nagle strumień, już dość potężny tutaj i szeroki, wstrzymany został w biegu mocną tamą, i trzecia część wód jego, objęta drewnianem łożyskiem, skierowaną została ręką człowieka do pracy. Przejrzysta woda bystrą i wesołą falą przepływała koryto, zdobiąc wilgotną zielenią dno i boki tego nowego łożyska. Ścieżka wiodła tuż obok pod skałą, przybraną w dzikie róże kwitnące. Wkrótce się ukazały ciemne dachy zabudowań i wielkie koła wodne, siejące dyamenty, a jednocześnie ciszę leśną przerwał równy i monotony odgłos pracującego tartaka.

Właściciel stał na progu. Spojrzał na przybyłych i na czerwonej, tłustej jego twarzy odmalowało się wielkie zdziwienie.

W oczach Ottona błysnął ten sam wyraz, ale z uśmiechem zbliżył się do tracza.

— Dzień dobry, gospodarzu—rzekł uprzejmie.—Zdaje się, iż słuszność była po twojej stronie w naszej ostatniej rozmowie. Przynoszę ci nowiny i radzę pośpieszyć natychmiast do Mittwalden. Przyjaciele Feniksa zagarnęli władzę, i tron mój już obalony.

Twarz tracza wyrażała najwyższe zdumienie.

— A Wasza Książęca Mość? — spytał naiwnie, nieco stłumionym głosem.

— Moja Książęca Mość zmyka prosto ku granicy, jak widzisz, dobry człowieku — zaśmiał się Otton wesoło.

— Książę ucieka? Porzuca Grunewald? Syn takiego ojca?.. Na to nie można pozwolić!

— Czy chcesz nas aresztować, przyjacielu? — spytał Otton z uśmiechem.

— Aresztować? ja? księcia? Za kogóż mię bierze Wasza Książęca Mość? Wiedz o tem, mój panie, że niema w Grunewaldzie jednego człowieka, któryby się poważył podnieść rękę na ciebie.. Ja to powiadam!

I potężną dłonią uderzył w pierś szeroką.

— A jednak jesteś w błędzie, tym razem przynajmniej, przyjacielu, Od ciebie wszakże, który w czasie mej potęgi okazałeś się hardym i zuchwałym, widzę, iż w dniach niedoli mogę się spodziewać pomocy i usługi.

Czerwone oblicze tracza przybrało barwę burakową.

— Możecie liczyć na to, — rzekł poważnie — a tymczasem bądź łaskaw, mój książę, z tą panią wstąpić do mojej chaty.

— Nie mamy na to czasu—odparł spokojnie książę;— jeśli chcecie jednak oddać nam usługę, przynieś nam tutaj po szklaneczkę wina. Będę ci za to szczerze i prawdziwie wdzięczny.

Tracz zaczerwienił się znów aż po włosy, ale już nie mówiąc, pośpieszył do chaty. Za chwilę wyniósł stamtąd dzbanek wina i trzy czyste kubki szklane.

— Niech Wasza Książęca Mość nie myśli o mnie, że jestem nałogowym pijakiem — przemówił, napełniając kubki chłodnym i czystym napojem. — Wtedy, gdy na nieszczęście spotkałem się z księciem, podpiliśmy sobie istotnie troszeczkę, ale to był wypadek. W całym Grunewaldzie niema wstrzeмиęźliwszego ode mnie człowieka. Nie pijam prawie wcale, a i teraz zdrowie Wasze, miłościwy książę i tej damy, to piję tylko przez szczere życzenie. Dla kompanii... to nadzwyczajny wypadek.

Napili się kolejno z zachowaniem zwykłej wieśniaczej etykiety, potem wymówiwszy się od gościnności niezmiernie uprzejmego dzisiaj tracza, książęca para wyruszyła dalej.

Droga szła ciągle na dół; ciasny wąż zwolna rozszerzał się, miejscami stawał się równiną, tu i owdzie po zboczach zarastał las stary, z drzew grubych, prostych, strzelających w górę zielonemi koronami.

— Winienem był człowiekowi temu zadosyćuczynienie — rzekł książę, gdy droga pozwoliła przez chwilę iść mu obok Serafiny. — Przed kilku dniami, podczas przypadkowego spotkania, obraziłem go dotkliwie, nie mając za sobą słuszności. Sądząc po sobie jednak, przyszedłem do przekonania, iż zniewagi i upokorzenia najgorzej oddziałują na człowieka.

— A przecież czasem to bardzo potrzebna nauka — zauważyła księżna.

— O Boże, — odparł jej zakłopotany — nie mogę zgodzić się z tobą w tej chwili, a nie pragnę ci przeczyć... Myślmy lepiej wyłącznie o zapewnieniu sobie bezpieczeństwa. Nie sądzę źle o tym traczu, ale nie mogę zbyt polegać na nim. Wolalby, aby nie znał mojej drogi. Idąc z biegiem strumienia, po licznych zakrętach, dojdziemy wreszcie

do domku, o którym ci wspomniałem, że jest dzisiaj jedynym naszym schronieniem na ziemi. Ale dostawszy się na ten pagórek, możemy przez polankę przejść na inną drogę, krótszą i prostszą, chociaż może więcej uciążliwą miejscami. Ale za to spokojną i odosobnioną! Duchy chyba nawiedzają ją niekiedy. Czy czujesz się na siłach, aby przejść tamtędy?

— Jak chcesz, Ottonie; sam wybieraj drogę, a ja pójdę za tobą.

— Nie,—odparł—wybierz sama. Chciałem cię uprzedzić, że tamta nie jest łatwą: na górę i na dół,—a wąwozy głębokie, urwiste, zarosłe kolącymi krzakami.

— Wszystko mi jedno,—rzekła—pójdę, dokąd mię zaprowadzisz. Jesteś jedynym moim przewodnikiem, wskazuj mi drogę.

I zaczęli oboje wdzierać się na wzgórze przez niskie krzaki i gęste zarośla. Po półgodzinnym trudzie, ścieżka nad potokiem znikła im z oczu, i stanęli na równym miejscu, pod zielonem sklepieniem dziewiczego lasu, w otoczeniu drzew starych, szumiących coś z cicha.

Otton przystanął i pełnem zachwytu spojrzeniem objął to ciche, rozkoszne ustronie, — nagle wzrok jego spotkał oczy Serafiny, rozszerzone, ogromne, pełne tajemniczej siły. I ogarnęła go niemoc fizyczna i bezsilność moralna; na chwilę przynajmniej rozpręgły się zupełnie nici jego woli, i nie miał siły oderwać spojrzenia od bladej twarzy żony.

— Odпочnijmy tu — szepnął głosem wyczerpanym i wskazał jej wygodne miejsce na mchu miękkim.

Sam usiadł obok.

Serafina w milczeniu zajęła miejsce wskazane i siedziała cicha, ze spuszczonei oczyma, podobna do dziewicy, oczekującej wyznania, które w niej zbudzi duszę. Biała jej ręka machinalnym ruchem gładziła mech zielony. I cisza była. Lekkie tchnienie wiatru musnęło w górze igły balsa-

miczne, zaszumiło coś śpiewnie, przeciągle, marząco i pomknęło gdzieś dalej, powtarzając głosem słabszym i cichszym jakieś słowa tajemnicze. Nad nimi, na gałęzi, ptak jakiś śpiewał głosem przerywanym, pełnym niepokoju. Wszystko to stanowiło tło rozmarzające, z duszy Ottona rwały się dźwięki cudowne, dźwięki zgodne z nastrojem wiosennej natury, lecz tłumiała je duma i ostatek woli.

Patrzył na drobną, białą, delikatną rączkę, przesuwaną się po mchu zielonym, i ogarnęło go wielkie wzruszenie, — tchu mu zabrakło, oczy zamknęły się same, pot wystąpił na czoło.

— Serafino, — szepnął głosem stłumionym — powinnaś to wiedzieć, że nigdy... że...

Chciał dodać, że: „nigdy, na chwilę nie posądziłem cię o rzeczy zdrożne,” — lecz nie miał siły. Czyż było to prawdą? A jeśli nawet było, czyż szlachetnie mówić jej o tem dzisiaj?

Więc umilkł zmieszany.

— Powiedz, co chciałeś... proszę cię, Ottonie. Błagam cię o to!

— Chciałem ci powiedzieć, że cię rozumiem i nie mam urazy, nie mogę cię potępiać. Kobieta jak ty, silna i odważna, musiała czuć pogardę dla słabego mężczyzny. Wiem, żeś zbłądziła nieraz, lecz usiłowałem zrozumieć to i rozumiem cię obecnie. Więc nie może być mowy już o zapomnieniu, ani o przebaczeniu, Serafino, skoro cię zrozumiałem tak zupełnie...

— Nie mów tak do mnie, Ottonie—szepnęła.—Wiem, co zrobiłam. Nie jestem tak słabą, aby dać sobie wmówić to, co dobroć twoja znajdzie na mą obronę. Wiem dobrze, czem byłam... Widzę się sama. I nie zasługuję nawet na gniew twój, nie mówiąc już o przebaczeniu. W całej tej katastrofie i w całej tej nędzy widzę nas tylko dwoje: ciebie takim, jak jesteś, jakim byłeś zawsze, i siebie taką,

jaką byłam wtedy... siebie najlepiej widzę i nie mogę odwrócić oczu. I muszę myśleć o tem, muszę myśleć ciągle!

— W takim razie,—rzekł Otton—zmieńmy role. Wczoraj nauczył mię pewien przyjaciel, iż przebaczymy innym chętnie, chociaż sobie przebaczyć nie możemy. Nie myślmę więc o sobie, ale przebaczymy innym winy, względem nas spełnione. Czy możesz to uczynić, Serafino? Czy możesz mi przebaczyć z głębi serca?

Zamiast odpowiedzi, gestem szybkim i stanowczym wyciągnęła do niego obie ręce. Ujął je silnym, gorącym uściskiem, ogarnął całą tę drobną muszelkę swą wielką dłonią, i zdawało mu się, że prąd miłości potężny, gorący złączył ich dwie istoty w jednolitą całość.

— Serafino!—zawołał—nie myśl o przeszłości, zapomnij o niej! Pozwól służyć sobie, czuwać nad sobą, pozwól mi być twoim sługą, niewolnikiem! Nic więcej nie żądam, chcę być tylko przy tobie... Nie odpychaj mię, droga! pozwól sobie służyć!..

Błagał ją z trwogą dziecka, z zapalem kochanka.

— Nie żądam twej miłości, — powtarzał namiętnie — moja wystarczy, lecz chcę żyć dla ciebie.

— Ottonie!—rzekła z bolesnem westchnieniem.

Podniósł wzrok na nią: Cała postać Serafiny była natchnioną i przeistoczoną wyrazem niewysłowionej tkliwości i żalu. Rysy jej, oczy jaśniały miłością.

— Serafino! — zawołał głosem stłumionym wzruszeniem.—Serafino najdroższa!

— Spójrzj dokoła siebie—rzekła słodkim szeptem.— Patrz na te młode drzewka i gałązki, na te kwiaty, rozwijające się z pączków, wszystko to życie zaczyna — świat się odradza cały. I w mojem sercu jest pragnienie życia, nowego życia! Zapomnijmy o tem, co jest za nami, wstańmy i żyjmy znowu odrodzeni. Przeszłość niech będzie grobem

grzechów naszych, niech spocznie na niej miłosierdzie Boże i zapomnienie ludzkie.

— Amen, Serafino. Przeszłość niech zniknie, jak sen przykry i zwodniczy. Pozwól mi, jak obcemu, zacząć od początku. Śniłem, o, śniłem długo o kobiecie, pięknej, okrutnej i wyższej ode mnie, ale tak zimnej, tak straszliwie zimnej, jak lodowce północne... I śnię dziś znowu o niej, ale jak odmiennie!.. Widzę ją tkliwą, pełną życia i zapału i dobrą dla mnie... Ja nie mam zasługi innej nad miłość moją, której jestem niewolnikiem, a więc tulę się do niej, pełen nadziei i trwogi, abym się znów nie zbudził..

— Nie budź się, — rzekła — pozostań tu przy mnie... bliżej... najdroższy!..

.

Las szumiał pieśń starą, wiosna budziła w pączkach młode życie—a tymczasem w Mittwalden, w ratuszowej sali, ogłaszano Rzeczpospolitą...

Post-scriptum.

O losach Grunewaldu ciekawym czytelnikom niechaj opowie historia. Najlepszym źródłem do dziejów tych są pamiętniki znanego nam kanclerza, P. Greisengesanga (Lipsk, 7 tomów), opracowane krytycznie przez licencyata Roederera, który zbyt może podniósł postać swego autora, czyniąc ją rzeczywistym motorem wszystkiego, po za tem jednak objął rzecz krytycznie i napisał ją dobrze.

Niemniej ciekawą pracą z epoki współczesnej są pamiętniki sir Johna Crabtree (Londyn, 2 tomy, Longman, Hurst, Rees, Orme i Brown); obraz to pełen siły i plastyki, wzbudzający powszechne zainteresowanie. Rozdział o Grunewaldzie, jakkolwiek podarty w ogrodzie pałacowym, w obe-

ności księcia, i w drukowanym dziele opuszczony, zgodnie z uroczyście danem przyrzeczeniem, nie został jednak dla mnie tajemnicą, gdyż autor, zawsze przezorny, posiadał dwie kopie rękopisu, nie licząc brulionu.

W bibliografii znajdziemy także wiadomości o kilku jeszcze naszych bohaterach. Mam w tej chwili przed sobą tomik niewielki poezyi, zatytułowany: „Poezye Fryderyka i Amelii,” bez miejsca, daty i nieistniejący w handlu. Egzemplarz mój należy do niewielkiej liczby, przeznaczony przez autora dla przyjaciół. Doszedł ręk moich pośrednio, a imię pierwszego właściciela tej książeczki wypisanem jest na niej własną ręką księcia Ottona. Do autora też zapewne należy krytyczna uwaga: „Rym niebogaty,” zresztą bardzo słuszna, gdyż poezye wydały mi się dość nudnemi. Ustępy zwłaszcza, pisane widocznie przez księżnę, są ciężkie i niezmiernie pracowite. Mimo to podobały się w kołach, dla których były przeznaczone, i mam powód mniemać, iż wyszedł także drugi tom „Poezyi,” jakkolwiek dzisiaj trudno go odszukać. To ostatnia wiadomość o księciu Ottonie i dostojnej jego małżonce, z którą w przykładowej zgodzie spędził resztę życia na książęcym dworze jej ojca, pisząc rymy francuskie i osobiście czuwając nad ich staranną korektą.

Śledząc wciąż bibliografię, znalazłem, iż kilka sonetów i jedną ze swych pieśni Swinburne poświęcił pamięci znakomitego polityka, Gondremarka. Imię to powtórzyło kilka gorących pieśni patryotycznych; znalazłem o nim wreszcie bardziej osobistą wzmiankę w dzienniku J. Hogg Cotterill, Esquire.

Oto wyjątek: „W Neapolu (27 maja) byłem przedstawiony baronowi Gondremarkowi i jego małżonce. Człowiek ten dał się poznać w świecie politycznym, dzięki swym niepospolitym zdolnościom; baronowa dziś jeszcze jaśnieje urodą. Oboje ludzie zręczni i inteligentni. Ona podziwiała moją wymowę francuską, zapewniając, iż wcale nie zdradza

Anglika. Znała mego wuja, sir Johna, w czasie jego podróży po Niemczech, i odnalazła w rysach moich podobieństwo do szlachetnej jego twarzy. Zapewniała mię także, iż go przypominam obejściem, pełnem dworskiej galanteryi i wrodzonej szlachetności. Prosiła, bym ich odwiedził wieczorem."

"Dnia 30 maja oddałem wizytę baronowej Gondre-mark. Niezmiernie przyjemna osoba, bardzo inteligentna i subtelna, jedna z tej wielkiej szkoły dam, z której, niestety, coraz mniej spotykamy dzisiaj wychowanek. Czytała właśnie „Uwagi o Sycylii,” które jej przypomniały pamiętniki mego wuja. Mówiliśmy następnie o jego talencie i wartości literackiej jego dzieła, którą podnosiła wysoko. Mam głęboki szacunek dla tej prawdziwej patrycyuszki."

Znalazłem w tym dzienniku kilka podobnych ustępów; w ostatnim, autor, żegnając Neapol, zmuszony do przyśpieszenia wyjazdu zbiegiem przykrych okoliczności, wyraża żal najszczerzy z powodu rozstania z kobietą „tak niepospolitą sympatyczną, która go już uważała prawie za młodszego brata."

K O N I E C.

MODERCA

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
189552

Biblioteka WSP Kielce



0099058